

Czy pan pamięta inżynierze?

Anna Kłodzińska



calibre 0.9.27

Czy pan pamięta inżynierze?

Rozdział 1

Szedł za nim krok w krok. Chociaż co chwila rozdzielali ich przechodnie, nie spuszczał oczu z tego wysokiego mężczyzny w ciemnym płaszczu i wciśniętym na głowę, zabawnie przekrzywionym na bok kapeluszu. Tamten zawsze tak nosił kapelusz, jakby z przekory.

Minęli ulicę Żeromskiego, skręcili w prawo i zapuścili się w labirynt nie oświetlanych chodników osiedla. W późny wieczór wrześnieowy było tutaj prawie pusto.

Mężczyzna w ciemnym płaszczu zatrzymał się nagle i odwrócił, ale człowiek, tropiący go niczym pies myśliwski, zdążył błyskawicznie wcisnąć się pomiędzy ściany murowanego śmietnika i niskiego, długiego budynku administracji osiedla. Przyczaił się, wstrzymał oddech. Teraz! - pomyślał. - I tutaj.

Nie mogli się zetknąć twarzą w twarz; tamten z miejsca zorientowałby się, o co chodzi. Obydwaj mieli przy sobie broń, ale tylko jeden z nich chciał zrobić z niej użytek i dążył do tego wytrwale już od paru dni. Teraz wreszcie - tak przynajmniej sądził - nadarzała się najlepsza okazja.

Wysoki postać chwilę, rozglądając się dokoła. Potem, uspokojony widać, ruszył naprzód. Wówczas idący za nim człowiek przesunął się parę kroków dalej i odbezpieczył pistolet. Wiał silny wiatr, na chodniku szeleściły jakieś papiery. To sprzyjało ścigającemu. Przebiegł wzdłuż ściany niskiego budynku i przyłgnął do niej tuż za rogiem. Tamten był teraz w polu widzenia - jak zając na

pustym kartoflisku, całkowicie odsłonięty i bezradny, choć z pewnością uzbrojony.

Tym lepiej - pomyślał tropiący. - Nieładnie zabić bezbronnego.

Uśmiechnął się ironicznie i wyciągnął rękę. Trzy sekundy... dwie... jedna. Wiatr zagłuszył świst pocisku, zresztą pistolet miał dobry tłumik. Wysoki drgnął, przeszedł jeszcze kilka kroków, zachwiał się, rozłożył ręce i upadł ciężko na chodnik. Nie zdążył, nawet krzyknąć.

Duży szary kot wyskoczył ze śmietnika i wpadł pomiędzy domy, wystraszony ludzkimi sprawami. Morderca był już teraz o sto metrów dalej, wrócił na ulicę Żeromskiego i spokojnie szedł do tramwaju, który nadjeżdżał właśnie Marymoncką.

*

Kapitan Szczęsny z sekcji zabójstw Komendy Stołecznej Milicji

Obywatelskiej miał nocny dyżur. Siedział w gabinecie majora, bo stał tam wygodny, stary fotel i można było podrzemać, jeżeli noc mijała bez wydarzeń.

Wszelkie kradzieże, włamania, rozboje nie obchodziły „tych od zabójstw”. Oni mieli swoje, najcięższe zresztą, zadania.

Zaparzył kawę, zjadł chleb z kielbasą, potem jabłko. Zapalił giewonta, wyciągnął się w fotelu i otworzył książkę, kupioną właściwie spod lady. Był to „Oddział majora Hubala” M. Szymańskiego. W kinach szedł właśnie film „Hubal” z Ryszardem Filipskim w roli majora, ludzie tłumnie walili na wszystkie seanse.

„...Trzymali się mocno. Już rozszedł się po linii rozkaz: Szybciej strzelaj!

Bagnet na broń! - gdy z prawego skrzydła rozległ się okrzyk: Hura! To Bem i

Rodziewicz poderwali swoich. I zaraz...”

Parokrotnie nawoływał telefon, zanim Szczęsny ocknął się i sięgnął po słuchawkę.

- Oficer dyżurny sekcji zabójstw, słucham.

- Kapitan Szczęsny? - Poznał głos Kisielaka ze stanowiska dowodzenia.

- Tak. O co chodzi? - Zerknął do książki: „I zaraz piechurzy skoczyli naprzód. Niemcy pierzchli...”

- Macie robotę. Na Żoliborzu, facet. Dzielnica powiadomiła.

- Zabójstwo? - Jeszcze się ociągał, może jakiś pijak przejechał się na drugą stronę, bo wypił o pół litra za dużo. Wystarczy, że załatwi to komenda dzielnicowa.

- Tak. Postrzał z pistoletu. Radiowóz czeka, kapitanie.

- Z pistoletu? - Szczęsny zdumiał się. Takie rzeczy zdarzały się w stolicy bardzo rzadko. - To cywil?

- Podobno tak, nie wiem dokładnie. - W głosie Kisielaka była odrobina irytacji, w końcu nie on miał się tym zajmować.

- Dobra, już schodzę.

Z zalem odłożył książkę. Wiedział, że teraz nieprędko dowie się, co zrobił major „Hubal”, kiedy Niemcy pierzchli... Narzucił kurtkę, zdusił giewonta i wyszedł na schody.

*

Zabity mężczyzna leżał na chodniku, twarz miał przykrytą gazetą. Obok stały dwa radiowozy. Oficerowie z kryminalnego KD MO na Żoliborzu rozmawiali ze sobą półgłosem. Lekarz milicyjny pozdrowił Szczęsnego

skinieniem głowy i kończył swoją robotę. Paru funkcjonariuszy trzymało w przyzwoitej odległości grupę mieszkańców okolicznych domów, którzy jakimś cudem dowiedzieli się już o wydarzeniu.

- Kto to jest? - spytał kapitan nieosobowo. Przykląkł obok ciała, zdjął gazetę.

- Jan Wilczak, pracownik umysłowy z Przedsiębiorstwa Usług Technicznych „Jedność” - odpowiedział porucznik Madej, podchodząc bliżej. - Tak wynikałoby z dokumentów.

- A naprawdę?

- Naprawdę chyba też. Mieszka... to znaczy mieszkał tu niedaleko, pod szesnastym. Jest gospodarz domu - pokazał na łysego mężczyznę, okutanego w długą jesionkę, spod której widać było pasiaste spodnie od pizamy. - Znał go.

- Ten Wilczak miał przy sobie pistolet - dorzucił kapitan Skowroński. - FN, kaliber 7.65.

- Sprawdziłeś? - Szczęsny nie odrywał oczu od twarzy zabitego, jakby chciał wyczytać z niej przebieg wydarzeń.

- Tak. Nierejestrowany. Bez zezwolenia na broń.

- I nosił go przy sobie?!

- Właśnie, mnie też to dziwi. Widać się czegoś bał.

- Czym dostał?

- Chyba ten sam kaliber. W plecy, prościutko pod lewą łopatkę. Z odległości siedmiu, może dziewięciu metrów.

- Masz łuskę?

- Nie. Szukają.

Szczęśny podniósł się z klęczek, otrząpiał kolana. Napotkał przestraszony wzrok dozorca spod szesnastego i przywołał go ruchem głowy.

- Co pan o nim wie? - spytał cicho, aby tłum nie słyszał.

- Panie, co ja mogę wiedzieć! - Łysy westchnął, podreptał w miejscu. -

Lokator był porządny, spokojny. Rano wychodził do pracy, wracał wieczorem.

- Sam mieszkał?

- Sam. W kawalercie na drugim piętrze.

- Przychodził kto do niego?

- Pewnie, że przychodzili. Ale rzadko.

- Kto?

- Różni, tam... Panowie jacyś. Ja ich nie znam.

- Obcy czy z tego domu?

- Z domu, to chyba nikt. Pan Wilczak, można powiedzieć, nie zadawał się z sąsiadami. Uprzejmy był, owszem, ale nietowarzyski. Nerwowy bardzo.

- Co to znaczy: nerwowy? Awanturował się, chorował?

- Chorować to chyba nie. Awantur też nie robił, ale taki był jakiś... no, w mowie taki nerwowy, prędko, byle co go gniewało.

- Zawsze taki był? Dozorca pomyślał chwilę.

- A wie pan, że nie! Dopiero ostatnio. Może miesiąc albo dwa.

- Długo tu mieszkał?

- Długo nie, bo w sierpniu minął rok, jak nasz dom postawili. To nowe osiedle. Jeszcze się buduje, tam, za szkołą.

- Nie wie pan, czy ten Wilczak miał rodzinę? Trzeba przecież kogoś zawiadomić o śmierci - wtrącił Skowroński.

- Nie wiem, proszę pana. Może i miał. Myślę, że u niego w pracy będą wiedzieć.

Do chodnika wolno podjeżdżał ambulans z Miejskiego Przedsiębiorstwa Pogrzebowego. Tłum gapiów zakołysał się, zaszepotał strwożony i naparł mocniej na milicjantów.

- Proszę się odsunąć! Proszę zrobić miejsce - powtarzali stanowczym tonem. - Dzieci, do domu! Niech pani zabierze dziecko, nie ma tu nic do oglądania.

- Proszę pana, a co mu się stało? - spytał ktoś z bliżej stojących.

- Umarł.

- Na serce?

- Może na serce, może na co innego. Widział pan, jak upadł?

- Nie. Byłem w domu.

- A pan? A pani widziała?... Nie? No to proszę iść do domu.

- Jak na serce, to po co tyle milicji? - bąknął ktoś inny.

- Przeszkadzamy panu? Proszę się odsunąć, samochód musi tu zakręcić.

Proszę iść do domu! Co za ludzie, jak pragnę zdrowia!

- Byliście już w jego mieszkaniu? - spytał Szczęsny kolegów z dzielnicy.

- Jeszcze nie. Tu są klucze. - Porucznik potrząsnął skórzanym futerałem. -

Miał w kieszeni płaszcz.

- No, to chodźmy. Może... - urwał, bo z tłumu nadstawiło się natychmiast kilkanaście par ciekawych uszu.

Odeszli razem z technikiem śledczym, fotografem i łysym dozorcą. Parę osób pobiegło za nimi. To byli lokatorzy spod numeru szesnaście, ci mieli

prawo widzieć i słyszeć więcej. Reszta z żalem rozchodziła się do domów, żywo komentując zdarzenie.

Wilczak zajmował niewielki pokój z łazienką i mikroskopijnym przedpokojem. Stała tu kuchenka gazowa, a na ścianie wisiała szafka. Technik rzucił okiem na meble, otworzył walizkę śledczą i zajął się zbieraniem na folię śladów linii papilarnych.

- Pozdejmuje, ile się da - rzekł niepotrzebnie kapitan Skowroński. Był pedantem, wierzył przede wszystkim w „technikę” i w rezultat roboty, opartej na dowodach rzeczowych. W skomplikowane, psychologiczne motywy przestępstwa pozwalał sobie wątpić. „Istnieją tylko trzy przyczyny zabójstw - mawiał do młodszych kolegów, bo starsi już nawet nie chcieli tego słuchać. - Pieniądze, baba i zemsta. Wszystko inne obraca się dokoła tych trzech motywów”.

Technik w ogóle nie zwrócił uwagi na jego słowa. Znał swoją robotę i wiedział, jak wiele zależy od prawidłowego zebrania dowodów rzeczowych, ale - w przeciwieństwie do Skowrońskiego - wierzył również w „psychologię”.

Skrupulatnie przeglądali mieszkanie. Łysy dozorca w milczeniu asystował ich szybkiej, fachowej robocie, wzdychając od czasu do czasu. W dołku czuł nieprzyjemny ucisk, który wzmagął się, ilekroć przypominał sobie twarz zabitego Wilczaka.

- Jakby się dziwił - mruknął w pewnej chwili sam do siebie.

Szczęśny dosłyszał i zrozumiał. On też zauważył wyraz ogromnego zdumienia w poszarzałych rysach zmarłego. Widać wcale nie spodziewał się śmierci, która przysłała, zacząjona, zza węgła i w jednej sekundzie przerwała

wszystko.

W pokoju, prócz tapczana, szafy i dwóch krzeseł, stało nieduże biurko. W jego szufladach mieściły się dokumenty, listy, rachunki i fotografie, cały ten domowy śmietnik, miły każdemu człowiekowi, bo własny. Pracowali niemal, w milczeniu; wszystko, co mogło naprowadzić na jakikolwiek ślad, odkładali na bok, do późniejszego sprawdzenia.

- Kto znalazł ciało? - spytał Szczęsny, który raz już o to zapytał, ale odpowiedź uciekła mu z głowy.

- Dzielnicowy - odparł Madej. - On tu mieszka, pod czwartym. Wracił do domu i prawie wlaź na zwłoki, bo tam jest ciemno.

- Znał Wilczaka? Będzie nam potrzebny.

- Tylko z widzenia. Czekał na nas w komendzie.

- Dobrze.

Gdzieś po północy Skowroński usiadł zmęczony na tapczanie i rzekł z niechęcią:

- Barachło! Chyba nic nam to nie da.

- Rzeczywiście - przytaknął porucznik. - Same mało ważne papiery.

Nigdy bym nie przypuścił, że taki całkiem zwyczajny, przeciętny facet ma nielegalnie broń. I w dodatku nosi przy sobie. O co tu chodziło?

- To wcale nie musi być zwyczajny facet. - Szczęsny przyglądał się

zbiorowej fotografii, robionej zimą, chyba w Zakopanem. Grupka

uśmiechniętych kobiet i mężczyzn, pomiędzy nimi Wilczak z nartami na

ramieniu. - Człowiek, który ma nielegalnie broń, na pewno nie będzie trzymał w

biurku kompromitujących dokumentów. Pistolet trzeba rano posłać do Zakładu

Kryminalistyki. Ja pojedę z samego rana do tej „Jedności” czy jak tam się...

- Kapitanie, tu coś jest! - zawołał z łazienki technik. - Chyba skrytka.

Nad wanną, trochę z boku, bliżej drzwi, wisiała biało lakierowana apteczka. Technik zdejmował ją teraz ostrożnie, gdyż dojrzał za nią coś, co go zaintrygowało. Wśród niebieskich kafelków ze sztucznego tworzywa widniał ledwie widoczny zarys zamaskowanego otworu, ukrytego pod jednym kaflem.

- Zdjęcia - rzekł Szczęsny do fotografa. Stał na dnie wanny i delikatnie przesuwiał palcami po niebieskim kafelku. Patrzyli uważnie na jego ręce. Nagle usłyszeli leciutki trzask, jakby ktoś zamknął torebkę. Kafel odskoczył, w głębi była skrytka.

Fotograf przechylił się Szczęsnemu przez ramię, pstryknął parę razy.

Kapitan bez słowa wyciągnął rękę do tyłu. Madej podał mu gumową rękawiczkę, pomógł nasunąć. Potem wszystko, co było tak przemyślnie ukryte, zostało przeniesione na stół i dokładnie sfotografowane.

- No tak - powiedział Szczęsny z odrobiną żalu. - Nie dla nas robota.

- Zejdę do radiowozu... - Skowroński rozejrzał się, nie, Wilczak nie miał telefonu - i zawiadomię, kogo trzeba.

Porucznik spojrział na dozorcę, zasłonił sobą stół.

- To taki ptaszek!

Szczęsny oglądał rozłożone akcesoria szpiegowskie. Nie wszystko znał, niejednego tylko się domyślał. Były tu chemikalia, maleńkie plastikowe fiołki, miniaturowy aparat fotograficzny, plik zagranicznej waluty, szyfry, a także tzw. szpiegowski zestaw pytań, na które odpowiedzieć mieli płatni lub przygodni informatorzy agenta. Rozpoznał mały nadajnik, nazywany przez szpiegów

pluskwą - można go było przyczepić wszędzie, nawet do czyjegoś ubrania. Nie brakowało oczywiście szklanej ampułki, prawdopodobnie ze znanym w historii wywiadu płynem „L”, zawierającym kwas pruski. To na wypadek wsypy. Jan Wilczak widocznie jednak albo wsypy nie przewidywał, albo też nie miał ochoty na dobrowolne zejście z tego świata, bo w myśl reguły powinien był ampulkę nosić przy sobie.

- Pierwszy raz to widzę - rzekł Madej. - To znaczy - poprawił się - widziałem u nas, na szkoleniu. Ale żeby tak naprawdę, u kogoś...

- Myśleliście, że oni istnieją tylko w powieściach sensacyjnych - uśmiechnął się kapitan.

- Nie, ale po prostu nigdy jeszcze nie miałem z tym do czynienia.

Wrócił Skowroński. Naradziwszy się chwilę, odesłali do domu łysego dozorcę. O tym, co tu znaleźli, nie powinien wiedzieć.

- Panie, a co ludziom mówić, jakby mnie pytali? - spytał odchodząc.

Chciał być w porządku wobec władzy, zależało mu jednak na dobrych stosunkach z lokatorami. Władza pójdzie, lokatorzy zostaną.

- Nic. Cóż pan może im powiedzieć? - Szczęsny przyjrzał mu się dobrotliwie, ale spojrzenie czarnych oczu było ostre i dozorca poczuł się nieswojo. - Przecież pan nic nie wie. Jan Wilczak nie żyje. Jak zawsze, kiedy następuje nagły zgon, będzie śledztwo. Jutro prawdopodobnie okaże się, że zmarł na zawał, i śledztwo umorzemy. To wszystko.

- No, tak. To dobranoć. A... tego, a klucze od mieszkania? Jakby mnie w administracji pytali?

- Zapieczętujemy drzwi. Klucze jutro sami oddamy w administracji. Teraz

przecież noc.

Kiedy dozorca wyszedł, Skowroński powiedział:

- Zawiadomiłem oficera dyżurnego. Musimy poczekać na tamtych.

*

Pułkownik Czerniak odsunął teczkę i popatrzył na swego towarzysza z powątpiewaniem.

- Sądziś, że to był nasz poszukiwany „Cywil”?

- Tak.

- Po tym śmieciu, który miał w skrytce nad wanną? Nonsens.

- Ładny mi śmieć - mruknął major Polewski.

- Cztery mikrofilmy z wojskowego lotniska na Wybrzeżu, materiał

wybuchowy, kwas pruski na zakąskę, nie mówiąc już o typowo szpiegowskim aparacie fotograficznym typu „Za-128”. Ostatnie cudo japońskiej techniki!

- Poczekaj. - Pułkownik wziął do ręki długopis, wyciągnął kartkę papieru

i zaczął coś rysować, a potem podsunął kartkę Polewskiemu.

- Wiesz, co to jest?

Major przyjrzał się, wzruszył ramionami.

- Pewnie, że wiem. To jest właśnie „Za-128”. Bardzo charakterystyczny kształt kamery. Taki sam właśnie... - urwał, zmarszczył brwi.

- Na pewno taki sam?

- Nie. Nie na pewno. Ale w takim razie to była jakaś odmiana? Inny typ?

- Stary typ, jak na taką aparaturę. Sprzed dwóch lat. Mniejsza o to,

choć „Cywil” z pewnością jest wyposażony w najnowocześniejszą technikę.

Jedźmy dalej. Przejrzałeś dokładnie te plany lotniska?

Polewski uśmiechnął się przelotnie. Wstał, pochodził po gabinecie swego szefa. Był bardzo wysoki, niemal chudy, ciemne włosy odrzucał co chwila z czoła szybkim ruchem głowy. Wsadził ręce w kieszenie spodni i stał, zamyślony, pod oknem. Czerniak czekał cierpliwie.

- Przejrzałem niedokładnie - odparł wreszcie major, siadając z powrotem w fotelu. - Wybacz, ale nie przydzieliłeś mi jeszcze tej sprawy, więc nie zająłem się nią tak, jak trzeba.

- Ja ci nie stawiam zarzutów, tylko pytam. Plany są fałszywe.

- A wiesz, że to zaczyna być interesujące. Ktoś sprzątnął szpiega, który źle wypełniał zadania? Albo który umyślnie... Nie, to byłoby zbyt proste. Czy my nic nie wiemy o tym Wilczaku?

- Jak dotąd, nic. Milicja, na naszą prośbę, prowadzi dalej dochodzenie w sprawie zabójstwa. Od dziś będziemy to robić razem z nimi, każdy po swojej linii.

- Kto to ma w milicji?

- Kapitan Szczęsny. Nasz stary znajomy. Roześmieli się.

- Świetny facet - rzekł Polewski z uznaniem. - Pamiętasz, jak razem goniliśmy tego pseudo-Holendra, Schultza? I jak Szczęsny wlaźł do kanału pod fabryką?

- Przyłapał tam Michlerskiego. Tak, Szczęsny to dobry towarzysz bojowy. Trochę partyzant, ale odważny i doświadczony. Lubię takich. No, więc chcę ci powierzyć sprawę Wilczaka. Ze Szczęsnym będzie wam się dobrze pracować. Kryptonim sprawy: „Cywil”. Bo sądzę, że jednak w jakiś sposób zahacza o naszego „Cywila”.

- Co my o nim wiemy? Niewiele. Że zjawił się w Polsce z zadaniem „rozsadzania od wewnątrz”. Że jest specjalistą od przywabiania inżynierów i techników, co mu się zresztą do tej pory raz udało...
- Tak przypuszczamy. Być może, udało mu się kilka razy.
- Cóż jeszcze? Że... - Polewski nagle potarł ręką czoło, chciał sobie przypomnieć tamten przypadek. - Słuchaj, Marian! Kiedy dowiedzieliśmy się, że „Cywil” skaptował do swojej roboty inżyniera Skąpskiego, i już mieliśmy go zdjąć, znaleźliśmy tylko zwłoki inżyniera.
- Zginął w wypadku samochodowym, jeżeli pamiętam.
- Chciałbym to zbadać jeszcze raz. Nie prowadziłem sprawy, ale pomagałem trochę Szymczakowi. Z tym wypadkiem nie wszystko było jasne.
- Myślisz, że przedtem Skąpskiego, a teraz Wilczaka zabił „Cywil”? Ale dlaczego? Przecież Wilczak nie był żadnym specjalistą-elektronikiem, nie pracował, jak Skąpski, w fabryce produkującej dla wojska. Co prawda nie mam pojęcia, czym zajmuje się Przedsiębiorstwo Usług Technicznych „Jedność”, ale bardzo wątpię, żeby miało ono kontrakty ściśle tajne. Zresztą, zbadaj to. Jeżeli cokolwiek robią dla wojska, u nas w wydziale będą o tym wiedzieli.
- Widzę z tego, że współpraca ze Szczęsnym rzeczywiście jest konieczna. Będzie sporo roboty. Daj mi zgodę na akta sprawy Skąpskiego, bo Szymczak leży na nich ciągle jak pies na kości i warczy. Bez twojej pomocy nie dam sobie z nim rady.
- Czerniak roześmiał się.
- Taki zawzięty? Dobrze, powiem mu.
- „Cywil”. Ten cholerny „Cywil”! - mruknął major. - Czy nie mamy

żadnego rysopisu?

- Nie. Może być stary albo młody, mężczyzna albo kobieta...

- Za wiele chcemy wiedzieć od razu - rzekł Polewski. - Skąpski mógł rzeczywiście zginąć w wypadku. Cholera, zbadam to. Umówię się teraz ze Szczęsnym. - Siadł przy telefonie, nakręcił numer komendy.

*

Kapitan Szczęsny z pewnym rozrzewnieniem spojrział wpierw na rozwichrzone, ciemne włosy Polewskiego, a potem na uśmiechniętą twarz długonogiego oficera kontrwywiadu.

- Znowu razem, co? - Mocno uściśnął jego dłoń. - Siadaj, Tadeusz. Na tę okazję przygotowałem nawet koniak.

- On łże, majorze! - odezwał się porucznik Kręglewski, równie serdecznie witając Polewskiego. - Marynuje ten koniak jeszcze od lipcowego święta. Sknera, nawet powąchać nie da!

- Nie gadaj tyle, przynieś lepiej kieliszki od „starego”. Są w jego gabinecie.

- Akurat! Tam jest przecież odprawa z szefem prokuratury.

- Prawda, zapomniałem. No, to wypijemy ze szklanek, trudno. Nie zdobyłem się jeszcze na kryształowe kielichy.

- Nie szkodzi, wypijemy i ze szklanek - śmiał się Polewski. - Dużo tego nie masz, pół butelki.

- Ale zagrycha jest - dumnie oświadczył Kręglewski, kładąc na biurku paczkę słonych paluszków.

- To też od lipcowego święta - mruknął Szczęsny. Nalał koniaku, trącili

się. - Za pomyślność nowej sprawy, chociaż nie wiem jeszcze, o co chodzi.

- Oby nam się.

Kręglewski zorientował się, że jego obecność za chwilę będzie zbędna.

Pokręcił się więc po pokoju, który zajmowali razem ze Szczęsnym, zabrał jakieś akta i wyszedł.

- Więc tak - zaczął Polewski. Otworzył teczkę, wyjął kilka dokumentów, położył na biurku. - Prowadzisz sprawę Wilczaka?

- Aha, to o to... Powinienem być się domyślić. Prowadzę, chociaż nie wiem dlaczego, bo to przecież wasza robota.

- Nasza. Wspólna. Ty, po milicyjnej linii, szukasz zabójcy Wilczaka. A ja działam po swojej. Też szukam zabójcy, chociaż nie tylko. Musimy to zgrać, zresztą podzielimy się robotą. Masz już jakieś wyniki?

Szczęśny zaprzeczył ruchem głowy. Od zabójstwa Wilczaka minęły trzy dni. Przez ten czas odwiedził dwukrotnie przedsiębiorstwo „Jedność”, gdzie powiedziano mu, że Jan Wilczak nie wspominał nigdy o żadnych krewnych i że był to pracownik o nieskazitelnej wprost opinii. Dyrektor „Jedności”, przestraszony i zdumiony, powtarzał tylko w kółko: „Co za nieszczęście! Kto to mógł zrobić!”, czym tak zirytował Szczęsnego, że ten bez pożegnania wyszedł z gabinetu. Więcej opanowania w rozmowie z oficerem wykazał kadrowiec. I on jednak nie mógł zrozumieć, kto i z jakiego powodu zabił tak spokojnego człowieka, jak Jan Wilczak.

Kadrowiec próbował przypomnieć sobie, czy zmarły miał wrogów, czy wplątał się w jakąś miłosną aferę względnie grał na wyścigach, popadł w długi i tak dalej. Nic z tego jednak mu nie pasowało.

Wilczak nie miał w „Jedności” przyjaciół w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Koledzy lubili go, więcej lub mniej, koleżanki nazywały mrukiem, choć wszystkie przyznawały, że był dla nich uprzejmy. Bardzo rzadko ktokolwiek z nich odwiedzał Wilczaka w domu. Zdarzyło się to dwa, może trzy razy, w czasie epidemii grypy i kiedy Wilczak złamał nogę na nartach. Szczęsny pokazał niektóre fotografie, znalezione w biurku w mieszkaniu zabitego. Na żadnej z nich nie było jednak biurowych kolegów i koleżanek. Wilczak pracował w „Jedności” od niespełna trzech lat, widocznie więc zachował na pamiątkę zdjęcia dawnych swoich znajomych.

Trzeba teraz było pójść śladem tych fotografii, sięgnąć do przeszłości Wilczaka, trafić do jego poprzednich miejsc pracy, miejsca urodzenia, uczelni, w której studiował, domu, w którym kiedyś mieszkał.

- To będzie twoja robota - rzekł Polewski. - Bardzo ważna. Zwłaszcza ważne są dla nas jego kontakty. Mamy pewne dane, aby przypuszczać, że został sprzątnięty przez agenta obcego wywiadu, noszącego pseudonim „Cywil”.

Wiemy o nim tylko, że grasuje w Polsce od roku, a celem, dla którego został tu przysłany, jest nawiązywanie bliższych znajomości z inżynierami, pracującymi w ten czy inny sposób dla wojska. Wiemy, że „Jedność” produkuje pewne części do radarów. Są to detale absolutnie niewinne, zwykłe na pozór blaszki specjalnego kształtu. Rzecz w tym jednak, że dobry fachowiec zorientuje się, do czego służą. A poza tym ktoś z przedsiębiorstwa prawdopodobnie zawoził je do jednostki. Może pomagał przy montażu. Ustalimy to jeszcze dokładnie.

- Nie trzeba - powiedział Szczęsny. - Po detale przyjeżdżali zawsze wojskowi, sami odbierali i sami montowali. Nigdy nie wysyłano transportu z

„Jedności”.

- A niech cię diabli! - Polewski klepnął go po ramieniu. - Tyś powinien u nas pracować.

- Wolę w milicji - odparł Szczęsny szczerze.

- Dostałbyś prędzej majora.

- Prawda! Musimy jakoś uczcić twój awans. Ale już nie ma koniaku... No, to innym razem. Kiedy ci dali te paski z gwiazdką?

- Właśnie w lipcowe święto.

- A mnie Krzyż Zasługi. Złoty.

- Tośmy obaj dobrze świętowali.

*

Morderca był niezadowolony. Ten pistolet - rozmyślał, siedząc w swoim mieszkaniu nad kieliszkiem wódki, zawsze pił, kiedy był zły - ten pistolet trzeba mu było odebrać. Szkoda broni. Nie tak znów łatwo o dobrą efenkę. Było zabrać i schować w piwnicy.

Właściwie dlaczego tego nie zrobił? Zdawało mu się, że coś się poruszyło na chodniku. Pewnie przebiegał kot albo wiatr zaszeleścił papierami. Tak w każdym razie powiedział szefowi.

Drzwi do pokoju uchyliły się, zajrzała Maria.

- Sam jesteś? - Podeszła bliżej, poprawiła zsuwającą się serwetę na stole. -

Daj mi parę złotych, muszę kupić coś na niedzielny obiad.

Patrzył na nią i myślał, że rad by się jej pozbyć za wszelką cenę, tak

bardzo mu obrzydła z tym swoim ciągłym chorowaniem, zaniedbana, rozlazła, z wiecznie potarganymi włosami i w wełnianym szlafroku koloru buraczków.

Miała tylko jedną zaletę, dla której ciągle jeszcze tolerował jej istnienie: dbała o niego, miał wszystko zawsze na czas przygotowane, uprane i wyprasowane, niemal podsunięte pod nos.

Właściwie gotów był jej też dodać i drugą zaletę, bardzo cenną przy jego zajęciach. Nigdy go o nic nie pytała. W milczeniu podawała mu zapakowaną walizkę, kiedy nagle wyjeżdżał, nie mówiąc dokąd i kiedy wróci. W takim samym milczeniu przyjmowała dwa, trzy tysiące złotych, rzucane lekką ręką na stół ze słowami: „Kup tam co dobrego!”, jak i dwie, trzy setki, kiedy było krucho z pieniędzmi.

Poza tym od dawna podejrzewał, że Maria mimo wszystko trochę się domyśla. Oczywiście niewiele, gdyż był bardzo ostrożny. Sądzi pewnie, że on zajmuje się złodziejską partanią, jakieś tam zwykłe napady, w ciemnej ulicy, jakieś pokątne handle, czym się da. A chociaż było to bardzo dalekie od prawdy, tym niemniej ona też została już wciągnięta w wir skomplikowanych wydarzeń i w tym wirze wspólnie z nim płynie.

Nigdy nie przyszło mu na myśl, że ją naraża.

I wiedział też, że w razie potrzeby nie zawaha się przed usunięciem jej z drogi.

Tymczasem jednak była mu wciąż jeszcze przydatna, toteż wyciągnął z portfela dwie setki i położył przed nią na stole.

- Starczy? - mruknął pytająco.

Wzruszyła ramionami, zgarnęła pieniądze i bez słowa wyszła z pokoju.

Mogła równie dobrze kupować tanią kielbasę i pół litra czystej, jak francuski koniak i konserwową polędwicę, było jej zupełnie wszystko jedno. Sama jadła

byłe co, najchętniej chleb ze smalcem i kaszanke. Gardziła owocami, dla niego jednak zawsze były pomarańcze, brzoskwinie, winogrona, zależnie od tego, co mogła dostać w sklepach.

„Ty mnie jeszcze kochasz?” - zapytał ją raz ze śmiechem, tak dalece słowo „miłość” nie pasowało do tej brudnawej, tłustej kobiety. Wtedy, wciąż milcząc, dała mu w twarz. Wiedział, że zranił ją boleśnie i głęboko, mimo to nie mógł pozwolić, aby choć przez chwilę miała nad nim przewagę. Bił ją długo, mściwie, a potem upił się i w nocy, po raz pierwszy od paru lat, wziął ją, jak bierze się uliczną dziewczynę, nie patrząc nawet na jej twarz.

Bał się potem trochę, czy go nie otruje i dlatego wyjechał na dwa tygodnie. Kiedy wrócił, była taka jak zawsze i nigdy nie mówili już o tamtym dniu i nocy. Sądził, że zapomniała. Maria przebrała się, włożyła grubą jesienną kurtkę, do kieszeni wsunęła siatkę na sprawunki i wyszła. Najpierw skierowała się w stronę „Delikatesów”, ale zaraz potem, przypomniawszy sobie, że to, co ma w portmonetce, musi wystarczyć nie tylko na niedzielny obiad, ale i na parę innych, zawróciła do sklepu mięsnego i stanęła w kolejce. Któraś z kobiet poznała ją, pozdrowiła uśmiechem.

- Jak zdrowie, pani Marysiu? - spytała wesoło.

- Dziękuję, lepiej - odparła.

- A co w domu? Mąż w dalszym ciągu ciągle wyjeżdża w teren?

- Tak. Cóż robie, taka jego praca.

- Porządnego ma pani chłopca! Postawny, robotny, pieniądze żonie oddaje.

Pozazdrościć, pani Marysiu!

Przełknęła ślinę, bo jakiś skurcz złapał ją za gardło, poprawiła włosy i

odpowiedziała spokojnie:

- Ma pani rację. Sama nie wiem, czym sobie na to szczęście zasłużyłam, bo ani ja ładna, ani elegancka.

- A bo to uroda najważniejsza? Żona musi umieć koło męża chodzić, dobrze ugotować, opruć go. Po to chłop do domu przychodzi - zaśmiała się sąsiadka.

Inne podchwyciły, kolejka zaczęła gadać, z wolna posuwając się do lady.

Maria umilkła. Oczy przysłoniła spuszczone powiekami, aby nikt nie mógł zajrzeć w głąb jej źrenic.

Rozdział 2

- System przekazu i odbioru informacji drogą radioliniową jest już kolegom znany, ale dla przypomnienia chciałbym zwrócić uwagę na kilka jego najważniejszych elementów. - Dyrektor Małecki nacisnął parę kontaktów. W pokoju zgasły lampy i w tym samym momencie ostry snop światła z rzutnika wykroił na przeciwległej ścianie prostokąt wielkiego ekranu. - Oto kilka modeli takich stacji, używanych w wojskach łączności - ciągnął dalej dyrektor Instytutu. - Zdjęcia robiono podczas zajęć poligonowych i sprzęt jest odpowiednio zamaskowany. Nawet anteny przekaźnikowe, jak widzicie, upodobniły się do wysmukłych sosen...

- Normalna rzecz - bąknął ktoś z tylnego rzędu.

- Tak, na pewno. To już nie do nas należy, ale ten schemat powinien was bardziej zainteresować. - Na ekranie pojawiła się mozaika kolorowych kresek, połączonych różnymi układami, które tworzyły obieg zamknięty. - Kto z kolegów chciałby objaśnić zasadę działania tego typu stacji? - zapytał

nieoczekiwanie Małecki.

- Nic trudnego, panie dyrektorze - odezwał się po chwili milczenia

inżynier Korczyk. - Jest to schemat ideowy nie konkretnego typu stacji, lecz po prostu ogólnego systemu funkcjonowania łączności radioliniowej. Idąc od lewej strony, od punktu wyjściowego „A”, mamy dwa źródła zasilania, to znaczy agregat czynny i awaryjny, dalej właściwy blok nadawczo-odbiorczy wielokanałowy o znacznej rozpiętości skali selektywnej oraz na przekątnej schematu rząd pięciu anten przekaźnikowych, które prowadzą do odbiorcy, czyli do punktu końcowego „B”. Z charakterystyki bloku nadawczego wynika, że informacje mogą być przekazywane fonią, zapisem magnetycznym lub obrazem, oczywiście dwustronnie na sąsiednich kanałach. To chyba wszystko. Żadnych nowych elementów w tym układzie nie widzę.

- Teoretycznie ma pan rację - zgodził się dyrektor. - A jednak czeka nas

kawał trudnej roboty właśnie w ramach tego układu. Nasi wojskowi fachowcy z Instytutu Łączności Radiowej zgłosili oryginalny projekt urządzenia szyfrowego, które eliminuje całkowicie możliwość przechwycenia przesyłanej informacji. Proszę spojrzeć na dwa oznaczone czerwonym kolorem elementy w punkcie „A” i „B”. Tu kryje się cała tajemnica nowego wynalazku.

Na sali rozległ się szmer zdziwienia. Posypały się pytania, ale Małecki

był powściągliwy i niewiele dodał do tego, co już powiedział.

- Nie jest naszą sprawą wnikanie w całokształt problemu - oświadczył

oficjalnym tonem. - Od wielu lat współpracujemy z wojskiem i, jak panowie dobrze wiecie, zleca się nam do wykonania tylko prace cząstkowe czy

wycinkowe. Od tej generalnej zasady nie ma i nie może być absolutnie żadnych

odstępstw. Dlatego też i tym razem nikt z nas łącznie ze mną nie dowie się, na czym polega nowy system szyfrowania. Mamy jedynie przygotować kilka skomplikowanych podzespołów na układach drukowanych z zasilaniem bateryjnym oraz praktycznie sprawdzić działanie zestawu tranzystorowego o zmiennej częstotliwości. Uprzedzam wszystkich, że całość prac oznaczonych kryptonimem R-1-A/6 ma charakter tajny i za udzielenie jakichkolwiek informacji w tym zakresie osobom niepowołanym grożą konsekwencje służbowe.

- Nie wątpię, że każdy z nas o tym pamięta - podchwycił docent Zaborski, siedzący obok dyrektora. - Byłoby jednak z pożytkiem dla czekającej nas pracy dowiedzieć się, w czym tkwi istota projektowanego systemu? Wszak już sama idea eliminacji przechwytywania informacji brzmi zgoła rewelacyjnie i ponad miarę rozbudza wyobraźnię, a to jest czynnikiem pomocnym w działaniu.

Małecki powiódł wzrokiem po zebranych i choć nie padło już żadne pytanie, wyczuł, że Zaborski strzelił w dziesiątkę.

- Szczegółów po prostu nie znam - przyznał otwarcie. - W ogólnym zarysie nowa koncepcja sprowadza się do trzech elementów wiodących: celowego zniekształcenia treści informacji, na przykład rozkazu lub meldunku sytuacyjnego, w urządzeniu nadawczym, przesłania jej w takiej postaci do odbiorcy i ponownego odtworzenia w uporządkowanym układzie przez użytkownika, oczywiście też za pomocą odpowiedniej aparatury elektronicznej.

- To znaczy, że gdyby nawet ktoś zdołał podsłuchać i nagrać treść przekazywanej informacji na linii łączności, nic z niej nie zrozumie - dodał Korczyk, uzupełniając wywód dyrektora.

- Tak, właśnie o to chodzi - zakończył Małecki. - Prawdziwą treść

depeszy może znać tylko nadawca i odbiorca. Każdy intruz, który wtargnie do sieci, usłyszy co najwyżej poszatowany zestaw nic nie mówiących dźwięków o różnej tonacji...

- I pomyśli, że trafił na żabi festiwal - dorzucił ktoś spod okna, uciszony natychmiast przez sąsiada.

Po przedstawieniu kilku jeszcze schematów i omówieniu spraw technicznych już w wąskim zakresie specjalistycznym dyrektor włączył oświetlenie i schował do metalowej kasety materiał projekcyjny.

- Który wydział ma to robić? - spytał inżynier Maciąg. Jak zwykle szykował się do opozycji. Nie należał do najpracowitszych i każde nowe polecenie budziło jego sprzeciw.

Małecki spojrzął w jego stronę, skrzywił się nieznacznie, a potem odparł:

- Przede wszystkim wydział kolegi Zaborskiego. A więc T-2. Następnie techniczny i jako pomoc drugie laboratorium. Zresztą w trakcie roboty okaże się, kto jeszcze będzie potrzebny. Nie przewidujemy jednak waszego udziału, kolego Maciąg.

Parę osób zachichotało, Maciąg zrobił obrażoną minę i chciał zareplikować, ale Małecki rzekł:

- Dziękuję teraz kolegom, pozostanie tylko docent Zaborski i ci z wydziału T-2, którzy nie mają bardzo pilnej pracy. Aha, potrzebny też będzie inżynier Czepiński z mechanicznego. Czy jest na sali kolega Czepiński?

- Jestem, panie dyrektorze!

- Może pan zostać do wieczora? Bo to trochę potrwa.

Czepiński wstał, westchnął cicho i odparł z rezygnacją:

- Oczywiście, panie dyrektorze. Jeżeli trzeba...

Zaszurały odsuwane krzesła, część obecnych na naradzie ruszyła ku wyjściu. Korzystając z chwilowego zamieszania Korczyk przecisnął się ku Czepińskiemu i szepnął mu do ucha:

- Bronek, a co będzie z twoją randką? Może cię zastąpić?

- Tylko spróbuj! - mruknął. A potem spojrzał na kolegę i powiedział z jakąś niezwykłą u niego surowością: - Lepiej tak ze mną nie żartuj! Wiesz, co ci powiem? Nie radzę nikomu wchodzić mi w drogę.

Witold przyglądał mu się przez chwilę z niedowierzaniem, a potem pokiwał głową.

- No, no... Ale cię wzięło! I to właśnie ciebie. Nigdy bym nie przypuszczał. Zawsze byłeś twardy i unikałeś kobiet.

- Ja unikałem? Nie wmawiaj mi, że nie rozumiesz... To nieprawda. Ale tamto wszystko, to... - machnął ręką lekceważąco. - Dopiero teraz, rozumiesz...

- Jak długo znasz Jolantę?

- Trzy albo cztery miesiące. Nie pamiętam, to nieważne. Wydaje mi się, że od początku świata. Gdybyś ty ją znał, wcale byś się temu wszystkiemu nie dziwił... - Mówił cicho, aż Witold pochylił się w jego kierunku, zdumiony tą nagłą wylewnością powściągliwego zazwyczaj kolegi. Odsunęli się pod okno. - Ożenię się z nią chyba. Muszę mieć pewność, że należy tylko do mnie. Chcę ją mieć zawsze... Zawsze. Rozumiesz, jak ona się spóźni o parę minut, to ja szafu dostaję, chodzę po mieszkaniu jak głupi, myślę, że ona może teraz z kimś innym... Kiedyś mnie przez nią szlag trafi.

- No to się ożeń. Na co czekasz? Będziesz ją miał od rana do rana i zaraz ci przejdzie. Ona; nie chce?

- Ona? - Czepiński nie zwrócił uwagi na ostatnie słowa, cały pochłonięty tym, co sam mówił. - O co pytałeś?

- Czy ona nie chce wyjść za ciebie.

- Nie wiem. Nie rozmawialiśmy jeszcze na ten temat. Słuchaj, Witek, przepraszam cię, czy nie masz do pierwszego?

- Ile chcesz?

- Patyka możesz?

- Fiu? Aż tyle? Zobaczę, chyba będę mógł. Ale tylko do pierwszego, bo mam różne spląty Zajdź do mnie po naradzie, będę dziś długo siedział w laboratorium. Wskoczę tylko do domu na obiad i wezmę forszę.

Idąc później korytarzem, Korczyk rozmyślał nad tym, co usłyszał od przyjaciela. Nie pierwszy raz Czepiński prosił o pożyczkę. Na liście płac, przy jego nazwisku, Witold dostrzegał coraz większe obciążenia na rzecz kasy zapomogowo-pożyczkowej, wiedział też, że Bronisław pożyczka od kogo się da. I to właśnie od kilku miesięcy. Nagle zaniepokoił się. Czyżby to właśnie piękna Jola wyciągała od swego wielbiciela tyle forsy?

*

Dyrektor Małecki rozejrzał się po twarzach osób, które zgromadził na sali, przez chwilę jeszcze wertował leżące przed nim dokumenty, a potem rzekł: Chciałbym teraz uściślić to, co powiedziałem na początku. Kompleksowy plan pracy przygotowano w Instytucie Łączności Radiowej. Harmonogram czynności jest napięty i obejmuje wiele zakładów. Zgranie tych terminów i

wykonanie zadań zgodnie z wymaganiami wojska nie będzie rzeczą łatwą.

Program naszych prac ograniczy się do przygotowania ważnych elementów wycinkowych...

- A kto będzie prowadził próby gotowego urządzenia? - zapytał docent Zaborski.

- Oczywiście wojsko - wyjaśnił dyrektor Małecki. - Obejmą one fazę sprawdzianów laboratoryjnych, stacjonarnych i polowych już z założeniem praktycznych warunków eksploatacji. Do tych prób pracownicy naszego Instytutu nie będą dopuszczeni. Chyba że - dodał z wahaniem - wystąpią jakieś zakłócenia w systemie szyfrowania wskutek naszej winy, ale takiej ewentualności wolałbym nie przewidywać.

Zebrani z aprobatą przyjęli jego słowa. Instytut cieszył się dobrą opinią i w ciągu wielu lat współpracy z wojskiem częściej zbierał pochwały i dyplomy uznania niż reklamacje.

- Zaczniemy od ustalenia norm technicznych - ciągnął Małecki, spoglądając na rozłożone arkusze tabel cyfrowych. - W ciągu najwyżej pięciu dni laboratorium przedstawi mi wyniki sprawdzianów płyt azbestowych w podstawowych skalach temperatur, z najwyższym włącznie. Kontrahent zastrzega, że obudowa układu zamiennego musi być wykonana z materiału żaroodpornego wysokiej jakości. Punkt drugi to przewody miedziane...

- Z tym nie mieliśmy żadnych kłopotów - wtrącił ktoś z działu elektrycznego.

- Tak, same przewody są bez zarzutu, ale były już zastrzeżenia do folii izolacyjnej i wymiennych złącz. To właśnie miałem na myśli. Punkt trzeci...

Nie pomagało nic. Ani natężanie słuchu, ani skupianie wzroku nad tym, co mówił i co pokazywał na planszach profesor Małecki. Czepiński bez przerwy łapał się na tym, że myśli o Jolancie. Trochę go to nawet przestraszyło, bo przecież wiedział, że w Instytucie czeka go w ciągu najbliższych miesięcy długa, trudna robota, że będzie musiał wraz z innymi przesiedzieć niejedną wieczór nad opracowywaniem detali do tego cholerskiego R-1-A/6, bo z wojskiem żartów nie ma. Jeżeli Instytut podjął się zadania, musi je wykonać w terminie. I to najlepiej jak potrafi.

Nie umiał walczyć ze sobą samym, z tym, co pochłaniało go bez reszty od kilku tygodni. Nie rozumiał, co było w tej dziewczynie... Zapominając, gdzie jest i po co siedzi na sali, pogrążył się całkowicie w tych rozważaniach.

- Zgadza się z tym, kolego Czepiński? - usłyszał nagle.

Drgnął, przerażony. Małecki patrzył w jego stronę, trochę zdziwiony milczeniem. Widocznie od paru chwil mówił już do niego.

- Co wam jest? - spytał dyrektor.

- Bardzo przepraszam, panie profesorze, mam taki ból głowy, że po prostu nie jestem w stanie... gdyby pan zechciał raz jeszcze powtórzyć?

- Nie widzę potrzeby. Zwalniam was z narady. Idźcie do domu, weźcie jakiś proszek, prześpijcie się. A w poniedziałek z samego rana zgłóście się do docenta Zaborskiego.

- Dobrze. Przepraszam jeszcze raz - powiedział i podniósł się z krzesła.

Musiał być chyba bardzo czerwony, bo ktoś mruknął współczująco o gorączce.

Wyszedł z sali, odetchnął głęboko. Nie miał gorączki, nie był wcale

chory. A jeżeli - to chorobą tą była dziewczyna. Ta szczupła, wiotka dziewczyna

o ciemnych oczach i grzywie jasnych włosów, która mówiła zawsze lekko zachrypniętym głosem, czego przedtem nie znosił, a co teraz nagle zaczęło mu się podobać, sam nie wiedział dlaczego.

Jola! - powtarzał w myślach, zbiegając ze schodów Instytutu. Cieszył się jak uczeń, którego zwolniono z lekcji. Mieli się spotkać dopiero o szóstej, ale gdyby został na naradzie, z pewnością przesiedziałyby do późnego wieczora.

Przypomniawszy sobie, co ma w szafce kuchennej i lodówce, pomyślał, że musi kupić sporo rzeczy. I nagle stanął jak wryty na chodniku. Prawda!

Przecież jest bez pieniędzy. Witold miał mu pożyczyć tysiąc złotych. Ale

Witold poszedł do domu na obiad i wróci do laboratorium dopiero za pół godziny. Wobec tego - zdecydował szybko - trzeba iść do niego do domu.

Korczyk zabierał się właśnie do obiadu. Na widok przyjaciela zdumiał

się, ale Czepiński w paru słowach wyjaśnił sytuację. Żona Witolda

zapropozowała wspólny posiłek. Bronisław jednak odmówił, tłumacząc się

pilnymi pracami w Instytucie. Słyszając to, Korczyk skrył uśmiech i obaj przeszli

do drugiego pokoju, bo Czepiński nie chciał, aby Anna wiedziała o tych

pożyczkach.

- Tylko nic nie mów żonie - prosił, jak zwykle, chowając do portfela

tysiączłotowy papierek.

- Dobra, nie bój się. Mam trochę własnej gotówki, schowanej na czarną

godzinę. Słuchaj, Bronek. Czy mogę dać ci dobrą, przyjacielską radę?

Czepiński spojrzał na niego z roztargnieniem. Chciał już iść do sklepu,

kupować dla niej, myśleć tylko o tym, kiedy przyjdzie. Nie wypadało jednak

wziąć forsę i uciekać.

- Oczywiście. Słucham cię. - Nawet mu przez myśl nie przeszło, czego ta rada mogła dotyczyć.

- Widzisz, jestem zaledwie o parę lat od ciebie starszy, ale życie znam o wiele lepiej niż ty. I dlatego, ponieważ ci dobrze życzę, stary koniu, nie chciałbym, abyś robił głupstwa.

- Jakie głupstwa?

- Ty przecież dla niej tracisz tyle pieniędzy! Myślisz, że nie widzę, co się z tobą dzieje? Opamiętaj się, chłopie. Zabrniesz w długi, zakałapućkasz się w tym wszystkim tak, że potem nie wybrniesz.

Twarz Czepińskiego nagle stężała.

- Słuchaj, Witold. Jeżeli boisz się, że ci nie oddam forsy, to masz -

wyciągnął portfel i chciał wyjąć z niego banknot, ale tamten powstrzymał jego rękę.

- Nie bądź głupi - odrzekł. - Gdybym się bał, to bym ci nie pożyczał. Nie o to chodzi.

- A, jeżeli o co innego, to szkoda słów - rzucił Czepiński porywczo. -

Dziękuję za pożyczkę. I cześć!

*

- Nie umiem żyć bez ciebie - szepnął, wtulając twarz w jej włosy.

Wiedział, że to banał, nie potrafił jednak znaleźć właściwych słów na wyrażenie tego, co czuł. Banały były tu najprawdziwsze, zresztą pewnie wszyscy zakochani mówili tak samo.

Milczała. Na ustach miała lekki uśmiech, oczy na wpół przymknięte.

Uniósł głowę i wpatrywał się z natężeniem w jej rysy, jakby chciał je

zapamiętać na zawsze. Może odczuła to, bo odparła po chwili:

- Przecież nie odchodzę.

- Ale ty mnie nie kochasz - prowokował odpowiedź; chciał to znowu usłyszeć, chciał, aby przeczyła.

- Kocham.

Wśluchiwał się w brzmienie jej głosu. Czy mówiła prawdę? Czy była szczerą? Nie potrafił sobie odpowiedzieć. Trzymał ją w ramionach, ścisnął aż do bólu te szczupłe, kruche ręce.

- Gdybyś mnie zostawiła, odszukałbym cię i zabił - powiedział, niemal bezwiednie wypowiadając ni głos swoje najskrytsze myśli.

Roześmiała się. Zaraz jednak twarz jej zasępiła się. Odwróciła wzrok, wyduła wargi, zastanawiając się nad czymś.

- O czym myślisz? - spytał, nagle zaniepokojony.

- Nic, tak sobie.

- Powiedz?

- Wyjechałabym gdzieś. Z tobą, oczywiście. Zapalił papierosa, oparł się na łokciu.

- Mam jeszcze tydzień urlopu - rzekł niepewnie. Wiedział, że w sytuacji, kiedy Instytut podpisał umowę z wojskiem, wszystkie urlopy trzeba będzie przesunąć na kiedyś tam. Zachoruję - pomyślał, z nagłą uradowany. Zaraz jednak przyszła refleksja: tak, ale wtedy trzeba będzie siedzieć w domu. Mogą sprawdzić. Z Małeckim niełatwo, szkoda gadać.

- Kupimy samochód - powiedziała żartobliwie, przesuwając palcami po jego karku. - Pojedziemy w Polskę. Sami. Będziemy nocować w przydrożnych

karczmach, jeść staropolskie potrawy. Będą nam usługiwały kelnerki w regionalnych strojach, a my usiądziemy na drewnianych zydlach. Albo na beczkach po piwie.

- Ty będziesz miała na sobie strój Krakowianki, a ja Czarnego Rycerza.

Nie pasuje do tego samochód.

- To ubierzemy się po sportowemu. Mam świetne spodnie z granatowej krempliny. I kurtkę skórzaną. Kupisz sobie taką samą, będziemy ubrani jak bliźnięta.

- Kupisz... - mruknął, nagle rozgniewany, pełen żalu do całego świata.

Poprzedniego wieczoru podliczył wszystkie długi. Razem z tym, co pożyczył dziś od Witolda, uzbierało się szesnaście tysięcy.

- Nie masz forsy? To gdzieś pożyczysz - wzruszyła ramionami. - Ale skórzaną kurtkę musisz mieć. Nawet jeżeli nie wyjedziemy z Warszawy. Chcę, żebyś chodził w skórzanej kurtce, słyszysz?

- Targnęła go za ucho, zaczęła całować. - Kupisz taką, słyszysz? -

powtarzała między jednym a drugim pocałunkiem. - Jutro. - Odsunęła się, nadała. - Bez kurtki nie pokazuj mi się na oczy.

- Coś ty, Jola! O co ci chodzi? - zdziwił go jej upór. - Czy strój jest naprawdę taki ważny?

Ale ona zerwała się i odeszła w głąb pokoju. Kiedy poszedł za nią, dostrzegł ze zdumieniem, że ma w oczach łzy. - Jola! Co ci się stało? Płaczesz o kurtkę? Nie bądźże taka głupiutka!

- Nie mogę już patrzeć na ten twój ortalionowy łach! - wybuchnęła, odpychając jego rękę.

- Na tę starą podpinkę ze sztucznego misia! Chcę, żebyś był ładnie ubrany. Elegancko. Pójdziemy do „Kamieniołomów”, do „Cristalu”, wszędzie pójdziemy razem, ale musisz się tak ubrać, żebym... - urwała, zacięła wargi.

Dokończył za nią:

- Żebyś się mnie nie wstydziła, tak? Zarzuciła mu ręce na szyję, poczuł jej łzy na swoich policzkach.

- Broniek, nie gniewaj się! - prosiła cicho. - Przecież ja cię kocham, ale...

Zrozum, ja jestem przyzwyczajona do eleganckich mężczyzn, razi mnie wszelka tandeta, nie potrafię inaczej. Ja nie chcę, żeby takie drobiazgi odsuwały mnie od ciebie.

Pokiwał głową, już nie musiała mu więcej tłumaczyć. Kiedy potem odeszła - nie chciała, żeby ją odprowadzał - rzucił się na tapczan, podłożył ręce pod głowę i leżał, wpatrzony w sufit, przez długie wieczorne godziny. Co ja mam zrobić? - myślał. - Skąd wziąć te przekłete pieniądze? Okraść bank?

Nonsens. Sklep jubilerski? Trzeba mieć wspólnika, zresztą nie potrafię.

Sprzedać coś?

Rozejrzał się po pokoju. Radio, telewizor, książki naukowe. W biurku był pierścionek i obrączka, po matce. Za pierścionek nie dadzą więcej niż tysiąc złotych, może nawet nie. Za obrączkę, jeżeli w ogóle ktoś kupi... może na bazarze? Tam trzeba się znać, umieć się targować. Jeżeli nawet uzbiera na skórzaną kurtkę, co zrobi z długami?

Wstał, poszedł do kuchni, nastawił wodę na kawę. Wiedział, że i tak nie zaśnie. Szesnaście tysięcy! A przecież Jola chce z nim pójść na kolację, zabawić się! To jasne, że nie zaprowadzi jej do knajpy na Targową ani do baru

mlecznego. Na „Bristol” czy inną „Europejską” trzeba mieć w kieszeni... trzeba mieć najskromniej pięćset. Dochodzi nocna taksa, szatnia, coś tam jeszcze.

Zgasił gaz, ubrał się i wyszedł z domu. Dwa, trzy kieliszki - postanowił, kierując się w stronę najbliższego lokalu nocnego. - Może potem coś mi przyjdzie do głowy, jakieś wyjście.

Siedział później przy barze, wypił duszkiem kieliszek soplicy, zagryzł kawałkiem szynki. Poczł, że jest głodny i przypomniał sobie, że przecież nie jadł kolacji. A, co tam! - myślał, zamawiając dwie kanapki i tatar. - Te parę złotych i tak mnie nie zbawi.

Ktoś potrącił go w łokieć, z kieliszka wylała się wódka.

- O przepraszam! - wykrzyknął mężczyzna krępy, siwawy, który siedział po jego prawej ręce. - Bardzo pana przepraszam. Doprawdy, ja zaraz... Panie Władziu - zwrócił się do barmana - jeszcze raz taką samą wódeczkę.

- Ależ nie trzeba - próbował protestować Czepiński, ale tamten był uparty.

- Nie, proszę pana - mówił stanowczo, choć z uśmiechem na ustach. - Ja zawiniłem, ja naprawię. Zresztą, jeżeli pan pozwoli, wypijemy razem. Stakwit - przedstawił się, wyciągając rękę. - Takie dziwne nazwisko, ale imię normalne. Włodzimierz. Co prawda w firmie nikt nie potrafi tego prawidłowo wymówić, więc nazywają mnie „Lodi”.

- Bardzo mi miło - bąknął, ściskając obcą dłoń. - Czepiński, na imię mam Bronisław. Inżynier.

- Co pan powie! Ja również. Witam kolegę!

Barman postawił przed nimi dwie wódki, zakąski, pieczywo. Stakwit, smarując masłem bułeczkę, spytał grzecznie:

- A, jeżeli można wiedzieć, jaka jest pańska specjalność?

- Mechanika precyzyjna.

- Dobry fach. Ja jestem elektronikiem, ale bez mechaników nie moglibyśmy się obyć. Pańskie zdrowie!

- Przepraszam - powiedział Czepiński. Czuł miły szum w głowie, zapomniał już o kurtce i długach. - Dlaczego pan... o tej firmie? Że nie potrafia wymówić?

- A, bo ja mieszkam w Wielkiej Brytanii - roześmiał się jego towarzysz. - Pracuję tam u „Thompsona”. Duża firma, zamożna. Przyjechałem do Polski, bo podpisujemy kontrakt z... no, to na razie tajemnica. W każdym razie z jedną z waszych firm. To znaczy, z centralą handlu zagranicznego.

- Ale chyba pan tu jest długo, skoro zna pan barmana - zauważył Czepiński przytomnie.

Tamten znowu się roześmiał.

- Widzi pan, jestem prawie dwa tygodnie i każdego wieczoru przychodzę tu na kolację. Stąd znamy się z panem Władysławem. Mamy zresztą podobne imiona, to nas jakoś zbliżyło. Czyż nie tak, panie Władziu? - zwrócił się do barmana, który słuchał tego z uśmiechem.

- Oczywiście, panie inżynierze! - zapewnił skwapliwie. - Jeszcze wódeczkę?

- Nalej pan.

- Nie, ja już nie - bronił się Czepiński. - Nie byłem przygotowany, pan rozumie. Wyszedłem z domu tylko na kwadrans.

- Głupstwo, mam dosyć polskich pieniędzy. - Stakwit machnął ręką

niecierpliwie. - Firma mi to zwróci, więc niech pan się nie krępuje. Jestem tutaj właściwie sam i już mi to dokuczyło. Chętnie z panem posiedzę, porozmawiam.

- Pierwszy raz przyjechał pan do kraju? - spytał Czepiński, kiedy pili kawę, a zagraniczny gość zamówił po kieliszku koniaku. Było mu dobrze, spokojnie, wszystkie kłopoty gdzieś uleciały, po prostu ich nie było.

- Tak. Wyjechałem jesienią trzydziestego dziewiątego. Zatrzymałem się potem w Anglii i tak już jakoś zostałem. Ożeniłem się z Angielką, mamy dwoje dzieci. Muszę panu powiedzieć, że podziwiam ten wspaniały rozmach, z jakim odbudowaliście wszystkie zniszczenia wojenne. Zwłaszcza Warszawę. Prawdziwa metropolia! Piękne miasto.

- A może pan już zostanie w kraju?

- E, nie. Mamy tam dom, ogródek, dzieci nie mówią po polsku. Żona, widzi pan, nigdy by nie wyjechała na stałe za granicę. Ma w Anglii kupę rodziny, znajomych. Zresztą ona też nie zna polskiego. Owszem, pewnie na przyszły rok przyjedziemy tutaj latem, całą czwórką. Na wakacje. Nad morze albo do Zakopanego. Panie Władziu, jeszcze po jednym!

- Innym to dobrze... Bez kłopotów i w ogóle - odezwał się nagle Czepiński, nie bardzo wiedząc już, do kogo mówi. - A ty, człowieku, głupiej kurtki nie możesz sobie... Ech, życie!

- Ma pan kłopoty, panie Bronku? - Stakwit przyglądał mu się życzliwie. - Może mógłbym w czymś pomóc? Niech pan się nie krępuje. Może potrzebna panu gotówka?

- Nie, co też pan! Tak tylko sobie powiedziałem.

- Wypijmy. Dobry ten koniak.

- Świetny. Mów do mnie: Bronek. Jesteś swój chłop, chociaż ożeniłeś się z Angielką - bełkotał Czepiński, rozlewając koniak na bufet. - Daj pyska, przecież jesteś rodak. Cholera w bok, głupiej kurtki nie mogę... Strasznie cię lubię, Włodek!

- Wypij, Bronek. Nie żałuj sobie. Panie Władziu, jeszcze raz to samo!

*

Zbudził się z jękiem. Zdawało mu się, że coś rozsadza mu głowę i bije rytmicznie w skronie. Przez chwilę nie otwierał oczu, leżał nieruchomo, czekając, aż ten ból i to bicie trochę ucichnie. Potem zorientował się, że to krew tak pulsuje w skroniach. Uniósł powieki, syknął i rozejrzał się dokoła.

Leżał w swoim pokoju na tapczanie, nakryty kołdrą. Zobaczył buty, ustawione trochę niedbale pod krzeselkiem, z którego zwisał płaszcz i szalik. On sam leżał w ubraniu, spocony z gorąca. W pokoju było duszno, przez żółte zasłony przedzierał się dzień, musiało już być późno. Na biurku paliła się lampka, widocznie przed zaśnięciem zapomniał zgasić.

Dobrze, ale dlaczego położył się w ubraniu?

Odrzucił kołdrę, usiadł. Głowa bolała straszliwie, aż w oczach ćmiło.

Wiedział jednak, że musi wstać. W tej bolącej głowie kołatała niemrawo myśl o jakiejś radiolinii, o umowie z wojskiem... Dyrektor Małecki coś od niego chciał, poza tym Jola też chciała... ale co?

- Nigdzie nie pójde - mruknął, zbolały i nieszczęśliwy.

Zdjął ubranie, ściągnął z trudem przepoconą koszulę i skarpetki. Zgięty w pół, bosy podreptał do łazienki i puścił sobie na głowę strumień lodowatej wody. Zatrząsł się, omal nie upadł, ale wytrwał pod zimnym prysznicem tak

długo, aż ból powoli zaczął odpływać i cichnąć.

Potem przyrządził sobie szklankę „szatana”, wypił prawie duszkiem, parząc usta i gardło. Włożył czystą koszulę, spojrzął na zegarek i przeraził się. Było dwanaście minut po jedenastej.

- Przecież zachorowałem - powiedział głośno, jakby te słowa mogły dotrzeć do uszu dyrektora Małeckiego. Usiadł przy biurku. Znalazł wzrokiem kalendarz, trwało jednak dobrą chwilę, zanim znękanym umysłem przyswoił sobie treść tego, co dojrzały oczy. Na kalendarzu bowiem widniał napis „sobota”. A ponieważ rano nie zdążył jeszcze zerwać kartki, to dzisiaj jest niedziela.

Pomyślał jednak, że trzeba sprawdzić. Nakręciwszy numer informacji miejscowej spytał z pewnym zażenowaniem, jaki to dzień, i usłyszał na wpół ze śmiechem podaną odpowiedź telefonistki. Zgadzało się, a panienska pomyślała pewnie, że pytający jest na potężnym kacu. To również się zgadzało.

Z kim ja wczoraj piłem? - myślał, otwierając szeroko okno. Próbował przypomnieć sobie, gdzie był, cofał się myślą do odwiedzin Joli. Zaraz, czego to ona chciała? Przypomniawszy sobie nieszczęsną skórzaną kurtkę i spochmurniał. No dobrze, a potem? Wyszedł z domu...

I nie wrócił - dokończył w myślach, czesząc się w łazience.

Owszem, wrócił. Najlepszy dowód, że znalazł się na własnym tapczanie.

Ale pić musiał, miał rzeczywiście wielkiego kaca, tylko z kim i gdzie? Czyżby potem poszedł jeszcze raz do Witolda? Nie, nonsens. Z nim nie ma żadnego picia, zresztą Witold był zajęty robotą w laboratorium. Więc może z kimś z mechanicznego. Z Wojtkiem? Z Andrzejem? Andrzej za granicą. Pojechał przecież do Anglii...

- A, wiem! - zawołał uradowany. Oczywiście, to ten Polak z Anglii,

Włodek. Ma jakieś dziwne nazwisko, mniejsza o nie. Pili w barze, o czymś tam gadali. No, a później?

W żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, jak dotarł do domu.

Przerwa w życiorysie - myślał, wiążąc krawat. Cóż, zdarza się. Pewnie tamten wsadził go do taksówki. Widać wcześniej zapytał go o adres. Właściwie należałoby teraz zadzwonić, podziękować, przeprosić za kłopot. Ba, ale jak on się nazywa? I gdzie mieszka? Nazwisko miało chyba coś wspólnego z rachunkiem. Czy z czekiem. Albo z kwitem. Tak! Kończyło się na „kwit”. A co było przedtem? Bakwit? Rekwit?

- Stakwit! - wykrzyknął. Włodzimierz Stakwit. No, to już coś. Mieszka pewnie w którymś z hoteli. Trzeba popytać w recepcjach.

Zaparzył jeszcze jedną kawę, postawił szklankę na biurku, sięgnął po książkę telefoniczną i przewracał kartki, szukając hoteli. Nagle telefon zadzwonił.

- Słucham, Czepiński - powiedział przyciskając łokciem słuchawkę.

Gdzież te hotele się podziały?

- Dzień dobry - usłyszał z tamtej strony. Mówił mężczyzna, nie przedstawił się jednak, głos był obcy.

- O co chodzi? - burknął niechętnie. Pewnie pomyłka.

- Pan inżynier Czepiński?

- Tak. Kto mówi?

- Nieważne. Będę się streszczał, proszę słuchać. Czy pan pamięta, inżynierze, gdzie pan był tej nocy?

- Gdzie ja byłem? - powtórzył zdumiony. - Ale kto mówi?
- To nieważne. Czy pan pamięta, co i komu pan mówił? Czepiński milczał przez chwilę, zbierając myśli.
- Nie rozumiem - rzekł niepewnie. - O co panu chodzi?
- Powiedziałem chyba dość wyraźnie. Czy pan pamięta, gdzie pan był, co i komu mówił? Tej nocy. Zanim znalazł się pan w domu.
- Czy to... czy to pan Stakwit?
- Nie ma pana Stakwita. Naprawdę nie może pan sobie przypomnieć?
- Wiem, że byłem właśnie z nim. Ale ja nie będę rozmawiał z anonimami!
- zdenerwował się. - Niech pan poda swoje nazwisko albo odłóż słuchawkę.
- Mogę podać jakiegokolwiek. Kowalski czy Wiśniewski. Wystarczy?
- Nie, bo pan się tak wcale nie nazywa.
- A skąd pan wie, jak ja się nazywam?
- Proszę pana... - zaczął Czepiński gniewnie i umilkł. Nie wiedział, co ma powiedzieć, należało rzucić słuchawkę, chciał jednak rzeczywiście dowiedzieć się od tamtego, gdzie to niby miał być i o czym mówić. - Skąd pan mnie zna? Oczywiście wygrzebał pan mój numer z książki telefonicznej. Żadna sztuka. Jakieś głupie dowcipy!
- Wobec tego zaraz pana przekonam, że z żartami nie ma to nie wspólnego. Cztery dni temu, dokładnie w czwartek o godzinie dwudziestej dziesięć, wszedł pan z młodą kobietą do restauracji „Ambasador” w Alejach Ujazdowskich. Usiedliście przy trzecim stoliku, licząc od drzwi, po prawej stronie. Obsługiwał was kelner o czarnych włosach, wysoki. Piliście jarzębiak eksportowy. Wyszedł pan ze swoją dziewczyną... nawiasem mówiąc, ma pan

dobry gust, udała się panu babka... więc wyszedł pan z nią o dwudziestej drugiej sześc. Przeszliście pieszo do placu Trzech Krzyży. Tam wsiedliście w taksówkę.

Mam mówić dalej?

Czepiński słuchał przerażony i zdumiony. Kim był tajemniczy

rozmówca? Ktoś go śledził. Milicja, może służba bezpieczeństwa. Ale po co?

Dlaczego?!

- Kim pan jest? - spytał szeptem, chociaż w mieszkaniu nie było nikogo. -

Dlaczego pan za mną chodzi?

- A tej nocy pił pan w barze „Sandwich”. Najpierw sam, potem z

obcokrajowcem, Włodzimierzem Stakwitem. Zgadza się?

- Słuchaj pan! Ja sobie wypraszam, żeby pan mnie śledził! Jeżeli milicja

ma coś przeciwko mnie, to proszę mnie wezwać do komendy i powiedzieć

jasno, o co chodzi. Ja mam czyste sumienie. Nikogo nie zabiłem, nie okradłem.

Jestem absolutnie w porządku!

- Naprawdę? - W obcym głosie drgał powstrzymany śmiech. -

Zapewniam pana, że nie mam nic wspólnego z milicją. Ale w to pańskie czyste

sumienie trochę wątpię. I dlatego jeszcze raz powtarzam, żeby pan sobie dobrze

przypomniął, gdzie pan był, co i komu pan powiedział. Nie w barze. Potem,

zanim pan się znalazł w domu. A jeżeli pan w żaden sposób nie będzie mógł

sobie tego przypomnieć, to jutro ja to panu przypomnę. Do widzenia!

Czepiński usłyszał leciutki trzask odkładanej słuchawki. Powoli odłożył

swoją i siedział czas jakiś, bezradny i ogłupiały. Przyszedł mu na myśl Korczyk

i już wyciągał rękę, aby do niego zadzwonić, ale zrezygnował. Witold był co

prawda jego przyjacielem, człowiekiem, do którego miał zaufanie i którego rad

często zasięgał, chociaż nie zawsze potem do nich się stosował. Tym razem jednak musiałby powiedzieć, że za pożyczone od niego pieniądze uchlał się w knajpie. Było mu wstyd. Cholernie wstyd. Nie, do Witolda nie mógł zadzwonić. A w takim razie musi to sam załatwić. Trzeba znaleźć Stakwita, pogadać. Facet był taki sympatyczny.

Zaczął systematycznie wydzwaniać do recepcji hotelowych. Powtarzał wiele razy to trudne, dziwne nazwisko i z coraz większym niepokojem czekał na odpowiedź. Wszystkie były jednakowe: pan o takim nazwisku nie mieszkał nigdy i nie mieszka. W jednym z hoteli poradzono mu życzliwie, aby poszukał w kwaterach prywatnych. Być może tam zatrzymał się ów Polak z Anglii. Może też mieszka po prostu u znajomych.

- Szukaj wiatru w polu - szepnął po paru godzinach, zmęczony telefonami. Pomyślał, że nie zna nawet nazwy tej centrali handlu zagranicznego, z którą Stakwit pertraktuje. A kiedy zorientował się, że musiałby w tym celu od poniedziałku rano wydzwaniać po kolei do wszystkich universalów, metronexów, prodimexów i jak tam się jeszcze nazywają... że telefonicznie i tak mu pewnie nikt nie udzieli informacji, zwłaszcza że, jak sobie teraz przypomniał, umowa z firmą Stakwita jest podobno tajna - poczuł, że ogarnia go rozpacz. Nie, tą drogą do niczego nie dojdzie.

Pozostało więc tylko czekać na następny telefon.

*

W poniedziałek Czepiński miał od rana urwanie głowy. Najpierw sekretarka docenta Zaborskiego zawiadomiła go, że o ósmej trzydzieści jest narada w sprawie R-1-A/6. Zaraz potem kierownik wydziału mechanicznego

zażądał stanowczo, aby jego pracownik i zastępca - Czepiński piastował tę funkcję od pół roku - zainteresował się bliżej robotą w hali czwartej, gdzie już drugi dzień stała bezczynnie nowa obrabiarka.

Zanim inżynier zdążył odpowiedzieć, że przecież kazano mu być do dyspozycji Zaborskiego, zadzwonił telefon. Dyrektor Małecki życzył sobie porozmawiać z Czepińskim „w trybie pilnym”.

- Nie rozerwę się! - warknął inżynier, rzucając słuchawkę. Spojrzał na zegarek, było dwanaście po ósmej. Porwał z biurka długopis - wiedział, że jak go zostawi, to już potem nie znajdzie, zawsze tak było” z długopisami - i pognął na drugie piętro, do Małeckiego.

Tak potem szło przez cały dzień: narady, rozmowy, pośpieszne notowanie zadań, szklanka kawy w przerwie pomiędzy jedną a drugą konferencją, użeranie się z technikami w czwartej hali, którzy nie mogli sobie dać rady z cholerną obrabiarką. Pośpieszny obiad w stołówce, znowu kawa, nowa paczka papierosów, rozrywana niecierpliwymi palcami, jeszcze jedna rozmowa...

O szóstej wieczorem obrabiarka nagle ocknęła się i zaczęła pracować.

Czepiński, usmolony i zziajany, powłókł się do swego pokoju. Zrzucił kombinezon roboczy, długo mył ręce, zasmarowane farbą i olejami. Idąc potem przez ulice zastanawiał się, jak pogodzi pracę w wydziale z robotą przy R-1-A/6. To, co mieli wykonać w Instytucie, interesowało go bardziej niż zastępowanie szefa w mechanicznym. A może by na stałe przenieść się do Zaborskiego? - myślał, wkładając klucz do zamka.

W przedpokoju na podłodze leżało coś białego. Schylił się, podniósł. To był list. Do niego. Zdziwił się, że nie włożono go do skrzynki. Zaraz jednak

dojrzał, że na kopercie nie było znaczka. Ktoś musiał wsunąć list szparą pod drzwiami.

Wszedł do pokoju, zrzucił płaszcz i usiadł na tapczanie. Rozerwał kopertę, wyjął złożony wąski prostokąt papieru.

„Panie inżynierze! Wczoraj obiecałem panu telefon, wolę jednak inną formę naszych kontaktów. Chcę zresztą, aby pan mógł dłużej zastanowić się nad tym, co pan zaraz przeczyta w moim liście. A więc zaczynam. W nocy z soboty na niedzielę był pan na tyle pijany, że wszelkie hamulce moralne, jeżeli pan je oczywiście posiada, przestały działać. Był pan jednocześnie na tyle trzeźwy, że rozumował pan dość logicznie. Nie zawiodła pana w każdym razie pamięć.

Dlatego udzielił nam pan sporo informacji, które w nomenklaturze służbowej określane są jako tajne.

Powiedział nam pan na przykład o pracach wydziału mechanicznego nad układem zamiennym do stacji radioliniowej. Nie odkrywacie Ameryki, bo takie systemy są już znane w innych krajach, ale wasze ulepszenia mogą być bardzo interesujące. Już sama zasada kodowania, uwzględniająca kilkaset zmiennych wariantów podczas jednej emisji, stanowi odkrycie wielkiej wagi...”

W miarę jak czytał robiło mu się na przemian zimno i gorąco. Nieznany autor dość dokładnie wyliczał niektóre usprawnienia, wprowadzone do urządzeń przygotowywanych przez Instytut. Choć nie podawał bliższych szczegółów technicznych, już samo zasygnalizowanie kierunku prac było ujawnieniem tajemnicy i groziło wyciągnięciem surowych konsekwencji...

„Jest to zresztą tylko część informacji, których pan nam udzielił. Jestem przekonany, że gdyby doszło to do pańskich szefów, czekałaby pana nie tylko

dymisja, ale i sprawa karna. A teraz proszę sobie wyobrazić, że wcale sobie tego nie życzymy. Wprost przeciwnie, zależy nam na pańskim zdrowiu, wolności i dalszej pracy w Instytucie. Oczywiście za cenę jeszcze kilku takich informacji jak opisana wyżej. Chcę podkreślić, że potrafimy się odwdzięczyć. To, czego dowiedzieliśmy się w ową noc, było nam w pewnym sensie znane, potrafimy jednak docenić uzupełnienie danych. Dlatego po przeczytaniu listu niech pan zajrzy do przedpokoju. Będzie tam drugi list, który z pewnością pana ucieszy. Na razie do widzenia”.

- Drugi list? - szepnął zdziwiony. Zerwał się z tapczana, wybiegł do przedpokoju.

Tak. Na podłodze, na której poprzednio z całą pewnością znajdowała się tylko jedna koperta - ta, którą przed chwilą rozerwał i wyjął z niej list - teraz leżała inna. Też biała, podłużna, może tylko nieco grubsza. Podniósł ją ostrożnie, jakby bojąc się, czy nie wybuchnie. Obejrzał, była bez adresu, ale starannie zaklejona. Wrócił do pokoju, znowu rozerwał kopertę.

W środku tkwiły, równo ułożone, banknoty. Dziesięć setek. Lekko podniszczone, jakby ofiarodawca chciał go zapewnić, że to nie żadne oszustwo, żadna tam prywatna fabryka pieniędzy, ale uczciwe papierki z Narodowego Banku Polskiego.

Nie wiadomo dlaczego przyszło mu na myśl, że to Witold urządził mu taki idiotyczny kawał. Witold zna przecież cały przebieg prac nad układem zmiennym, pomagał w ulepszeniach, chociaż sam jest w laboratorium chemicznym. A wiedząc o kłopotach finansowych Czepińskiego postanowił w taki oto, może zbyt zawiły sposób, przesłać mu następną pożyczkę.

- Osioł! - mruknął, podchodząc do telefonu. Nakręcił numer Korczyka, czekał chwilę, zanim z tamtej strony podniesiono słuchawkę. Odezwała się żona Witolda.

- Dobry wieczór, Aniu - powiedział. - Jest Witek?

- Jak to, nie wiesz? - zdziwiła się. - Przecież od niedzieli wieczór siedzi w Krakowie.

- W Krakowie? - powtórzył. Zrozumiał, że cała jego koncepcja upada. -

Po co tam pojechał?

- Nie mówił ci? Prawda, że sam dowiedział się dopiero w niedzielę rano.

Zadzwoił jego szef, coś tam ze sobą gadali i Witek pojechał. Mówił, że wróci we środę albo w czwartek.

- Aha. No, to nie przeszkadzam ci. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę. Nagle drgnął, skoczył do drzwi wyjściowych.

Oczywiście na schodach nie zobaczył już nikogo, trzeba to było zrobić od razu, natychmiast po otwarciu pierwszego listu. Ten ktoś widocznie sobie obliczył, ile minut trwać może w przybliżeniu czytanie, i w tym czasie wsunął drugi list.

Gdyby z miejsca wyskoczyć na schody, nawet na ulicę...

Usiadł i spoglądał na obie koperty, na rozłożony list, na dziesięć czerwonych banknotów. Tysiąc złotych. Dokładnie tyle, ile pożyczył od Korczyka. Raptem złapał się na myśli, ile też może kosztować skórzana kurtka. Przypuszczał, że dwa, trzy razy więcej. Tysiąc złotych... Nisko go ocenili ci „oni”.

Przeczytał list raz jeszcze. Uderzyło go, że autor najpierw pisał w formie pojedynczej, jakby od siebie, potem nieznacznie przeszedł na „my”. Kto to jest:

„my?” Pewnie ten Stakwit i jeszcze ktoś. Co to za ludzie? Tak czy inaczej powinien natychmiast pójść z tymi listami i pieniędzmi do komendy dzielnicowej MO. Albo wprost do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Niech zbadają odciski palców na kopertach, na banknotach. Może znajdą tych „ich”. Podniósł się, ale zaraz usiadł z powrotem. I co powie tam, w milicji czy w ministerstwie, jeżeli go zapytają, czy to prawda z tym układem zamiennym? Co zrobią oficerowie śledczy, jak się dowiedzą, że on, inżynier z instytutu, pracującego dla wojska, upił się, w dodatku z jakimś podejrzanym, zagranicznym facetem, poszedł czy pojechał z nim gdzieś - nie wiadomo gdzie - i mówił o sprawach, które są ściśle tajne...

Wiadomo, co zrobią. Poinformują o wszystkim Małeckiego. A ten nie będzie się wahał. Zresztą takie są przepisy. Każdy pracownik wie, co go czeka, jeżeli dopuści się zdrady tajemnicy służbowej. Przecież on też podpisał specjalne oświadczenie, że nigdy nikomu - i tak dalej.

Rozdział 3

- Bronek, powiedz, co ci jest?

- Dziewczyno, ty i tak tego nie zrozumiesz. A zresztą nic mi nie jest.

Przeziębilem się, głowa mnie boli.

- Dlaczego kłamiesz?

Odwrócił twarz, zaciął usta. Przez parę minut trwało między nimi niedobre milczenie. Jola gładziła delikatnie jego ciemne włosy, zawsze trochę sterczące gdzieś na czubku głowy. Nie dawały się przyczesać, poza tym zwisały prawie na ramiona i Czepiński miał z tym czasami kłopoty. Długie włosy nie podobały się dyrektorowi. Nic nie mówił, ale spoglądał wymownie na inżyniera

i chrząkał z dezaprobatą. Kiedyś powiedział - tak w przestrzeń, nie kierując tego do nikogo konkretnie - że z długimi włosami można wywołać pożar w laboratorium. Zwłaszcza w pobliżu palnika. Czepiński potem przez parę dni nie wchodził do „chemików”, którzy na jego widok wołali przez korytarz, że już dzwonią po Straż Pożarną.

- Nie kłamie - powiedział wreszcie.
- Znam cię lepiej, niż ci się zdaje.
- Widać nie znasz.
- Masz kłopoty z forszą?
- Przestań! - zachnął się gniewnie.
- Nie kupiłeś skórzanej kurtki, więc nie masz pieniędzy.
- Słuchaj, sprawy finansowe zostaw mnie, dobrze?
- Więc co ci jest? Czy naprawdę nie możesz mi powiedzieć.

Mimo woli zaprzeczył ruchem głowy.

Jakże jej to powie? Wczoraj był drugi telefon. Obcy człowiek głosem, w którym wyraźnie czuło się uśmiech, rzekł:

- Cieszy nas, że pan przyjął pieniądze.
- Bardzo nisko pan mnie wycenił! - warknął ze złością.
- Ależ nie! Cenimy pana bardzo wysoko. Nawet pan nie przypuszcza jak wysoko. To była zaledwie drobna zaliczka. Ot, tyle tylko, aby pan mógł pójść z ładną dziewczyną na kolację.
- Odczepcie się od mojej dziewczyny. A pieniądze odniosę na milicję.

Jeszcze dziś. - Spojrzał na zegarek, była jedenasta w nocy. - Nie dziś, ale jutro z samego rana.

- Świetnie. Przy okazji milicja otrzyma również kopię naszego

pierwszego listu. Tego o układzie zamiennym.

- Milicja anonimami się nie interesuje!

- Kto panu powiedział, że to będzie anonim? Nic podobnego. Milicja

dostanie list od przyzwoitego, uczciwego obywatela, z nazwiskiem, adresem,

nawet telefonem. I będzie mogła sprawdzić. Bo ten obywatel był świadkiem

pańskiej wylewności w zakresie ujawniania tajemnicy służbowej. Tamtej nocy.

*

- Czego wy ode mnie chcecie?! Co ja wam zrobiłem... - jęknął

wyczerpany nerwowo, zmęczony jak po całodiennej naradzie.

- Jest pan nam potrzebny. To wszystko.

- Ale dlaczego ja, do ciężkiej cholery? Wybierzcie sobie inną ofiarę

waszych machinacji, a mnie zostawcie w spokoju. Zresztą nie ma o czym gadać,

jutro idę na milicję.

Rzucił słuchawkę. Telefon więcej nie odezwał się. Ale Czepiński nie

poszedł do komendy ani następnego dnia, ani później. Bał się. Wiedział jednak,

że telefon znów zadzwoni. A on ten tysiąc złotych rzeczywiście wziął. Co

gorsza, wydał. Poszli z Jolą na kolację do „Cristalu”, zostało mu niecałe trzysta.

Zbliżał się pierwszy października i Korczyk upomni się o zwrot długu. Upomni

się; też Wojtek Żarski. Obydwu trzeba będzie oddać.

Razem dwa i pół tysiąca. W kasie pożyczkowej jest zadłużony na

dwanaście tysięcy. U Danki, sekretarki jego wydziału, miłej Danusi, która -

wiedział o tym - kochała się w nim skrycie, „wisi” na półtora tysiąca. Razem

szesnaście, jak obszył.

- Bronek, kochanie... - Poczul usta Joli na swoich. - Czym się martwisz?

Kochała go na pewno. Czuł to, chociaż chwilami nie wierzył, pełen nieuzasadnionej niczym zazdrości, skrytych obaw, przerzucając się z jednej ostateczności w drugą. Kochała go, tak.

A może kochająca dziewczyna potrafi znaleźć dla niego dobrą radę?

Kobiety są sprytne. Sprytniejsze od mężczyzn, zaradniejsze. Gdzie chłop nie może, tam babę...

*

Zdecydował się na to jednak dopiero po kilku dniach. Przez ten czas gorączkowo szukał jakiegoś wyjścia, chociażby z długów. Znalazł pracę zleconą, wykonał ją w ciągu dwóch nocy. Chodził potem po Instytucie z podkrążonymi oczami i zmęczoną twarzą, a Witold zrobił żartobliwą uwagę o wyczerpującym trybie życia, zwłaszcza w nocy. Czepiński nie zaprzeczył.

Wolał, żeby tamten nic o nim teraz nie wiedział.

Za pracę jednak mieli zapłacić dopiero w połowie przyszłego miesiąca i sytuacja stawała się krytyczna. Zaniósł do komisji niemiecki aparat fotograficzny, przywieziony w zeszłym roku. Przyjęli, postawili na półce: będzie amator, to się sprzeda. Znowu trzeba było czekać. Zaniósł do „Jubilera” pierścionek. Nie chcieli, powiedzieli, że staromodny, nieładny.

Wrócił do domu, schował pierścionek do biurka. Kiedy zadzwonił telefon, wiedział już, że to znowu tamten człowiek.

- Chcemy panu coś zaproponować - powiedział obcy bez wstępu. - Ma pan znajomego w fabryce M-11, na Woli. Ten znajomy nazywa się Józef Kiełbisz, jest referentem ekonomicznym w dziale zawierania umów

zagranicznych. Zgadza się?

- Tak - przytwierdził, mimo woli zaciekawiony, co też mu zaproponują.

Być może, będzie to coś „legalnego”.

- Dobrze. Fabryka M-II rozbudowuje się, chce kupić we Francji urządzenia i maszyny. Ma w tej chwili oferty z pięciu firm. Dwie nas nie interesują, natomiast trzy pozostałe tak. Pan Kiełbisz ma dostęp do wszystkich ofert. Chcielibyśmy dowiedzieć się, jakie urządzenia i po jakich cenach ofiarowują firmy: „Jean Marque”, „Chemi-export” i „Basac”. Zapisał pan?

- Nie.

- Dlaczego?

- Zaraz, nie mam czym. Niech pan poczeka. - Sięgnął po długopis i jakąś kartkę. - Proszę powtórzyć nazwy firm. - Znał francuski, wiedział też, co produkuje „Basac”, o pozostałych słyszał po raz pierwszy. - I co dalej?

- Zadzwonimy do pana jutro wieczorem. Otrzyma pan za te informacje cztery tysiące złotych.

Błyskawicznie obliczył: Danką, Witoldem i Wojtkiem, razem akurat właśnie tyle. Zdziwił się: czyżby wiedzieli o tych długach? Szybko odrzucił tę myśl, tak była niedorzeczna. Po prostu zbieg okoliczności.

Znalazł jakoś godzinę, w czasie której udało mu się wyrwać z Instytutu i pojechać do Kiełbisza. Nie miał pojęcia, jak zdobędzie informacje, których od niego żądali. Pocieszał się myślą, że nie obciążą zbyt swego sumienia.

Ostatecznie, miała to być tylko odpowiedź na pytanie, co proponują fabryce zagraniczne firmy, a nie żadne tajemnice produkcyjne.

Kiełbisza znalazł w jego małym, ciasnym gabinecie. Użerał się z kimś

przez telefon i ucieszył wyraźnie na widok dawno nie widzianego kolegi.

Zaczęli rozmowę o tym i owym. Czepiński już wcześniej wszystko sobie obmyślił - niby to chciał Kiełbisa zaprosić do siebie, pogadać, odnowić przyjaźń. Kolega nawet się nie zdziwił, przeciwnie, był naprawdę wzruszony i zadowolony. Czepiński przypomniał sobie, że Józef darzył go sympatią.

Imponowało mu jego wykształcenie i pozycja. W końcu zastępca kierownika wydziału w Instytucie to o wiele więcej niż starszy referent.

W trakcie rozmowy Czepiński dostrzegł na biurku stos dokumentów i powiedział z odrobiną ironii w głosie:

- Załatwiasz pewnie jakieś przydziały materiałów dla fabryki? Ciężki jest żywot zaopatrzeniowca.

- Ależ nie! - obruszył się Kiełbisz. - Ja się przecież zajmuję tylko ofertami zagranicznymi. Mam kontakty z firmami, jeżdżę do Francji, do Włoch.

- A cóż wy stamtąd sprowadzacie? - zainteresował się uprzejmie.

Wypadło to zupełnie naturalnie i Kiełbisz udzielił mu szerokiej informacji na temat ofert, cen, rodzajów urządzeń. Pokazał nawet niektóre oferty. Czepiński miał świetną pamięć wzrokową, szybko też zanotował w niej to, co było mu potrzebne.

Telefon odezwał się krótko przed dziesiątą wieczorem.

- Czy udało się panu zdobyć potrzebne wiadomości? - spytał obcy człowiek.

- Tak - odparł. Przeczytał notatki, które poczynił pośpiesznie po wyjściu z gabinetu Kiełbisa, schowawszy się w ubikacji fabrycznej. Kiedy skończył, tamten powiedział:

- Doskonale. Dziękujemy panu za przysługę.

- A pieniądze? - spytał, bo to było dla niego najważniejsze.

- Proszę zajrzeć do przedpokoju. Znowu, jak wtedy, wypadł na korytarzyk swego małego mieszkania. I znowu, jak wówczas, bielila się na podłodze koperta. Teraz jednak Czepiński gwałtownie otworzył drzwi i wybiegł na schody, potem na ulicę. Nie znalazł nikogo. Czyżby zrobił to ktoś z lokatorów domu i szybko wrócił do siebie? Być może też tajemniczy dostawca listów - wiedząc dokładnie, o której godzinie odezwie się telefon - wsunął kopertę w trakcie rozmowy.

Cztery tysiące złotych dostarczono w czterech banknotach. Czepiński położył je przed sobą na biurku i wpatrywał się w nie długo. Mógł teraz spłacić wszystkie prywatne długi: pozostanie tylko kasa, ale to będą mu strącać co miesiąc, jak dotychczas. Da sobie radę. Odetchnął z ulgą, choć na dnie serca ciągle jeszcze czuł niepokój.

*

Przez następny tydzień „oni” nie dzwonili. Czepiński już łudził się, że zapomnieli o nim, było jednak inaczej. Tym razem musiał dostarczyć danych, dotyczących prac w Instytucie. Kiedy rozgniewany odmówił stanowczo, jego rozmówca odparł spokojnie, że wobec tego milicja otrzyma w liście nie tylko wiadomość o przecieku tajnych informacji z Instytutu, ale i o pieniądzach, które wziął za kradzież tajemnicy państwowej z fabryki M-II.

- Co za kradzież?! - wybuchnął. - Pan ma źle w głowie. Co komu szkodzi, że podałem dane, dotyczące ofert? Przecież to dla fabryki nie jest żadna tajemnica, oferty są oficjalne. To mogło co najwyżej przydać się dwom

pozostałym firmom, dla których, jak sądzę, zbierał pan te wiadomości.

- Czy pan naprawdę nie rozumie, co pan zrobił? - zapytał tamten. - Jeżeli

nie, to postaram się wyjaśnić. Dziś rano fabryka M-II otrzymała telex z Francji.

Te dwie firmy, które wcześniej proponowały swoje urządzenia po niższej cenie, obecnie zrównały ceny do trzech pozostałych. Oczywiście, w górę.

- I co z tego? - rzucił Czepiński. Nie mógł się połapać w tych kalkulacjach, nie był handlowcem.

- To, że fabryka M-II już nie kupi dla siebie urządzeń po tańszej cenie. -

- Przecież tamte firmy podpisały z fabryką kontrakt!

- Nic podobnego. Jeszcze nikt kontraktu nie; podpisał. Czy pań nas ma za

durniów? Gdyby umowy były zawarte, nie zależałoby nam na ofertach. Fabryka,

a przez to naturalnie polska gospodarka narodowa, straciła przez pana dokładnie

półtora miliona złotych dewizowych. Chyba że zrezygnuje w ogóle z kupna

urządzeń. Ale my wiemy, że zrezygnować nie może. Teraz pan już rozumie?

Czepiński milczał, przerażony. Teraz rzeczywiście zrozumiał, jak daleko

zabrnął.

- Zadzwonimy do pana za sześć dni. Chcemy mieć informacje z Instytutu.

Zapłacimy dobrze. Dwanaście tysięcy. Do widzenia.

*

Wreszcie powiedział. Powoli, zacinając się, z oporami. Od samego

początku, od pijatyki w barze „Sandwich”. Pomiął tylko sprawę skórzanej

kurtki, a o długach wspomniał mimochodem, przedstawiając je tak, jakby to

były stare rozliczenia, sprzed paru lat. Nie chciał bowiem, aby pomyślała, że się

skarży na nadmierne wydatki, które ponosił z jej przyczyny.

Jolanta słuchała bardzo uważnie, nie spuszczając z niego oczu. Siedziała przed nim na tapczanie, dłonie zaplotła na podwiniętych nogach, nie przerywała mu ani jednym słowem. Tylko w jej wzroku czytał zrozumienie i to mu ułatwiało sytuację.

- A teraz, widzisz - kończył swą przydługą relację - za dwa dni oni znów się odezwą. Dali mi tydzień, termin upływa pojutrze. Co ja mam robić? Co robić?

Milczała jeszcze chwilę, odwróciła wzrok, jakby skupiając myśli.

Zagryzła wargi, wpatrzyła się w kąt pokoju. Złakł się, że zaraz wstanie, powie mu parę ostrych słów i odejdzie, aby więcej nie wrócić. Miała prawo to zrobić, przecież zachował się podle. I kiedy zaczął już żałować, że wtajemniczył ją w swoje brudne sprawy, spojrzała znów na niego, a potem raptem uśmiechnęła się.

Jakoś tak życzliwie, serdecznie.

- Pomogę ci, Broniek - odezwała się cicho. - Tylko muszę mieć trochę czasu, by się zastanowić.

Uradowany ujął jej rękę, przytulił do swej twarzy. Czekał..

- Mamy dwa dni, tak? - spytała.

Odczuł radość, słysząc to „mamy”. Brała więc jego ciężar i na siebie, chciała naprawdę pomagać.

- Tak, kochanie - odrzekł. - Dzisiaj środa. Oni z pewnością zatelefonują w piątek. Późnym wieczorem.

- Wieczorem - powtórzyła. - Mamy więc cały czwartek i prawie cały piątek. Powinniśmy zdążyć.

- Jak to rozumiesz?

- Posłuchaj mnie teraz uważnie - zaczęła powoli, z namysłem. - Mam stryja. On pracuje... nigdy bym ci tego nie powiedziała, ale w tej sytuacji chyba mogę. Nawet powinnam. Chodzi już nie tylko o ciebie, ale i o dobro kraju.

- Oczywiście, kochana - przytaknął skwapliwie, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

- Mój stryj pracuje w kontrwywiadzie wojskowym. Nie wymienię ci jego nazwiska, bo nie wiem, czy mam prawo. On sam zdecyduje.

- Chcesz mu powiedzieć? - zaniepokoił się.

- Oczywiście. To będzie jedyne właściwe wyjście z tego impasu, w którym się znalazłeś. Zrozum, Bronku, to jest mój bliski krewny. Zresztą ja mu powiem, że uważam cię... no, za swego narzeczonego - uśmiechnęła się z zażenowaniem, a Czepiński mocno przytulił ją i ucałował. - Stryj z pewnością będzie chciał najpierw pomówić z tobą prywatnie, zanim... a może w ogóle da się jakoś z tego wybrnąć bez oficjalnego śledztwa czy jak to się nazywa.

- Nie wiem, czy będzie mógł tak postąpić. Obowiązują go przecież jakieś przepisy, jakaś droga służbowa.

Jola znowu uśmiechnęła się, tym razem z pewnym pobłażaniem.

- Słuchaj, on jest na tak wysokim stanowisku, że właściwie sam decyduje o wyborze drogi postępowania.

- Jaki ma stopień wojskowy?

- Pułkownik. Ale o więcej mnie nie pytaj. Zresztą ja też zbyt wiele o nim nie wiem.

- Pułkownik. No tak, może rzeczywiście da się jakoś to załatwić bez oficjalnego meldunku. W końcu tak naprawdę to ja nie zawiniłem ze złej woli.

Oni tamtej nocy musieli mi czegoś wsypać do wódki. Gdybym się po prostu upił, na pewno nie mówiłbym o sprawach służbowych.

Nie myślał w tej chwili o zagranicznych ofertach i Kielbisku. Urządzenie zamienne, o, to był problem! No i to, co jeszcze ewentualnie wygadał po pijanemu.

- Teraz sprawa długów...

- Zostaw, to mój kłopot - przerwał.

- Nie. Nasz wspólny. Dopiero teraz widzę, że i ja zawiniłam. Ciągnęłam cię po lokalach, namawiałam do kupna kurtki. Musisz im oddać pieniądze. Ja ci je po prostu pożyczę. Mam trochę swoich oszczędności.

- Kochanie, nie zgadzam się! Nie przyjmę od ciebie żadnej pożyczki.

- A od nich brałeś - zauważyła z przekąsem.

- To nie były pożyczki - zaprotestował nieśmiało.

- Wszystko jedno, jak to nazwiesz. Ja ci pożyczę i ty ode mnie przyjmiesz, bo inaczej więcej się nie spotkamy.

- Kochana, to i tak na nic. Przecież nie mam nawet możliwości odesłania im tej sumy. Dokąd? Ten Stakwit chyba nie istnieje, podał mi fałszywe nazwisko. Zresztą nawet jeśli gdzieś tam był, to teraz już pewnie i tak wyjechał do Anglii. Więc pieniędzy nie mogę oddać, bo nie mam komu.

- To prawda - zasępiła się. - W takim razie pozostaje tylko mój stryj. On z pewnością znajdzie jakieś wyjście.

Podniosła się, rozejrzała za płaszczem.

- Już idziesz? - spytał zdziwiony. Spojrzała na zegarek.

- Może uda mi się z nim zobaczyć jeszcze dzisiaj. Nie jest tak późno,

dopiero ósma.

Pomógł nałożyć jej płaszcz, pożegnali się w przedpokoju. Czepiński

bezwiednie rozejrzał się po podłodze, ale nie, tym razem już nie było żadnego listu.

- Jak się skontaktujemy? - spytał. - Zadzwonisz?

- Jutro. Zaraz po pracy przyjdź prosto do domu i czekaj na wiadomość.

Może zadzwonię, a może od razu do ciebie przyjedziemy. Przygotuj kawę! - roześmiała się.

- Co on lubi? Koniak?

- Nie! Nie proponuj żadnego alkoholu. Pamiętaj, że będziesz musiał

powiedzieć o pieniądzach. Stryj mógłby pomyśleć, że pije za tamte złotówki. To by go do ciebie zraziło.

- Rozumiem - odparł markotnie. Ucałowali się. Jola wyszła.

*

Pułkownik Czerniak siedział w swoim gabinecie nad stosem dokumentów

i próbował wgrzyźć się w ich treść, ale mu nie szło. Wciąż przychodziła na myśl

sprawa „Cywila”, który - byli o tym przekonani, chociaż namacalnych dowodów

nie znaleźli - kontynuował swoją szpiegowską robotę. Nieuchwytnie niemal

oznaki tego działania przesączały się tu i ówdzie z gęstej sieci meldunków,

spostrzeżeń i informacji, pracowicie tkanej przez aparat Służby Bezpieczeństwa

i milicji.

Czerniak nie wierzył, by „Cywil” pracował samotnie. Byłoby to zbyt

trudne nawet dla rutynowanego agenta. Każdy z nich potrzebuje jakiegoś -

oparcia, kontaktów bądź wręcz pomocników.

I na tych pomocników pułkownik właśnie liczył. Że gdzieś tam się

potkną, postawią drobny, ale fałszywy krok, czegoś nie dopatrzą.

Jak dotąd jednak takiego kroku żaden z nich nie zrobił.

- Wejść - mruknął, słysząc pukanie do drzwi. Spojrzał na sierżanta z radionasłuchu. - Coś nowego?

- Tak jakby - odparł podoficer. Położył na biurku kartkę papieru. - Przed godziną przechwyciliśmy obce źródło nadawcze. Odbiór był dość czysty, tekst w języku szwedzkim.

- Treść?

- Odczytany tekst jest fragmentem artykułu, zamieszczonego dzisiaj we wszystkich naszych gazetach. Artykuł jest agencyjny, omawia przyjęcie delegacji związkowców włoskich w Centralnej Radzie Związków Zawodowych.

Fragment, wybrany przez nieznanego nadawcę, brzmi po polsku: „O godzinie jedenastej członków włoskiej delegacji przyjął zastępca przewodniczącego CRZZ (tu wymieniono nazwisko) w towarzystwie sekretarza.” Powtarzał to zdanie trzykrotnie, w odstępach, sześciominutowych.

- Aż takie odstępy? - zdziwił się Czerniak. - Może to któryś z początkujących krótkofalowcowi urządził sobie próbny seans?

- Nie można tego wykluczyć, chociaż moim zdaniem wygląda to na szyfr.

Jakieś hasło wywoławcze, sygnał dla kogoś...

- Namiar macie? - zainteresował się Czerniak

- Nie zdążyliśmy - wyznał sierżant z zażenowaniem. - Początkowo

myślałem, że to któryś, ze szwedzkich korespondentów przekazuje depeszę dla swojej agencji. Gdy po raz trzeci łapaliśmy ten sam tekst, było już za późno na

lokalizację źródła. Mamy tylko azymut. Zaniósłem do wydziału „S”. Pracują nad tym.

- Dobrze, dziękuję.

Podoficer wyszedł, a Czerniak połączył się z wydziałem. Nie, jeszcze nie odczytali tekstu.

- Prawdopodobnie umowne hasło - powiedział jeden z oficerów. - Może tu być sto wariantów albo i więcej. Nadawca umówił się ze swoją centralą, że będzie kolejno przekazywał fragmenty artykułów z polskich gazet. Rzeczywistą treść meldunku może da się odczytać z kolejności słów i podwójnego znaczenia, i diabli jeszcze wiedzą z czego. Przepraszam, towarzyszu pułkowniku, ale gdybym miał jeszcze jeden taki meldunek, może bym przez porównanie...

- Dobra, poczekamy do następnego - odparł Czerniak.

Zagłębił się w swoich papierach. Do gabinetu wszedł major Polewski.

- Słyszałeś o tym szwedzkim szyfrogramie? - spytał, siadając naprzeciw biurka.

Pułkownik podsunął mu kartkę z tekstem, a potem powiedział:

- Nowe źródło nadawania. Jak sądzisz, czy to on?

Polewski nie potrzebował pytać, kogo tamten ma na myśli. Obaj od pewnego czasu szukali „Cywila” w każdym meldunku, w każdej informacji. Szukali na razie na ślepo, wiedzeni instynktem pracowników kontrwywiadu i długoletnim doświadczeniem.

- Musi dobrze znać szwedzki.

- Albo ma pomocnika.

- Słuchaj, od dawna myślę, czy my nie zwracamy zbyt mało uwagi na

kobiety? Uparliśmy się, że „Cywil” to mężczyzna.

- Ja się nie uparłem. Mam trochę nowych danych o Wilczaku. Szczęsny jeździł w teren, pooglądał sobie jego dawnych znajomych, przyjaciół. I przyjaciółki, bo miał takowe. Dwie. Jedna puściła go kantem i wyszła za innego. Druga, podobno śliczna dziewczyna, wyciągnęła go z małego miasteczka do Warszawy. Ale, jak widać, i z tą nie miał szczęścia, bo został sam.

- Co to za śliczna dziewczyna? Miejskowa gwiazda?

- Nie. Podobno poznał ją na jakiejś imprezie kulturalnej, konkursie miast czy coś takiego. Szczęsny zna szczegóły. Przyjechała jako turystka. Pomieszkała tydzień i zabrała Wilczaka do stolicy. Jechali jako narzeczeni. No, ale się nie pobrali.

- Znasz jej nazwisko?

- Tak. Danuta Kowalewska.

- Adres?

- Nie. Zniknęła jak kamfora. Nie meldowana w Warszawie. Puściłem radiogram do jednostek w kraju, może gdzieś ją znajdą.

- Masz zdjęcie?

- Nie mam.

Czerniak przez chwilę próbował zapalić fajkę, a kiedy mu się nie udało, rzekł z wahaniem:

- Ja nie wiem, czy to ma sens. Koncentrujesz się na babce, a ta mogła być tylko zwykłą przygodą. I takich babek pewnie było ze sześć. Co myśli

Szczęsny?

- Siedzi u mnie w pokoju i chyba zastanawia się, kiedy wreszcie go

poprosisz.

- To czegoż nie mówisz od razu! - zirytował się pułkownik i sięgnął po słuchawkę.

Znalazła się resztką budafoku, wypili po małym kieliszku. Kapitan

Szczęśny spojrzął raz i drugi na biurko, a potem powiedział ostrożnie:

- To przez ten tytoń. Lepiej niech pułkownik używa zwykłej amphory, wtedy łatwo da się przetkać.

- Od kiedy palicie fajkę? - zdziwił się Czerniak.

- Nie palę. Ale jeden z moich podejrzanych palił. Przesłuchiwałem go przez dwa tygodnie i nauczyłem się wszystkiego o fajkach. A co do tej ślicznej Danuty Kowalewskiej, to znalazłem dwie o tym imieniu i nazwisku. Tylko że wiek się nie zgadza ani uroda.

- Uroda rzecz względna.

- Może. Jedna ma pod sześćdziesiątkę, a druga mężatka i dwoje dzieci.

- Dobrze, ale ja chciałem wiedzieć, co o tym myślicie?

Szczęśny przymknął na moment oczy, potem otworzył je szeroko i patrząc na pułkownika powiedział:

- Myślę, że trzeba szukać nie dziewczyny, ale nowego inżyniera.

- Co to znaczy? - spytał Czerniak. - Marzy wam się drugi trup?

- Nie. Inżyniera, dokoła którego kręci się śliczna dziewczyna. I który pracuje dla wojska.

- Bój się Boga, człowieku! Takich inżynierów mamy w Polsce sporo, a ładnych kobiet to już na pięćki. Ja sam mam bratanicę, taką śliczną dziewczynę, że oko by wam zbieleło, gdyby tu weszła.

- Szczęsny jednak określił to dość konkretnie - zauważył major. -

Moglibyśmy zainteresować się tymi inżynierami, wokół których uwijają się jakieś ewentualne Danuty Kowalewskie, choćby inaczej się nazywały.

- Robota w ciemno. Bez żadnego punktu zaczepienia. Może trwać miesiącami.

- Może - przyznał Szczęsny. - Ale jeżeli jest jakieś powiązanie pomiędzy „Cywilem”, Danutą i niektórymi inżynierami? Można przypuszczać, że dziewczyna pracuje dla „Cywila”, wy-; ciągając informacje od swoich przyjaciół.

- Historia stara jak świat - rzekł Polewski. - Ładna agentka i jej kochankowie, wojskowi albo coś koło tego. Sądzę, że „Cywil” mimo wszystko postawił raczej na nowoczesną technikę szpiegowania. A propos, czy nie mógłbyś zapoznać nas z twoją śliczną bratanicą?

- Mógłbym. Przy okazji. Przecież tu jej nie zaproszę, a u mnie w domu remont. Śpimy z żoną w jednym pokoju, na wszystkich meblach, gdzieś pod sufitem.

- Zaproś nas po remoncie. Ożenimy Szczęsnego, już za długo tkwi w kawalerskim stanie.

- O, za nic! - wykrzyknął kapitan i zmieszał się trochę, bo nie chciał być nieuprzejmy wobec kuzynki pułkownika.

Czerniak popatrzał na niego pobłaźliwie.

- Byłaby z was ładna para.

*

Co ja właściwie o niej wiem? - zastanawiał się po powrocie do domu.

Wyciągnął z szafy ekspres do kawy, przejechał po nim ścierką, a że efekt był znikomy, z westchnieniem zabrał się do czyszczenia metalowej powierzchni. Co ja o niej wiem...

Poznali się latem, w jednej z miejscowości nadmorskich, gdzie spędzał urlop. Od pół roku przeżywał „gorzki okres”, jak to kiedyś określił w rozmowie z Witoldem. Rozstał się z Moniką, właściwie od początku było do przewidzenia, że tak się to musi skończyć. Monika była nieustępliwa, kłóciła się z nim po całych nocach, potem szedł do roboty z głową pękającą od bólu i czerwonymi powiekami.

Monika. Ależ ta dziewczyna miała oczy! Ogromne, czarne, obramowane równie czarnymi, długimi rzęsami. Zakochał się w tych oczach i potem przez wiele tygodni nie mógł ich zapomnieć. Miał złudzenia, póki nie zastał jej na swoim tapczanie w sytuacji zupełnie jednoznacznej z jakimś zagranicznym turystą.

Dobrze się stało, że akurat wysłali go z Instytutu do Francji. Wrócił po dwóch miesiącach, oczarowany Paryżem. O Monice zapomniał, zacierał to wspomnienie tak skutecznie i wytrwale, że prawie nie poznał jej na ulicy. Chociaż rozstali się chłodno, potem przeżywał to jednak, było mu gorzko i smutno. Latem wyjechał na urlop. No i zjawiała się Jola.

„Gdzie ty pracujesz? Co robisz? - pytał czasami, zazdrosny o wszystkie chwile, które spędzała bez niego. - Gdzie mieszkasz?”

Odpowiadała, że mieszka u krewnych, wynajmuje u nich mały pokoik, ale oni nie życzą sobie żadnych odwiedzin, dlatego nie zaprasza go do siebie. O to mu nie szło, wolał nawet, że ona przychodzi do niego, tak było wygodniej.

Mówiła też, że pracuje w dzielnicowej radzie narodowej jako referent, ale nie chciała opowiadać o tej: pracy. Sądził, że traktowała ją jako etap przejściowy, bo jednocześnie uczęszczała na wieczorowe kursy języków obcych i stenotypii. Zarabiała niewiele. Nie dziwił się też, że taki ją cieszy każdy wieczór w eleganckim lokalu, każdy prezent, jakim ją obdarowywał, póki starczyło mu pieniędzy. Była trochę kapryśna, zmienna w nastrojach, z tym wszystkim urocza i śliczna. Nie zawsze ją rozumiał i czasami wydawało mu się, że są w niej dwie, trzy kobiety, każda zupełnie inna. To go pociągało, drażniło. Lubił kiedy mężczyźni taksowali ją przymrużonymi oczami, odwracając za nią głowy, podziwiając urodę, elegancję. Był z niej dumny.

- Jesteś warszawianką? - spytał kiedyś. Potrząsnęła długimi, jasnymi włosami. Wyjaśniła, że urodziła się w małym, prowincjonalnym miasteczku, nie chciała jednak wymienić jego nazwy.

- Nie mam już z tym miastem nic wspólnego - odparła, gdy nalegał. -

Mieszkam przecież w Warszawie.

Myślał teraz o tym wszystkim, przestraszony, ale przede wszystkim bardzo przejęty czekającą go rozmową. Miała przyjść ze stryjem. Poprzedniego wieczoru pułkownik nie miał czasu, więc dopiero dzisiaj... Dzisiaj też odezwie się tamten obcy głos, zażąda informacji z Instytutu. I sam nie potrafił rozstrzygnąć, przed kim czuje większą obawę. Pocieszał się tylko tym, że pułkownik przyjdzie z Jolą. Zresztą sam fakt, że rozmowa odbędzie się w prywatnym mieszkaniu, już z góry określał jej nieoficjalny charakter. Wierzył, że pułkownik okaże mu chociaż odrobinę życzliwości - gdyby tak nie było, wezwano by go do ministerstwa czy gdzie tam ten kontrwywiad wojskowy

urzęduje.

Posprzątał w pokoju i uchylił okno, żeby wypuścić dym z papierosów.

Stanowczo za dużo pali, po dwie paczki dziennie. Powinien oszczędzać, nie tylko płuca, ale i portfel.

Dzwonek u drzwi odezwał się dwukrotnie, raz po razie. Tak zawsze dzwoniła Jola. Serce załomotało mu niespokojnie, ale nie było już odwrotu.

Rzucił raz jeszcze okiem na pokój, poprawił krawat i otworzył.

Obok dziewczyny stał mężczyzna około pięćdziesiątki, mocno zbudowany, w okularach, ubrany w popielaty płaszcz, z gołą głową. Włosy miał trochę przerzedzone, ciemne. Czepiński dostrzegł, że przybysz ma na ustach jakiś błąkający się uśmiezek. Ośmieliło go to do tego stopnia, że odpowiedział uśmiechem i pierwszy wyciągnął rękę na powitanie. Jolanta ucałowała go bez żenady, po czym powiedziała:

- Zostawiam was teraz samych. Zajmę się kawą.

Usiedli w pokoju, Czepiński przymknął drzwi, potem je uchylił, niezdecydowany, czy rozmowa ma być prowadzona bez udziału Joli, co w gruncie rzeczy nie miałoby większego sensu, gdyż znała przecież to, co najważniejsze.

- Niech pan zamknie - powiedział oficer. - Jola się nie pogniewa. Tak będzie lepiej.

Wstał więc i zamknął drzwi. Podsunął pułkownikowi pudełko z papierosami, a potem pokręcił się po pokoju niezdecydowanie, przestraszony nagle i ogarnięty chęcią ucieczki. Wtedy tamten odezwał się, głos miał cichy, przyjemny:

- Proszę teraz opowiedzieć od samego początku.

- Tak, jakby pan o niczym nie wiedział? - I chciał się upewnić.

- Tak. Ja zresztą naprawdę wiem w tej chwili bardzo niewiele.

Oczywiście i teraz nie wspomniał o skórzanej kurtce, w końcu nie miało to nic do rzeczy, chociaż dla niego stało się punktem wejścia na drogę, z której jak najszybciej chciał zawrócić.; Zaczął więc od baru „Sandwich” i popijawy ze Stakwitem. Mówił coraz szybciej, aby mieć te już za sobą, nie pomijał jednak żadnego istotnego szczegółu.

Pułkownik słuchał, nie przerywając ani jednym słowem. W pewnej chwili zapytał tylko, czy może zapalić fajkę, a potem pykał od niechcienia, nie spuszczając z inżyniera uważnych oczu. Czepiński czuł to, chociaż szkła okularów pułkownika były trochę przyciemnione. Inżynierowi było gorąco, chciał sięgnąć po chustkę, aby wytrzeć spocone ręce, ale się krępował.

Kiedy skończył i opuścił głowę, tamten jeszcze przez jakiś czas milczał, wpatrzony gdzieś w kąt pokoju. Jola nie pokazywała się, uprzedzona widać przez stryja, aby przyszła dopiero, kiedy ją poproszą.

Wreszcie pułkownik odchrząknął, położył fajkę na brzegu popielniczki i rzekł:

- Będę z panem szczery. Powinienem teraz zatrzymać pana do naszej dyspozycji w areszcie śledczym.

Czepiński zbladł, zacisnął ręce na kolanach. Przepadło! - pomyślał. Zaraz jednak uprzytomnił sobie, że tamten powiedział: „powinienem”. A więc chyba jednak tego nie zrobi. I przez sekundę zaciekawiał się dlaczego.

- Jest to właściwie mój obowiązek - ciągnął dalej niecodzienny gość. -

Przyszło mi jednak na myśl, że być może mógłby pan w inny sposób zmazać swoją niewątpliwą winę. A przy okazji pomóc nam.

Czepiński słysząc to ożywił się.

- Oczywiście, jeżeli tylko potrafię... - szepnął zgnębiony.

- Nie wiem, czy pan potrafi, ale chyba warto zaryzykować. Zwłaszcza że mamy w tej chwili bardzo niewiele danych o tych pańskich... nazwijmy ich szantażystami, chociaż nie jest to ściśle określenie. Poszedł im pan na rękę, zorientowali się, że potrzebuje pan pieniędzy i wyciągają informacje, ile tylko się da. Rzecz w tym, aby sądzili, że będzie można wyciągać dalej.

- Jak to? Chce pan, żebym ja...

- Właśnie.

- No ale przecież... jakże ja mogę popełniać przestępstwo?

Pułkownik uśmiechnął się.

- Przedtem nie miał pan skrupułów - rzucił.

- Ale teraz mam - odparł Czepiński niespodziewanie twardo. - Nie po to prosiłem Jolę o skontaktowanie mnie z panem, by ciągnąć tę brudną robotę!

- Panie Bronisławie, przecież powiedziałem panu, że idąc nam na rękę - nam, a nie tamtym - będzie pan wykonywał dobrą robotę. Myślę, że pan mnie posłucha. Zresztą nie ma pan wyboru, Inaczej musiałbym teraz zabrać pana na oficjalne przesłuchanie...

Milczeli kilka minut. Pułkownik pykał fajkę, a inżynier patrzył na niego, osłupiały i wystraszony. Takiego przebiegu rozmowy nie przewidywał.

Zaskoczenie powoli mijało. Praca dla kontr: wywiadu? Cóż, można spróbować.

Nagle jednak? zdjął go strach.

- Oni zorientują się i mogą mnie zabić - pan wiedział.

- Damy panu ochronę. Zresztą nieprędko się zorientują. Zanim sprawdzą pańskie informacje zanim przekonają się, że są fałszywe, minie sporo czasu.

Organizację roboty proszę zostawić nam. Mamy większe doświadczenie i umiejętności - uśmiechnął się. - Pan będzie tylko... no, raczej biernym uczestnikiem tej rozgrywki. Może zresztą nie tyle biernym, ile wykonującym ściśle określone polecenia.

- A w pracy? W Instytucie co mam powiedzieć?

- Ani słowa. Wylaliby pana natychmiast i zawiadomili mnie oficjalnie, a wówczas... - rozłożył ręce wymownym gestem.

- Tak, oczywiście. Rozumiem. Więc co mam robić?

- Przede wszystkim - pułkownik wyciągnął mały notes i długopis - niech mi pan teraz powie dokładniej, co według pana mogli usłyszeć tamtej nocy, kiedy pił pan ze Stakwitem... dobrze powtórzyłem jego nazwisko?

- Dobrze. Włodzimierz Stakwit. Ale to pewnie lipa, bo nie znalazłem go w żadnym hotelu.

- Sprawdzimy. Więc proszę.

Skupił się, zaczął mówić. Pułkownik nie notował wszystkiego, wydawało się, że orientuje się dobrze w terminologii i niektórych urządzeniach.

To ułatwiało rozmowę. Czepiński przytoczył treść listu, jaki otrzymał, ale oficer mimo to zażądał przekazania mu obu listów. Inżynier pomyślał, że właściwie powinien oddać i pieniądze, z których zresztą pozostało mu już tylko kilkadziesiąt złotych, ale pułkownik o tym nip wspomniał. Listy wraz z kopertami schował do kieszeni i notował dalej.

Czepiński powiedział z kolei o podstawowych kierunkach prac, które

Instytut otrzymał do wykonania w ramach projektowanego nowego systemu łączności radioliniowej.

- Te sprawy już znam z pierwszego listu - przerwał mu pułkownik. - Są one wprawdzie sformułowane bardzo ogólnie, ale dają jakiś pogląd na treść i zakres prac. Czy jest możliwe, że owej krytycznej nocy powiedział pan coś więcej? Proszę się dobrze zastanowić, to będzie miało dla nas kapitalne znaczenie. Dla nas - dodał z naciskiem - i dla ochrony tajemnicy badań. Czy pan mnie dobrze zrozumiał?

- Tak - odparł zgaszonym głosem. Spodziewał się, że padnie takie pytanie, to było oczywiste.

- Proszę, słucham? - nalegał pułkownik.

- Czy powiedziałem wówczas coś więcej? - zastanowił się, marszcząc czoło. - Nie wiem. Po prostu, nie wiem. Nic nie pamiętam. Chyba po raz pierwszy w życiu spotkałem się z czymś podobnym. To musiał być kompletny zanik świadomości. Wypiłem za dużo...

- O wiele za dużo - poprawił go rozmówca.

- Ale mnie teraz interesuje inna sprawa. Proszę mi powiedzieć, na czym właściwie polega wasze ulepszenie w systemie łączności?

Czepiński ocknął się z zamyślenia, uniósł głowę. Próbował skupić się nad odpowiedzią, wreszcie; bąknął:

- Przecież już mówiłem. I w liście o tym było...

- Nie wracajmy do listu. Tam są właściwie bardzo pobieżne informacje.

Chcę jednak definitywnie ustalić, jak głęboki był przeciek tajemnicy. Muszę

więc dowiedzieć się od pana, na czym polega główna idea waszych prac.

Konkretnie: kto ją zgłosił? Jakie są szanse realizacji?

- Zleceniodawcą jest wojsko - odparł Czepiński niechętnie. - Tak zwykle bywa: polecają nam wykonać jakieś detale i nie informują, dej czego mają służyć. Czasem się domyślamy, czasem do końca nie mamy pojęcia, co właściwie robimy.

- Ale w tym wypadku było chyba inaczej? - powiedział zachęcająco pułkownik.

- I tak, i nie. Cóż z tego, że znamy samą koncepcję systemu zamiennego, skoro układ przetwarzania ma być opracowany i sprawdzony poza Instytutem. Mógłbym panu przytoczyć dziesiątki przykładów, kiedy projektant publicznie ogłasza swój pomysł, ale nie ujawnia pewnych szczegółów, dopóki nie zostaną one zastrzeżone prawem patentowym. Tu mamy podobną sytuację. Wiemy, o co chodzi, lecz tylko ogólnie...

- To znaczy?

- Istota systemu zamiennego polega na takim przetworzeniu dźwięków lub obrazów w źródle nadawania, że obawa przed przechwyceniem informacji w kanałach przekąźnikowych staje się po prostu bezprzedmiotowa.

- Jako inżynier i specjalista jest pan tego pewien? - zainteresował się pułkownik, nie spuszczać wzroku ze swego rozmówcy.

- Ja? - Czepiński uniósł brwi. - Nie tylko ja, proszę pana. Mógłby pan usłyszeć twierdzącą odpowiedź od każdego, kto został dopuszczony do tych prac w Instytucie. W ostatnich latach nasza elektronika uczyniła ogromny krok naprzód. Skoro już wojskowi wzięli na warsztat projekt takiego urządzenia, nie

śmiałybym wątpić, że osiągną swój cel.

- To bardzo pochlebna opinia. Moje uznanie. Z tym większą obawą myślę o pańskim spotkaniu ze Stakwitem. Jeśli on usłyszał to samo...

Czepiński zeszywniał na moment. Cios był celny. Znowu stanęły mu przed oczyma strzępy obrazów z baru „Sandwich”. Powiedział? Nie powiedział?

- Przecież szczegółów technicznych urządzenia zamiennego nie mogłem ujawnić, bo ich nie znam - próbował się bronić. - Sama koncepcja...

- Otóż właśnie to! - podchwycił pułkownik. - Sama koncepcja może być dla nich bardzo interesująca. Kierunek badań stanowi punkt zaczepienia, nie wątpię, że pójdą dalej tym śladem, jeśli rzeczywiście ujawnił to pan przed Stakwitem. Ale o tym będziemy już pamiętać. Czy rozpoczęliście już prace?

- Tak.

- Znam niektóre osoby z kierownictwa Instytutu: dyrektora Małeckiego, docenta Zaborskiego i jeszcze paru. Komu powierzono ogólne kierowanie robotą dla R-1-A/6?

- Właśnie Zaborskiemu. Przede wszystkim zajmuje się tym jego wydział. To znaczy T-2. Prócz tego chemiczny i drugie laboratorium.

- Jak się nazywają kierownicy wydziału chemicznego i drugiego laboratorium?

- W chemii jest doktor Andrzej Tarski, a w:.. drugim magister Jan Bartosz. Pan chce z rozmawiać? - spytał przestraszony.

- Proszę pana, gdybym rozmawiał w ogóle z kimś od was, to musiałbym zacząć od dyrektora naczelnego. A wtedy... już panu powiedziałem, co by z tego dla pana wynikło. Zastanawiam się, ile pan wypaplał na temat R-1-A/6 i do

jakiego stopnia mogło to by zaszkodzić rozpoczętym pracom. Co już wykonano w tym zakresie?

- Nie wiem dokładnie, co robią w tej chwili w chemicznym.
- Czy mógłby pan naszkicować mi, tak pobieżnie, detale, nad którymi obecnie pracujecie? Chcę się zorientować w wadze zagadnienia.
- Pan jest inżynierem? - spytał Czepiński, biorąc podsunięty mu notes i długopis.

Nie otrzymał odpowiedzi, zabrał się więc - do szkicowania.

Tymczasem pułkownik wyszedł do kuchni i porozmawiał tam z Jolą.

Wniosła potem do pokoju kawę, uśmiechnęła się do Czepińskiego, musnęła wargami jego policzek. Stryj przyglądał im się z odcieniem pobłażania, twarz jego jednak była chmurna.

Inżynier skończył i oddał szkic. Długopis schował do kieszonki

marynarki, zaraz jednak wyjął go, przepaszając za roztargnienie. Jola zaśmiała się, co poprawiło trochę nastrój obu panów. Pili potem kawę, już we trójkę, rozmawiając o jesiennej pogodzie, o filmie w telewizji. Pułkownik okazał się uroczym gawędziarzem, rzucił kilka zabawnych anegdotek i w rezultacie Czepiński odzyskał humor.

Wreszcie gość podniósł się, oczyma dał znak dziewczynie, a kiedy wyszła, rzekł:

- Panie Bronku, będziemy od tej chwili ze sobą w ścisłym kontakcie. Z wiadomych względów nie może pan przychodzić do mego miejsca pracy. Z tych samych przyczyn ja nie będę przychodził do Instytutu. Jeżeli więc działamy obaj konspiracyjnie - uśmiechnął się - to naszym miłym łącznikiem będzie Jola.

- Świetnie! - zawołał Czepiński. - Poza tym chyba najlepszym miejscem

spotkań będzie pć prostu moje mieszkanie?

- Sądzę, że tak. A propos, czy szukając Stakwita pytał pan o niego
barmana z „Sandwicha”.

- Pytałem. Ale barman nie znał takiego gościa z nazwiska, tylko z
wyglądu. I nie wiedział, gdzie mieszka.

- Dla pewności niech pan więcej o Stakwita nie pyta. Nikogo, nigdzie. To
już proszę zostawić nam. Czy przez najbliższe dni pozostaje pan w Warszawie?

- Nie. Mam wyjechać służbowo na Śląsk, dl Bytomia.

- W związku z R-1-A/6?

- Tak. W Zakładach Bytomskich będą produkować niektóre części
metalowe dla urządzenia zamiennego. My im dajemy szkice i dokumentacje
techniczną.

- Kiedy zaczynają robotę?

- No, jeszcze nieprędko. Ja mam na razie zorientować się w
możliwościach terminu i w materiałach, jakimi dysponują.

- Dobrze. - Pułkownik pomyślał trochę. W takim razie zobaczymy się po
pańskim powrocie. Jola pana zawiadomi, kiedy przyjdę.

Pożegnali się i wyszli. Czepińskiemu było markotno, bo sądził, że Jola
zostanie; Zdołała mu tylko szepnąć: „jutro”, ale do jutra było daleko. Z
westchnieniem zabrał do kuchni brudne filiżanki, wstawił je do zlewu i zadumał
się.

W rezultacie - myślał, odkręcając kran z ciepłą wodą - poszło lepiej, niż
przypuszczałem. Całkiem miły facet.

Rozdział 4

W terenie powiodło mu się nadspodziewanie dobrze. Znalazł wygodny pokój w hotelu, co należało zapisać w kominie jako niezwykłą rzadkość. Szkice, które zawiózł do Zakładów Bytomskich, zostały przyjęte, a jechał z obawą, że odmówią wykonania, bo wiedział, że są zawalieni robotą, tak zresztą było przez cały rok. Tym razem jednak, dla jakichś tam przyczyn, zgodzili się nawet na krótki termin.

Uzgodnili jeszcze, że pierwszą część dokumentacji Czepiński przywiezie za dwa tygodnie. Posprzeczali się tylko o płyty azbestowe, ale zabrał kierownika na kolację i miał tę sprawę z głowy. Nie pierwszy raz załatwiał takie rzeczy.

Wrócił po czterech dniach, stęskniony za Jolą i pełen nadziei. Czasami łapał się na myśli, że powinien się wreszcie ożenić. Jola w tych marzeniach wyglądała bardzo ładnie na tle jego mieszkania, zresztą sądził, że stryj pomógłby im w tym i owym, na przykład w znalezieniu dwóch pokoi zamiast jednego. Może nawet trzech, bo po co się potem przeprowadzać, jak ich będzie troje.

Nie bardzo lubił dzieci, zwłaszcza małe, ale myślał, że trzeba je kiedyś mieć. Lepiej więc zaraz, żeby szybko rosły i pozwoliły niezbyt starym jeszcze rodzicom na spokojną resztę życia. Pewien był, że dzieci, podobne do Joli, pokocha.

Myśląc o niej uświadomił sobie nagle, że od pewnego czasu nie wyciąga go już do lokali ani nie przymawia o prezenty. Albo więc zaczęła dbać o jego kieszeń, albo też stryj zwrócił jej uwagę. Tak czy tak, było to dla niego z korzyścią.

Bardziej dziwił go brak telefonów „od nich”. Nie odezwali się owego piątkowego wieczoru ani przez dwa następne. Później wyjechał. Widać dali mu więcej czasu na zbieranie informacji. W pewnej chwili przyszło mu na myśl, że może obserwowali jego mieszkanie i zobaczyli pułkownika. Musieliby go jednak znać. Wtedy, być może, zrezygnowaliby z telefonów i listów. A także z kopert z pieniędzmi. Szkoda. Właśnie teraz - myślał, jadąc autobusem do Instytutu - kiedy jestem kryty, bo informuję o wszystkim władz kontrwywiadu, teraz właśnie „oni” mogliby si odezwać...

Jola zjawiła się dopiero następnego dnia. Wy pomniał jej to, dodał, że niebezpiecznie jest prze ciągać strunę i ostrożnie spytał o pułkownika W odpowiedzi zaczęła go całować. Kiedy już mie” siebie na razie dosyć, ponowił pytanie.

- Jutro przyjdzie - odparła. - Wieczorem, gdzieś po ósmej.

Rzeczywiście, stryj Jolanty zadzwonił do drzwi kilka minut po godzinie dwudziestej. Tym razem przywitanie wypadło lepiej, serdeczniej. Jola nie przyszła, więc Czepiński sam zajął się parzeniem kawy.

Pułkownik spytał, jak przeszedł pobyt na Śląsku, wymienili kilka uwag na temat nowego dworca w Katowicach i budującego się hotelu. Potem oficer wyjął z kieszeni kopertę, a z niej fotografię.

- Proszę mi powiedzieć, czy zna pan tego człowieka? - podsunął mu zdjęcie.

Czepiński przyglądał się przez chwilę, ale był pewien od pierwszego spojrzenia.

- To jest Stakwit - rzekł stanowczo. - Ten Polak z Anglii, o którym panu

mówiłem podczas naszej poprzedniej rozmowy. Tylko - zastanowił się, zmarszczył brwi - dlaczego on ma taki dziwny wyraz twarzy? Oczy przymknięte i... Był pijany, jak mu robiono zdjęcie?

- Nie. Był martwy.

- Nie żyje?! - wykrzyknął inżynier. - Co się stało?! Miał jakiś wypadek?

- Został zabity. Nie wiemy jeszcze przez kogo. Mogę panu tylko

powiedzieć, jaką wersję przyjęliśmy za wiarygodną. Stakwit, bo to jest jego

prawdziwe nazwisko, nie należał do grupy współpracowników wywiadu.

Mówię: grupy, bo sądzimy, że jest ich kilku. Stakwit przyjechał do Polski

naprawdę celem zawarcia umowy z jedną z naszych central handlu

zagranicznego. A tamci najprawdopodobniej użyli go, jako nieświadomego

narzędzia, do wprowadzenia pana w stan głębokiej nietrzeźwości. Później zaś

wykorzystali dla własnych celów. Albo Stakwit dowiedział się o tym i chciał

zawiadomić milicję, albo groził im, że powie komuś w CHZ, dość że stał się im

niewygodny, a nawet niebezpieczny. No i teraz usunęli go.

- Straszne! - jęknął Czepiński. Boże, jakże pragnął w tej chwili cofnąć

czas i nie wychodzić z domu do baru „Sandwich”, nie spotkać się ze Stakwitem,

nie wiedzieć nic a nic o „nich”. Na-; wet gdyby mu przyszło harować wiele

miesiący nad pracami zleconymi, aby spłacić wszystkie długi.

- Tak, straszne - przyznał pułkownik. - Ale z tym wiąże się jeszcze inna

ważna sprawa. Przy zabitym znaleźliśmy pewien dokument. Sądzę, żeś

morderca po prostu nie zdążył obszukać swej ofiary, może ktoś go spłoszył, bo

to było w bramie domu, gdzie Stakwit zatrzymał się u znajomych. Nawiasem

mówiąc, dlatego nie mógł go pan znaleźć w żadnym hotelu. Mieszkał prywatnie.

- Jaki dokument?

- Właśnie chcę go panu pokazać. Potrzebna nam jest pańska pomoc.

Mógłbym udać się z tym do waszego Instytutu, ale wtedy, rozumie pan, musiałbym powiedzieć i o panu.

- Proszę mi pokazać ten dokument - rzekł Czepiński z dużą gorliwością.

Pułkownik wyjął z teczki plik papierów. Były tam szkice jakiegoś projektu. Inżynier przyjrzał się uważnym, fachowym okiem.

- Tak, to od nas - potwierdził. - Z wydziału docenta Zaborskiego.

Słyszałem nawet o tych pracach. Jest to projekt przystawki filtrowej do telefonicznego układu wewnętrznego. Też nasza specjalność. Skąd u Stakwita taki materiał?

- Jeszcze nie wiemy. Nie mamy też pewności, czy rzeczywiście jest to autentyczny projekt. Może szkic jest po prostu falsyfikatem? Co pan o tym sądzi?

- Oczekuje pan mojej opinii?

- Tak proszę mi wyjaśnić, do czego ma służyć ta przystawka, a następnie opisać lub naszkicować te elementy, których tu brak. Na tej podstawie łatwiej dojdziemy do źródła i być może określimy nowy kierunek śledztwa.

- Śledztwa? - zdziwił się Czepiński. - Wy się też tym zajmujecie? A ja myślałem, że...

- To są nasze wewnętrzne sprawy - uciął pułkownik. - Wiemy, co do nas należy i o nic więcej proszę nie pytać. Więc jak jest z tą przystawką? - zmienił temat.

- Instytut od wielu lat pracuje nad ciągłą modernizacją tego urzędnia -

odparł inżynier. - Sama nazwa wskazuje, do czego ono służy. Eliminuje zakłócenia akustyczne w zamkniętym obwodzie łączności telefonicznej lub radiotelefonicznej, różne szумы, trzaski, gwizdy, w ogóle hałas jako taki. Dzięki przystawce filtrowej można swobodnie porozumiewać się na przykład w czołgu podczas ruchu i strzelania, w transporterze, w bunkrze, ba, nawet na budowie, w kopalni... Wszędzie. Korespondenci słyszą się nawzajem, mimo że rozmowy prowadzone są w trudnych warunkach.

- W takim razie nic nowego? - próbował upewnić się pułkownik.

- No, aż tak to nie - sprostował żywo Czepiński. - Natężenie hałasu stale rośnie. Badania idą w tym kierunku, aby zachować sprawne funkcjonowanie łączności bez względu na stopień zewnętrznych zakłóceń. Pomysłów jest wiele, ale tylko niektóre rokują duże nadzieje.

- Rozumiem. Może uzupełni pan teraz szkic. Inżynier usiadł przy biurku i na dobre pół godziny pogrążył się w robocie. Przez ten czas pułkownik pykał swoją fajkę i popijał kawę. Wreszcie Czepiński skończył, podał mu kilka kartek papieru.

- To jest całe uzupełnienie - powiedział. - A na dwóch pierwszych kartkach wymieniłem to, co jest błędne albo czego brakuje na znalezionym dokumencie. Panie pułkowniku - zawahał się - czy pan przypuszcza, że ktoś od nas?

- Cóż, możliwe. Nie mogę panu zdradzić żadnych szczegółów. Powiem tylko to: niech pan się trzyma jak najdalej od jednego ze swych kolegów. To jest prywatne ostrzeżenie, bo znamy się już prywatnie, no i chodzi mi o Jolę.

- W takim razie musi mi pan powiedzieć, o kogo chodzi! Bo będę

podejrzał wszystkich i w końcu się zagubię.

- O Witolda Korczyka.

- Nie! - wykrzyknął. - Niemożliwe!

- Nie mamy jeszcze dowodów. Są to na razie nasze przypuszczenia.

Podejrzenia. Kilka, wątych co prawda, nici prowadzi jednak w jego kierunku,

proszę pamiętać, że nie wolno panu ani jednym słowem zdradzić się, że

przychodzę tutaj i rozmawiam z panem o tych sprawach. Ja miałbym wiele

przykrości w pracy, ale pan poszedłby po prostu siedzieć. Ze wszystkimi

dalszymi konsekwencjami. Jola jest moją bratanicą i nie pozwoliłbym jej nigdy

utrzymywać bliskiej znajomości z człowiekiem, który siedział za szpiegostwo.

Bo tak trzeba otwarcie nazwać to, co pan przedtem robił.

- Ja... - zaczął Czepiński i umilkł. Nie wolno mu było żadnym ostrym

słowem zrazić sobie tego człowieka. Zbyt wiele od niego zależało. - No, dobrze

- rzekł niezdecydowanie - ale Korczyk był dotychczas moim przyjacielem, więc

jakże tak z miejsca zerwać znajomość? Czym mam to uzasadnić?

- Nie musi pan zrywać ostentacyjnie. Proszę jednak unikać wszelkich

bliższych kontaktów, rozmów i odwiedzin. Tak będzie lepiej dla pana. Jak tam

w Zakładach Bytomskich? - zmienił temat.

Ciągle jeszcze zakłopotany i przestraszony informacją o Witoldzie,

opowiedział pokrótce, co udało mu się załatwić. Pułkownik słuchał z uwagą.

Wspomniał, że zna naczelnego dyrektora Zakładów - wymienił jego nazwisko -

byli kolegami jeszcze z lat szkolnych, a i obecnie czasami się spotykają.

Czepiński odparł, że właściwie z naczelnym nie rozmawiał, tylko z głównym

inżynierem i szefem produkcji. Oni bowiem mieli decydujący wpływ na

zamówienie.

- Kiedy pan tam znów pojedzie?

- Za dwa tygodnie. Chyba że u nas nie zdąż wykonać dokumentacji. Ale terminy dla wojsk są z reguły dotrzymanywane.

Pożegnali się i oficer wyszedł. W godzinę później, kiedy Czepiński prał w łazience chustki do nosa, odezwał się telefon. To byli „oni”.

- Czy ma pan dla nas wiadomości? - spyta głos, o którym nie myślał już „obcy”, chociaż nie” znał jego właściciela.

- Tak, ale nie mogę dzisiaj - odparł, zgodni z instrukcją pułkownika. -

Proszę zadzwonić jutro o tej samej porze.

- Dlaczego nie dzisiaj?

Zaczął tłumaczyć długo i wykrętnie, przez ten czas uruchomił magnetofon tuż obok słuchawka. Taśma biegła bez szmeru, tamten człowiek mówił dostatecznie głośno, aby jego słowa zostały utrwalone, a później odczytane.

„On” wysłuchał cierpliwie, a potem rzekł:

- Nie przytoczył pan żadnych istotnych argumentów. To są zwykłe wykręty!

- Przecież byłem w podróży służbowej, mówiłem już. Musiałem się do niej przygotować, a po powrocie ślęczyć nad sprawozdaniem. Czy może pan mi powtórzyć jeszcze raz, jakie informacje są panu potrzebne?

- Już pan zapomniał? Dobrze, więc proszę sobie zanotować. Potrzebne są dane, dotyczące pokryć izolacyjnych i płyt żaroodpornych.

- Jakie dane?

- Wszystkie. Szczegółowo. Cyfry, skład chemiczny, wskaźniki temperatur

i tak dalej. Sam pan się orientuje.

- Nie wiem, czy uda mi się zdobyć wszystkie dane - oponował, patrząc z zadowoleniem na przesuwaną się taśmę.

- Przypominam, że otrzyma pan dwanaście tysięcy. A więc do jutra wieczorem..

Trzasnęła słuchawka. Tym razem dość mocno, widocznie „on” był zirytowany. Czepiński zatrzymał magnetofon, zdjął taśmę z krążka i schował w tapczanie. Tak kazał zrobić pułkownik. Każda rozmowa miała być na innej taśmie, założył więc świeżą, bo „on” mógł się jeszcze odezwać.

Doskonale - myślał, wracając do prania chustek - teraz mam dowód rzeczowy. Jutro trzeba będzie koniecznie porozumieć się z Jolą, - niech zawiadomi pułkownika o rozmowie. Muszę przecież wiedzieć, jakie dane przekazać. Oczywiście fałszywe, ale „oni” nie mogą tak z miejsca zorientować się, że to lipa. Nagle przypomniało, mu się zdjęcie martwej twarzy Stakwita i przeszedł go zimny dreszcz. Cholera, żadna ochrona nie pomoże, jak będą chcieli go wykończyć...

*

- Więc co mam powiedzieć, kiedy oni zadzwonią?

Pułkownik zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

Fajka mu zgasła, ale nie zwrócił na to uwagi. Spoglądał to na

Czepińskiego, to gdzieś w okno. Potem rzekł z wolna, jakby ważył każde słowo:

- Proszę przygotować dwie kartki papieru. Na jednej niech pan napisze wszystkie dane, jakich oni żądali. Prawdziwe. Na drugiej... zresztą, proszę najpierw zrobić to, co powiedziałem.

Inżynier wyszukał w stosie papieru czyste kartki, wziął do ręki długopis.

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi.

- Spodziewa pan się wizyty? - W głosie pułkownika nie było niepokoju, raczej zdziwienie. - Proszę pamiętać, że nikt nie może mnie tu zobaczyć.

- W takim razie najlepiej będzie, jeżeli w ogóle nie otworzę. Albo... to pewnie któryś z kolegów z Instytutu. Powiem mu, że mam u siebie dziewczynę i nie wpuszczę do mieszkania.

- Poczekamy, może sam odejdzie. Dzwonek odezwał się znowu, tym razem natarczywiej. I jeszcze raz.

- Otworzyć? - szepnął Czepiński. Wiedział, że to nie Jola, ona miała swój sposób dzwonienia, od dawna tak się umówili.

Oficer ruchem ręki nakazał mu, aby nie ruszał się z miejsca. W ciszy, panującej w mieszkaniu, usłyszeli na schodach oddalające się kroki.

- Poszedł.

- Niech pan zgasi światło w pokoju. Przejdziemy do kuchni. Jest od podwórza?

- Tak. Już gaszę.

W kuchni był mały stolik, przy którym inżynier najczęściej jadł śniadanie i kolację. Przyniósł z pokoju drugie krzesło, usiedli.

- Niech pan pisze.

Kiedy skończył, oficer wziął kartkę, przestudiował liczby, znaki chemiczne i objaśnienia, a potem rzekł:

- Teraz proszę na drugiej kartce, mając tę pierwszą za wzór, pozmieniać dane w taki sposób, aby czytający był przekonany, że dostał prawdziwą

informację.

- Nie wiem, czy mi się uda - Czepiński patrzył niechętnie na wzory

chemiczne. - Nie jestem specjalistą od tych spraw.

- Ale jest pan inżynierem. Proszę trochę się wysilić, przecież nie
przekażemy im prawdy.

- No, oczywiście, że nie.

- Zresztą, pomogę panu.

- Pan jest chemikiem?

Znów nie było odpowiedzi. Obaj pochylili głowy nad papierami. W

rezultacie zapalili się do tej roboty, jak do złośliwego figla, którego mieli komuś
tam spletać. Po półgodzinie fałszywa informacja była gotowa.

- Chyba możemy już przejść do pokoju - rzekł inżynier. - Niewygodnie
przy tym stoliku.

Wstał, poszedł pierwszy, zapalił lampę i zaciągnął starannie zasłony.

Pomyślał, że przydałyby się w takich momentach grube koce, przez które nie
przenika nawet promień światła. Pułkownik szedł za nim, fajka paliła się i
aromatyczny dym zapełnił pokój.

- Proszę, tu jest kartka z prawdziwymi danymi - rzekł. - Niech pan ją
najlepiej od razu zniszczy, bo jeszcze gotów pan się pomylić.

- Spalę. - Czepiński położył papier na dużej popielniczce i przytknął
zapałkę. Kartka zwinęła się, szerniała, pozostał szary popiół. - A co mam
zrobić... z tym, no... z pieniędzmi?

- Cóż, w obecnej sytuacji musi pan je wziąć. Jeżeli pan odmówi, zdziwią
się i zaczną podejrzewać, że coś jest nie w porządku. W jaki sposób oni

przekazują pieniądze?

- W dziwny. Po prostu kiedy jeden z nich telefonuje do mnie, drugi wsuwa kopertę z pieniędzmi w szparę pod drzwiami wejściowymi.

- I nie udało się panu ani razu wybiec na schody, zobaczyć, kto to jest?

- No, to było przecież tylko dwa razy. Zaj pierwszym nie znałem jeszcze metody ich działania. A za drugim zajęty byłem telefonem. Kiedy zobaczyłem na podłodze kopertę, wybiegłem na klatkę schodową, ale nikogo już nie było.

- Dobrze. To w takim razie niech pan odtąd nikogo nie szuka, my sami tym się zajmiemy. Dzisiaj będą dzwonić?

- Tak, wieczorem. Zwykle o dwudziestej drugiej.

- Dobrze. Zrobimy dyskretną obserwację domu i schodów.

- Panie pułkowniku, ale...

- Powiedziałem, dyskretną. Czego pan się boi? Jest pan przecież pod naszą opieką.

- I co mam zrobić z tymi pieniędzmi?

- Musi pan je nam przekazać. Poddamy je dokładnym badaniom w Zakładzie Kryminalistyki. Mogą być na nich ślady linii papilarnych, chociaż wątpię. Mogą też być jakieś inne znaki. Również na kopercie. Proszę nie brać jej do ręki, tylko przez chusteczkę i od razu włożyć do jakiegoś pudełka czy zawinąć w gazetę. Jutro z samego rana, zanim pan uda się do pracy, przyjdzie ktoś do pana i odbierze. Ktoś miły - uśmiechnął się.

Pożegnali się, pułkownik dodał jeszcze, aby inżynier był dobrej myśli i nie bał się nikogo. Kiedy wyszedł, Czepiński starał się zastosować do tej rady, ale nie bardzo mu się to udawało.

Dwie minuty po dwudziestej drugiej zadzwonił telefon. Czepiński

uruchomił magnetofon, wziął kartkę z fałszywymi danymi i podniósł słuchawkę.

- Dobry wieczór. Co pan ma dla nas? - spytał „on”.

- Będę czytał. Niech pan notuje - odparł opryskliwie.

Skończył czytać, nawet nie powiedział „do widzenia”, rzucił słuchawkę,

jakby się paliło, i wyskoczył do przedpokoju. Koperta leżała na podłodze.

Wziął ją przez chusteczkę, ale nie zawinął w gazetę. Była nie zaklejona,

więc położył ją na stole i końcem długopisu delikatnie rozchylił. Same

tysiączłotowe banknoty. I chyba naprawdę dwanaście. Nagle przyszło mu do

głowy, aby połowę tej sumy zatrzymać dla siebie.

Przyniósł z kuchni szczypcę do cukru, które kiedyś ktoś mu podarował.

Prezent był bez większego sensu, ale teraz się przydał. Szczypcami ostrożnie

wyjął z koperty sześć tysięcy, resztę zestawił. Zastanowił się przez chwilę, czy

by nie zakleić koperty. A jeżeli będą badać ślinę na kleju? W takim razie trzeba

wodą. Zwilżył palec pod kranem, pociągnął po warstwie kleju i przeraził się,

czy nie zostaną ślady linii papilarnych. Diabli nadali technikę milicyjną!

Pocieszył się, że w wodzie te ślady pewnie się zetrą.

Zakleił i westchnął. Przyjrzał się podejrzliwie banknotom, które leżały na

stole. Czy nie są w jakiś sposób znaczone? Trzeba je natychmiast wydać. Potem

jednak pomyślał, że na razie, by nie budzić podejrzeń Joli, tego nie robi.

Ostatecznie schował banknoty między kartki jednej z książek i wsunął ją

wysoko, na ostatnią półkę regału. Żeby tylko nie zapomnieć, do której książki je

wsadziłem - pomyślał zatroskany. I zanotował w kieszonkowym kalendarzu:

„Są w En. T” Bo włożył pieniądze do Encyklopedii Techniki.

Kopertę zawinął w gazetę, pudełka nie chciało mu się szukać. Pomyślał z radością, że rano zobaczy Jolę.

*

- Coś w tym jest - powiedział kapitan Szczęsny, przysiadając naprzeciw biurka. - Mówię ci, że coś w tym jest.

Major Daniłowicz pogrzebał w szufladzie, znalazł paczkę papierosów, schowaną na czarną godzinę i ucieszył się. O tej porze - była głęboka noc - trudno cokolwiek kupić, zwłaszcza w pobliżu komendy.

- W czym?

- W tych wizytach na cmentarzu.

- Gdzie?! - Major podniósł na niego zdumione oczy. Nie słuchał przedtem, zajęty swoimi sprawami. - Kto chodził po cmentarzu?

- Przecież mówiłem. I dlatego jeszcze raz powtarzam ci, że coś się za tym kryje.

- Idź spać - mruknął Daniłowicz. - Dwunasta dochodzi.

- A ty?

- Ja mam robotę.

- Zawsze mamy robotę. Cały rok. W ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię!.

Major odsunął notatki, oparł się wygodniej w swoim starym fotelu i rzekł z rezygnacją:

- No, to opowiedz jeszcze raz. I tak mi nie dasz pisać. Ale po kolei, bo jestem zmęczony i nie będę z tobą skakał po temacie.

- jr, Dobra. Więc, jak wiesz, grzebię się w tym przedsiębiorstwie

„Jedność”, szukam śladów po Wilczaku. Czterystu sześćdziesięciu pracowników, trochę kooperantów z Warszawy i Łodzi, dwie firmy transportowe do współpracy. Kupa ludzi, Wilczak jeździł w teren mniej więcej trzy, cztery razy w miesiącu. Przekopałem się przez jego delegacje służbowe, rachunki z hoteli i takie tam... Naszkicowałem plan tych wyjazdów, kierunki. Pojechałem śladem kilku delegacji. Często powtarzało się w nich nieduże miasto powiatowe Strągowo. Sam nie wiem, dlaczego właśnie tam zacząłem szukać dokładniej. Wiesz, jak to jest z nami. Nie zawsze potrafimy uzasadnić, co nas prowadzi właśnie w tym, a nie w innym kierunku. Major przytaknął ruchem głowy.

- W Strągowie jest nasza jednostka powiatowa. Znam komendanta, zetknęliśmy się na jakimś kursie szkoleniowym w Łodzi. Nazywa się Bardecki. Kazik Bardecki. Powiedziałem mu, że szukam zabójcy Jana Wilczaka, nie wdając się w szczegóły. On oczywiście wiedział o sprawie, bo rozesłaliśmy radiogram i zdjęcie do wszystkich jednostek. No i Kazik mówi do mnie: „Dobrze, że przyjechałeś, bo właśnie miałem do was wysłać meldunek. Wilczak przyjeżdżał do tutejszej fabryki sprzętu elektrotechnicznego”. Odparłem, że o tym wiem i dlatego tu jestem. I że jeżeli tylko tyle miał nam do zameldowania, to się bardzo nie wysilił. Było przecież jasne, że kopie delegacji są w finansowym „Jedności”, a także rozliczenia, rachunki itede. Ale kiedy tak rozmawialiśmy, do gabinetu wszedł jeden z podoficerów i o czymś tam Kazikowi meldował. Spojrzał na zdjęcie Wilczaka, które leżało na biurku, i powiedział: „Wczoraj mówili mi, że ten człowiek, jak przyjeżdżał do Strągowo, to chodził zawsze na cmentarz”.

- Może miał takie hobby?

- Czekaj. W Strągowie jest grób rodziny Wilczaków. Nie wiadomo, czy to byli jego krewni, bo grób jest stary, ostatni pogrzeb odbył się sześć czy osiem lat temu. Jan Wilczak urodził się zupełnie gdzie indziej, w Strągowie nigdy nie mieszkał. Jeżeli więc byli to jego krewni, to dalecy i raczej ich nie odwiedzał.

Ktoś by w mieście o tym słyszał, a nasi rozpytywali po otrzymaniu radiogramu. Sąsiedzi tych wymarłych Wilczaków nigdy nie słyszeli o Janie, nie widywali go. A mimo to ilekroć przyjeżdżał do fabryki przez te trzy lata pracy w „Jedności”, szedł pod wieczór na cmentarz. Nawet składał kwiaty na grobie. Tutejsi różnie o tym mówili, jednym to się podobało, inni robili kółka na czole.

- Przecież może się zdarzyć, że komuś nagle odbije taka rodzinna szajba.

Zresztą może się za tym kryć jakaś zupełnie osobista historia, dramat nawet. Co ty dzisiaj wiesz o Wilczaku...

- Co ja wiem? - Szczęsny zamyślił się. - No, niewiele. Ale pomyślałem sobie, że tam mogła być „martwa skrzynka”.

- W każdym grobie są martwe skrzynki z zawartością, jeżeli w taki sposób określasz trumny.

Kapitan wybuchnął śmiechem, a Daniłowicz speszył się trochę.

- Oczywiście, rozumiem. Szpiegowska „skrzynka”. Myślisz, że była w grobowcu?

- Właśnie. Obejrzałem go sobie pobieżnie, byłem ostrożny, żeby ewentualnie kogoś nie spłoszyć. Niewielki grób, otoczony żywopłotem, kamienna płyta z napisami. Z pewnością jest tam sporo szpar, otworów, wgłębień, w których można by umieścić pakiecik z mikrofilmem czy coś w tym

rodzaju.

- Wilczak nie żyje. Tylko on miał pretekst do odwiedzania rodzinnego grobu. Jeżeli nawet nie była to rodzina, lecz przypadkowa zbieżność nazwisk...

Krewni nie żyją, nikt nie sprawdzi. Ale po jego śmierci „skrzynka” przestała być aktualna. Jeśli były tam jakieś ślady, zdążyli usunąć. Co chcesz z tym zrobić?

Mówiłeś Polewskiemu?

- Jeszcze nie.

- Rozumiem. Chcesz mojej światłej rady, po starej znajomości. Co prawda kontrwywiad to nie moja parafia, ale sądzę, że jeżeli Wilczak w tej „skrzynce” coś umieszczał, to ktoś materiały odbierał. Musiałbyś... a powiedz mi, kto mówił podoficerowi z Komendy w Strągowie, że Wilczak chodził na cmentarz?

- Kilka osób. Starsze kobiety, które sprzątały groby bliskich, grabarz, nawet ksiądz.

- Więc musiałbyś te osoby wypytać, czy nie widziały również innego człowieka, odwiedzającego chętnie cmentarz, i to niedługo po pobycie Wilczaka. Szczęsny, nie rób tego sam! Powiedz o wszystkim Polewskiemu. To twój obowiązek. Możesz postawić fałszywy krok i zepsujesz delikatną robotę.

- Pewnie masz rację - mruknął kapitan, wy raźnie nie przekonany. Jego wąskie, czarne ocz polyskiwały w świetle lampy.

- Ach, jak ja ciebie dobrze znam! - rzekł Daniłowicz z pobłażaniem w głosie. - Dałby wiele, aby dorwać się samemu do tej „skrzynki”.

- Dałbym.

- Ale wiesz, że ci nie wolno i szarpiesz się ja pies na smyczy.

- Pies musi słuchać, a ja muszę myśleć. I działać.

- W tej sprawie nic nie zrobisz sam. Pamiętaj! W kwadrans później

Szczęśny wyszedł z Pałacu Mostowskich. Jeden z radiowozów zatrzymał się właśnie przed bramą, wysiadł ktoś z załogi. Poznał go, uniósł palec do czapki.

- Dużo roboty? - spytał Szczęśny.

- Średnio, kapitanie. Nie najgorsza noc. Ot, mieliśmy właśnie interwencję domową. Mąż pobił żonę, sąsiedzi wezwali radiowóz.

- Zabraliście go?

- Tak, odwieźliśmy na dzielnicę. Ale ona, jak zobaczyła milicję, to zaczęła się „łamać”. Widać kochająca kobieta.

- Mocno ją pobił?

- Dość. Nos rozkrwawił, siniaki zrobił pod oczami. Może - kapitan chce zobaczyć tego bohatera, to proszę z nami na Wilczą. Zaraz tam wracamy.

- A przyjrzę mu się przy okazji, bo mam interes do oficera dyżurnego.

Kto tam jest dzisiaj?

- Porucznik Bielak.

Zajechali do Komendy-Sródmieście. Szczęśny zajrzał na stanowisko dowodzenia, porozmawiał chwilę z Bielakiem. Potem skierował się do pomieszczenia dla zatrzymanych. Sierżant, pobrzękując kluczami, wskazał mu przez kratę krępego, siwawego mężczyznę, ubranego niedbale w szary garnitur. Siedział na ławce pod ścianą. Czując na sobie wzrok Szczęśnego, uniósł na chwilę głowę i spojrzenia ich spotkały się.

Kapitan wrócił do oficera dyżurnego i powiedział:

- Chciałbym być obecny przy przesłuchaniu tego człowieka. Tego, co

pobił żonę. Ja go skądś znam, tylko na razie nie mogę sobie przypomnieć. Daj mi jego dane personalne.

- Zenon Wiśniewski, lat czterdzieści sześć, żonaty, urodzony w Strągowie, pracuje jako...

- Gdzie urodzony?!

- W Strągowie. Masz, to jego dowód - porucznik podał zieloną książeczkę. - Mieszka na Hożej. Ale żona nie chce składać skargi, a on nie jest na tyle pijany, żeby go zawieźć do Izby. Zaraz go wypuszczę. Pójdzie do domu i pogodzą się w łóżku. Wiesz, jak to z tymi rodzinnymi.

- Wiśniewski... - mruknął kapitan, przeglądając kartki dokumentu. - A przysięgłbym, że nazywa się inaczej. Dowód chyba w porządku?

- Tak, raczej tak. Miałeś z nim kiedyś sprawę?

- Cholera, żebym mógł sobie przypomnieć. Jurek, ja muszę mieć jego zdjęcie. Przetrzymaj go do jutra, dobrze? Przez ten czas sfotografuję dowód. A jutro pogadam z dzielnicowym, który ma Wiśniewskiego w rejonie. I z naszymi z Kryminalnej. Ten facet mi się nie podoba.

Rozdział 5

Listopadowa wichura targała drzewami, jakby chciała je wyrwać z ziemi i rzucić gdzieś daleko. Zacinał drobny deszcz, pomieszany ze śniegiem. Major Polewski powiedział z zadowoleniem:

- Świetna pogoda. W sam raz.

- W sam raz do czego? - spytał sennie kapitan Szczęsny, kiwając się nad stołem. Poprzedniej nocy położył się o świcie i jeszcze nie zdążył tego odespać.

- Do jazdy. I do naszej roboty.

- Do czego?

- Obudź się! - Polewski trzepnął go po ramieniu. - Przecież jedziemy do

Strągowa. Masz - podsunął mu szklankę z kawą. - Na otrzeźwienie.

- Gdzieś czytałem, że kawa nie otrzeźwia, ale wzmacnia stan, w jakim człowiek się znajduje.

- To niech się człowiek pozbiera i zmieni stan, bo za kwadrans jedziemy.

Śpieszy mi się.

Szczęśny chciał znowu zapytać, do czego, ale raptem senność odleciała i przypomniało mu się, gdzie i po co jadą. Zerwał się z krzesła, na stojąco wypił kawę i przegryzł kanapkami, ułożonymi na talerzu przez zapobiegliwą sekretarkę Czerniaka. Namacał w kieszeni papierosy i latarkę, pistolet był na szelkach pod marynarką. Jechali po cywilnemu. Polewski wystarał się o samochód trochę podniszczony, nie wpadający w oko, ale z dobrym silnikiem. Jechali we trzech, z porucznikiem Klingą, specjalistą od radiostacji.

W Strągowie znaleźli się po trzech godzinach ciężkiej jazdy w deszczu i błocie. Major prowadził wóz ostrożnie, ale na którymś kilometrze natrafili na powalone wicherą drzewo i trzeba było zboczyć na gliniaste, rozmokłe pole. Zajechali pod komendę powiatową, zachlapani błotem do połowy i z rozbitym prawym reflektorem, bo Polewski zauważył drzewo pół sekundy za późno. Szczęśny wyskoczył z samochodu i, mrużąc oczy od światła lampy przed budynkiem, wszedł do dyżurki.

- Do kogo? - warknął plutonowy, widząc obcego cywila.

Szczęśny ściągnął brwi. Nie lubił takiej formy powitania.

- Grzeczniej! - odpowiedział. - Do człowieka mówicie!

Podoficer porwał się z krzesła, ale dostrzegł pistolet pod rozpiętą

marynarką i znieruchomiał.

- Komendant u siebie?

- Jestem, jestem - usłyszał za plecami i już Bardecki witał się z nim

przyjaźnie, udając, że nie widzi niespokojnego spojrzenia plutonowego.

Postanowił, że potem się z nim rozmówi.

- Chodź na górę. Gdzie tamci?

- W wozie.

- Zaraz ich poproszę. Wypijecie coś na rozgrzewkę? Paskudna pogoda!

Weszli do gabinetu komendanta, zrzucili płaszcze i zacierali zziębnięte

ręce. Bardecki z ciekawością przyglądał się obu oficerom z kontrwywiadu, ale o

nic nie pytał. Wiedział, że ma im pomóc, domyślał się, w czym. Wystarczyło.

Sam zaparzył herbatę, nalał po kieliszku domowej nalewki. Na przegryzkę

znalazła się sucha, kiełbasa i ogórek.

- Więc tak... - Major odstawił kieliszek. - Właściwie wszystko, co będzie

nam potrzebne, mamy ze sobą, w wozie, Natomiast, tak jak się umówiliśmy

telefonicznie, poprosimy was o zabezpieczenie cmentarza i najbliższej okolicy.

Oczywiście, dyskretnie. Chodzi o to, aby nikt z tutejszych mieszkańców, a tym

bardziej nikt obcy, nie zobaczył, że cokolwiek dzieje się przy grobowcu

Wilczaków. Dlatego przyjechaliśmy w nocy, a nie w dzień. Trudniejsza robota,

bo przy reflektorach, ale cóż...

- Przygotowałem sześciu ludzi do obstawy - odparł Bardecki. - Czekają w

światlicy. Mamy tu taką małą światlicę z telewizorem. Chłopaki oglądają film.

Polewski spojrział na zegarek.

- No, to dajmy im jeszcze dziesięć minut na obejrzenie do końca -

powiedział. - Potem ruszamy. Oni najpierw, my gdzieś po kwadransie. Macie łączność radiową?

Komendant rozłożył ręce.

- Niestety. Jakoś nie mogę się doprosić. Obiecali w Warszawie, że jak tylko nadejdą radiotelefony, to dostaniemy. Ale ja to tak zorganizuję, że będziemy wiedzieć, czy można już wyjść.

- Przez noktowizyjne rozpoznanie taktyczne? - spytał z lekką ironią porucznik Klinga. - Czy przez machanie chorągiewką?

- Nie - odparł spokojnie Bardecki. - Przez właściwą organizację roboty, na miarę naszych możliwości.

Major i Szczęsny wybuchnęli śmiechem.

- Widzisz, jak cię rozłożył? - rzekł Polewski. - Kiedy jesteś w gościnie, nie wybrzydzaj na gospodarzy. Jeden zero dla komendanta!

Ziemia na cmentarzu ugięła się pod stopami, wiatr szarpał gałęzie krzewów i rozsiewał deszcz. Klinga niósł walizkę ze sprzętem, tamci dwaj przyświecali reflektorami, trzymając je nisko, aby światło nie było widoczne.

Bardecki pozostał u bramy cmentarza, chciał sam zwrócić baczną uwagę na to, co się dzieje dokoła. Milicjanci, młodzi chłopcy po szkole podoficerskiej, rozstawili się na wyznaczonych z góry miejscach i ukryli tak dobrze, że z trudem wypatrzył ich sylwetki, przyklepione do drzewa lub muru. Stanowiska dobierali wspólnie przez pół dnia, musiały być takie, żeby oni widzieli wszystko, ale ich nie widział nikt.

- Tutaj - powiedział Szczęsny i zatrzymał się przy jednym z grobów. -

Trzy pokolenia Wilczaków, sądząc z napisów na płycie. Właściwie na-: leżało i naszego tu umieścić.

Klinga wolno obszedł grób dokoła, przykucnął obok płyty, schylił się i zaczął ją dokładnie oglądać. Polewski śledził przez chwilę jego ruchy, a potem przeniósł wzrok na sąsiednie kwatery. Cmentarz był rozległy, bokiem opadał w kierunku rzeki, za którą ciągnął się las. Major pomyślał, że ewentualny przestępca, kimkolwiek by nie był, miał tu dobre warunki do ucieczki i ukrycia się w głębi lasu. Zwłaszcza nocą.

Odwrócił głowę i zatrzymał spojrzenie na dużym grobowcu z dwoma kamiennymi aniołami po bokach.

- Czyj to grób? - spytał, ale tamci zajęci byli obmacywaniem płyty, więc major sam ruszył w kierunku aniołów. Przez chwilę przyglądał się ich pyzatom, choć smutnym twarzą, przeczytał nazwisko na płycie - rodzina Zalewskich, cztery osoby - potem przyklęknął na mokrej trawie, bo coś go zainteresowało.

- Uniesiemy płytę? - zaproponował Szczęsny, widząc zaszępioną minę porucznika. Jak dotąd nie znaleźli żadnych śladów, które mogłyby wskazywać, że coś tu przechowywano. Klinga miał specjalnie skonstruowany, niezmiernie czuły aparat elektronowy, który reagował na mikronowej wielkości drobinę metalu.

- Można spróbować - mruknął porucznik. Chwycili kamień z obu stron, napięli mięśnie rąk. Płyta drgnęła, poruszyła się.

- Idzie!

- W prawo, razem... Dość! Wystarczy.

Oczy, przywykłe do ciemności, dostrzegły czarną głąb. W świetle

reflektora błysnął metal trumny. Patrzyli uważnie, Klinga wodził smugą światła po wnętrzu i bokach grobu.

- Nic specjalnego nie widzę.

- Aparat nie wykaże?

- Wykaże. Całe mnóstwo metalu i nieboszczyków. Na nic.

- To co robimy?

- Zasuujemy.

- Do komendy?

- Zasuujemy płytę! Na komendę jeszcze czas. Zepchnęli pokrywę grobu na miejsce, odsapnęli. Z mroku wyłonił się Polewski i spytał: Jest coś?

- Nic - odparł Klinga, podnosząc się z ziemi.

- No, to chodźcie tutaj.

Gdzie?

- Do tego grobowca. Zdaje się, że złapałem ślad.

Prawy pyzaty anioł miał w kamiennych fałdach długiej szaty dobrze

ukryte wgłębienie. Major z uśmiechem wyciągnął stamtąd maleńki kawałek cienkiego kabla i rzekł do Klingi:

- Spróbuj aparatem. Na pewno zareaguje.

Co tu było? - zaciekawił się Szczęsny.

- Prawdopodobnie radiostacja. Ukryta w grobowcu, z anteną w aniołku.

- Cholera! Więc on pozorował przy grobie Wilczaków, a w rzeczywistości... Mogliśmy tam długo szukać.

- Tadeusz, trzeba by otworzyć ten sarkofag - Rzekł Klinga prosząco. - W

środku na pewno znajdziemy wiele śladów. Polewski pokręcił głową przecząco.

Zezwolenie prokuratorskie masz? Zezwolenie potrzebne na ekshumację, a ja chcę tylko zajrzeć do grobowca. Przecież nie uszkodzę „drogich nieobecnych”.

Popatrzę, i wsio. - A klucz? Przecież to się czymś otwiera.

- O klucz się nie martw. No więc? Tymczasem Szczęsny, nie biorąc udziału w dyskusji, obmacał drzwi grobowca, poruszył metalową gałką i ciężkie wrota rozchyliły się bez większego oporu. Zrobił krok i zatrzymał się jak wryty. Prawa ręka błyskawicznie sięgnęła do pistoletu, ale zaraz opadła.

Pomiędzy starymi trumnami, na kamiennej posadzce, leżały skłębione szmaty, wypchany worek, puszki po konserwach i butelka.

- Legowisko - szepnął Klinga. - Musieli tu coś mieć. Nie wchodźcie dalej, kapitanie. Zbadam ściany i to brudne wyro. Poświećcie.

- A co, miałem nosa - rzekł Polewski. - Ostrożnie szukaj, mogli coś podłożyć.

Po kwadransie, kiedy Szczęsnemu kompletnie zdrętwiała ręka od trzymania w górze reflektora, porucznik wycofał się spomiędzy trumien i wyszedł przed grobowiec. Rezultat poszukiwań był zaskakujący. Widoczne było, że nieznani osobnicy uznali to miejsce za zupełnie bezpieczne.

- Bardzo wyraźne ślady po umocowaniu radiostacji, przepalona żarówka kieszonkowej latarki - wyliczał Klinga, kiedy zmęczeni usiedli w gabinecie Bardeckiego. - Zużyty bilet kolejowy drugiej klasy pośpiesznego pociągu na trasie: Warszawa-Kraków, zakrwawiony opatrunek, pewnie ze skaleczonego palca, bo mały i wąski... brudne szmaty, tłuste, więc chyba od oliwy czy smarów. Pusta butelka po żytniówce, nie stać było faceta na lepszy alkohol. No i dwie puszki po konserwach rybnych. Filety z makreli w sosie pomidorowym.

- Gdybym był zwierzchnikiem tego, co siedział w grobowcu, to bym go z miejsca wylał z roboty - rzekł Szczęsny. - Ani po sobie nie posprzątał, ani nie zamknął drzwiczek.

- Tak, to zastanawiające - powiedział Polewski. - A ponieważ tacy ludzie na ogół przestrzegają podstawowych zasad konspiracji, więc chyba stało się coś, co go zmusiło do natychmiastowej ucieczki. Kim są ci Zalewscy? - zwrócił się do komendanta.

- Zamożna rodzina, przedwojenni właściciele z dużego młyna i restauracji. Było dwóch braci Zalewskich. Jeden pozostał w kraju, a drugi wyjechał, chyba ze dwa lata przed wojną, do Stanów Zjednoczonych. Nie wrócił do dziś. Tutejszy Zalewski zmarł zaraz po wojnie. Młyn jest teraz państwowy, restaurację dzierżawi jakiś agent. Pozostało dwoje dzieci: Janina, która wyszła za męża za lekarza z Krakowa i wyjechała stąd na stałe, oraz Zygmunt. Z tym mamy często kłopoty.

- Dlaczego?

- Łobuz jest, awanturnik i leń. Stryj z Ameryki przysyła mu paczki, a chyba i dolary. Zygmunta nazywają tutaj „Fartowny”. Parę razy i próbowano go okraść, ale trzyma bardzo złego psa. Wielkie bydlę, jak cielak, nie da podejść do siebie.

- Ile lat mógł mieć ten Zalewski, kiedy wyemigrował?

- To był prawie szczeniak, osiemnaście czy dwadzieścia. Jego brat był starszy o kilkanaście lat, tak to się u nich w rodzinie ułożyło, bo ojciec, ożenił się drugi raz i dość późno. Więc kiedy zmarli rodzice, starszy Zalewski spłacił młodszego, przejął młyn i restaurację, a tamten wyjechał. Oni podobno mieli w

Stanach jakichś dalekich krewnych i pewnie chłopak do nich się udał. Zresztą wicie, jak to przed wojną, wystarczyło kupić szyfkartę, a z paszportem na pewno nie było kłopotu, bo rodzina przyzwoita i zamożna.

- Czyli że teraz on by miał jakieś pięćdziesiąt trzy, cztery?

- Tak, coś koło tego.

- I nie był tu ani raz po wojnie?

- Chyba przejazdem, jako turysta. Na dłużej to nie, ja bym coś o tym wiedział. O „Fartownym” często ludzie gadają w knajpie, wypatrzyliby tego stryjka z Ameryki.

- Aha, Kazik, dowiedziałeś się już czegoś o Zenonie Wiśniewskim, o którym ci mówiłem przez telefon? - wtrącił Szczęsny.

- Dowiedziałem. Był taki w Strągowie, technik budowlany, wiek i dane personalne się zgadzają. Sześć lat temu przeniósł się do Warszawy. Miał u nas czystą kartę.

- Widziałeś jego zdjęcie?

- Tak. W ewidencji ruchu ludności.

- Ten?

Szczęsny położył przed Bardeckim niedużą odbitkę. Była to fotokopia, zrobiona z dowodu osobistego.

- Ten. Może tylko odrobinę starszy. A czemu pytasz?

- Nic, tak. Zdawało mi się, że facet nazywa się inaczej. Że go skądś znam.

Tę twarz. Sposób patrzenia, trochę spode łba. Ciężkie ruchy... Na pewno to on? Bardecki wziął zdjęcie do ręki i przyglądał się uważnie.

- Teraz mi zabiłeś klina. Musiałbym porównać. Zostaw mi tę odbitkę,

dobrze?

- Tak, oczywiście. Mam u siebie kilka. Albo nie, poczekaj... Zrobimy inaczej. Przyślij mi fotokopię jego zdjęcia, a ja poproszę o ekspertyzę w Zakładzie Kryminalistyki.

- Kapitanie, dajcie mi trochę więcej danych o Zygmuncie Zalewskim - rzekł major. - Gdzie on mieszka?

- Przy Szkolnej osiem. To jest już na peryferiach Strągowa. Zalewski odziedziczył po ojcu dom z ogrodem. Stary budynek, ale przyzwoity,; trzy pokoje na dole i jeden na pięterku, właściwie już na poddaszu.

- Sam mieszka?

- Teraz sam. Był żonaty, ale rozeszli się i ona wyjechała, chyba do Warszawy.

- I tak sam gospodaruje w tych czterech pokojach?

- Chodzi tam jedna baba sprzątać. Jak Zygmunt dostanie dolary, to jej płaci, a jak nie, sprzedaje po trochu to, co zostało po ojcu. Ogród jest bardzo zaniedbany, chociaż miałby z niego niezły dochód. Ładne drzewka owocowe, maliny, porzeczki... Kiedy żyli jego rodzice, ogród był na pokaz. Ale temu nygusowi nie chce się przyłożyć do roboty.

- Jak miał na imię jego stryj? Ten, co wyjechał do USA?

- Zaraz, chyba... Leopold.

- I nie widzieliście go tutaj w ostatnich latach?

- W ogóle nie widziałem go po wojnie.

*

Kapitan Szczęsny siedział przy ladzie w barze „Sandwich” i rozmyślał.

Nie było to najlepsze miejsce do refleksji, dokoła tłoczyli się goście w stanie lekkiej nieważkości, potrącali go, rechotali nad uchem i wykrzykiwali do siebie ponad jego głowę. Mimo to Szczęsny trwał na swoim niewygodnym stołku, jakby nie odczuwał potrąceń, nie słyszał śmiechów i wrzasków.

Od czasu do czasu jego uważne oczy spoglądały na barmana, wprawiając go za każdym razem w lekkie zakłopotanie. Barman wiedział, kim jest ten szczupły mężczyzna w szarym ubraniu. Wiedział aż za dobrze i, chociaż teraz sumienie miał tak czyste, jak tylko może mieć pracownik baru alkoholowego, jednakże czuł się nieswojo i wolałby, aby Szczęsny już sobie poszedł.

Wreszcie nie wytrzymał tego napięcia, desperacko zmiótł z lady okruchy, rozluźnił węzeł krawata i szepnął, pochylony w stronę oficera:

- Panie kapitanie, czy...

Szczęsny spiorunował go wzrokiem, więc barman szybko się poprawił:

- Proszę pana, może coś podać? Mam dobre orzeszki w soli. Albo palone migdały. Albo...

- Żadnych orzeszków. Mały koniak.

- Służę panu. Martineau? Napoleon-brandy?

- Budafok.

- Służę.

Postawił kieliszek, nalał, delikatnym ruchem podsunął w stronę

Szczęsnego. Czarne, wąskie oczy nagle złagodniały i kapitan uśmiechnął się do barmana, czym wprawił go w jeszcze większe zaniepokojenie, a potem rzekł cicho:

- Panie Władysławie, chciałbym, żeby pan mi pomógł w jednej sprawie.

- Służę - zaczął barman i zaciął się. - Nie wiem, czy będę w stanie. A o co chodzi? Ja, oczywiście, jak najchętniej... jeżeli tylko będę mógł.

- Widzi pan, mam wielkie zaufanie do pańskiej świetnej pamięci wzrokowej.

Oj, źle! - wystraszył się barman. Otarł spocone czoło.

- Panie... proszę pana, ja na nikogo donosić nie będę. - Wyprostował się z godnością. Był; blady, ale stanowczy.

- Eh, ty koniu boży - mruknął Szczęsny na wpół do siebie.

Barman jednak dosłyszał, a choć było to eleganckie określenie osła, jemu przez skojarzenie przypomniały się wyścigi i sprawy z tym związane. Zbladł jeszcze bardziej, okropnie nie chciał powracać do tamtej sprawy, sądził, że milicja już; o niej zapomniała. Przełknął głośno ślinę i obejrzał się dokoła.

- Co pan chce wiedzieć? - wionął tragicznym szeptem tuż obok ucha oficera.

- Nic, co by urażało pańską godność - odparł Szczęsny przyjacielsko. - Po prostu kilka tygodni temu, kiedy siedziałem tu przy ladzie tak jak dzisiaj, obok mnie znajdowało się dwóch przyzwoitych gentlemenów. Poznali się kwadrans wcześniej, zaczęli pić. Dość dużo pili. Jeden był cudzoziemcem, ale mówił po polsku. Drugi miejscowy. Siedzieli tu ze trzy godziny i wyszli razem. Ten cudzoziemiec mówił do pana: panie Władziu! Kto to był?

Barman nerwowo miał w rękę ściereczkę.

- Tyle gości przychodzi każdego wieczoru - bąknął.

- Oczywiście, bar jest dla ludzi. Ale mnie jest potrzebne nazwisko tylko jednego człowieka. Tego obcokrajowca.

- Może gdybym zobaczył jego fotografię?

- Proszę bardzo. - Szczęśny położył obok kieliszka trzy odbitki,

zasłaniając je sobą przed innymi gośćmi. Każda przedstawiała kogoś innego. -

Poznaje pan?

Barman westchnął. Potem ostrożnym ruchem dotknął środkowego

zdjęcia.

- Chyba ten. Ale mogę się mylić! - zastrzegł.

- Nikt nie jest nieomylny. Jak ten człowiek się nazywa?

- Jakoś tak dziwnie. Zaraz sobie przypomnę. Szczęśny czekał cierpliwie.

Barman wskazał zdjęcie Zenona Wiśniewskiego. Może nareszcie wyjaśni się,

dłaczego wciąż mu kołacze po głowie myśl, że Wiśniewski to nie jedyne

nazwisko tego człowieka. I że on go już gdzieś widział.

- No, panie Władysławie?

- Stakwit.

- A na imię?

- Włodzimierz. Tak się przedstawił temu drugiemu. Ale ja tamtego nie

znam. Nigdy tu przedtem nie przychodził. A ten Stakwit też już później przestał.

Może wrócił do Anglii?

- Może - odparł Szczęśny powściągliwie. - Co pan jeszcze o nim wie?

- Naprawdę nic! - Barman z ubolewaniem potrząsnął głową.

- Pan ma przecież świetną pamięć. Ja zresztą też.

Barman popatrzał na niego z wyrzutem.

- Co miało być zapomniane, to miało być - mruknął. - Tak się

umówiliśmy.

- Owszem. Ale pan nie dotrzymał słowa.

- Ja?!

- A kto finansował ruletę na Nowogrodzkiej dwadzieścia sześć? Może ja?

Pytanie było zbyt retoryczne, aby na nie odpowiedzieć. Toteż barman rzekł:

- Wycofałem się. Już dawno.

- Sześć dni temu. Zależy, co dla kogo dawno. Człowiek za ladą opuścił głowę. Nalał komuś koniak zamiast żytniówki, na co Szczęsny dyskretnie zwrócił mu uwagę.

- No, więc? Co pan o nim wie?

- On taki Anglik, jak ja Hiszpan - rzekł barman z rozpaczą. Było mu już wszystko jedno. - rj Wiśniewski się nazywa. Kiedyś był tu z facetem którego znam.

- Jak się nazywa ten facet?

- On już nie żyje. Czytałem nekrolog.

- Jak się nazywał?

- Wilczak.

Oczy kapitana rozbłysły na sekundę i ukryły się pod opuszczonymi powiekami.

- Kto to był?

- A, taki jeden. W „Jedności” pracował. Zaopatrzeniowiec czy coś takiego. Był czas, że tu często przychodził, rozmawialiśmy trochę. Potem przez parę miesięcy w ogóle się nie pokazywał. No, a później przyszli raz z Wiśniewskim.

- Skąd pan wie, że Stakwit nazywa się Wiśniewski?

.Barman uśmiechnął się pobłaźliwie. Nie odpowiedział i Szczęśny

pomyślał, że pytanie było zbyteczne. O wielu, bardzo wielu sprawach dowiaduje się pracownik gastronomii, choć czasem wcale tego nie chce.

- Naprawdę nic pan nie wie o człowieku, któremu Wiśniewski przedstawił się jako Stakwit?

- Naprawdę. Słowo honoru daję! Już tyle panu powiedziałem, to i o tym bym powiedział.

- Ja pamiętam, że obaj na początku przedstawiali się sobie.

- Chyba tak. Ale nie dosłyszałem tamtego nazwiska.

- Jak pan myśli, po co Wiśniewski zgrywał się przed nim na Anglika?

- Może chciał mu zaimponować. Szukał kumpla do kielicha, znalazł i robił go w konia.

- Czy ten robiony w konia później tu przychodził?

- Tak, był parę razy. Z dziewczyną. Ładna babka. Nawet bardzo ładna.

Zresztą on potem szukał tego Wiśniewskiego. To znaczy, szukał Stakwita -

uśmiechnął się barman. - Nie wyprowadzałem go z błędu. Nie moja sprawa.

- Panie Władysławie, mam do pana prośbę - rzekł Szczęśny, a na

barmanie znowu ścierpła skóra. - Potrafię docenić, jeżeli pan ją spełni. Niech

pan do mnie zadzwoni, jeżeli ten człowiek znowu tu przyjdzie. Z dziewczyną

czy bez, obojętne. Z kimkolwiek. Albo sam. Jakby nie było mnie pod tym

telefonem - podał mu małą karteczkę - to niech pan temu komuś, kto się

odezwie, powie, żeby mnie natychmiast zawiadomił. Dobrze?

- Dobrze - barman odetchnął z ulgą - że tylko tyle. - Zadzwońię.

*

- Szczęsny, zestawilem sobie pewne daty - rzekł major Polewski. -

Wynika z nich, że nieznana radiostacja, nadająca szyfrem w języku szwedzkim, umilkła od dnia, w którym ty byłeś w Strągowie na cmentarzu. Spłoszyłeś gościa.

- Bardzo mi przykro - odparł kapitan. - Starałem się być niewidoczny, ale widać mi się nie udało.

- Nie szkodzi. Zobaczysz, że prędzej czy później odezwie się w innym miejscu. Co wykazała ekspertyza zdjęć Zenona Wiśniewskiego?

- Że to Zenon Wiśniewski. Rozumiesz?

- Oczywiście. Porównałeś zdjęcia z dowodu osobistego i z kartoteki w Strągowie, wyszło ci, że to ten sam człowiek. Co ci to dało? Albo inaczej: jaki to ma związek z naszą sprawą o kryptonimie „Cywil”?

- Na razie żaden.

- No to porzuć faceta i zajmij się... o co chodzi? - zdziwił się, bo Szczęsny energicznie potrząsnął głową.

- Tadeusz, daj mi jeszcze parę dni. Jeżeli ktoś do mnie zatelefonuje i po tym telefonie przekonam się, że Wiśniewski naprawdę nie pasuje do naszej sprawy, to rzucam go w diabły.

- Może byś przestał być taki tajemniczy? Dlaczego ten gość cię interesuje?

Kapitan milczał przez parę minut. Nie miał wielkiej ochoty na ujawnienie swoich odkryć. Zadumał się, Polewski przyglądał mu się chwilę, a potem rzekł z uśmiechem:

- Ambicja cię zre. Dobrze, zapiszę to na konto naszej dzielnej milicji. I

zaznaczę czerwonym ołówkiem.

- Żebyś wiedział! Gdybym wtedy nie poszedł do komendy na Wilczej...

I Szczęsny opowiedział historię pobitej przez męża, zmaltratowanej żony, która zresztą natychmiast odstąpiła od zeznań.

- Widzisz, popatrzyłem na tego faceta po prostu z milicyjnego nawyku, ot, tylko dlatego, że akurat miałem interes do oficera dyżurnego. I nagle, kiedy spojrzeliśmy na siebie, odniosłem wrażenie, że ja go już gdzieś widziałem.

Naturalnie nie byłoby w tym nic dziwnego, stykam się z mnóstwem ludzi, a pamięć wzrokowa jeszcze mnie: nie zawiodła. Ale on się urodził w Strągowie, a ja od pewnego czasu jestem na to miasteczko uczulony. Więc spytałem Bielaka o jego nazwisko. Wiem z całą pewnością, to znaczy wtedy wiedziałem, że nie znam żadnego Wiśniewskiego ze Strągowa. Wobec tego pomyślałem sobie, że coś i mi tu nie gra.

- Jeżeli dobrze cię rozumiem, zapamiętałeś go pod innym nazwiskiem?

- Właśnie. Ale tego nazwiska i okoliczności poznania w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć. Dopiero kiedy dwa dni temu wieczorem wszedłem do baru „Sandwich”, raptem przypomniało mi się, że właśnie tutaj widziałem tego człowieka. Przypomniało mi się nawet dość dokładnie. Siedziałem wówczas przy ladzie barowej, a on z jakimś drugim dwa stołki dalej. Słyszałem ich rozmowę. I pamiętam, że ten krępy, siwa wy mężczyzna przedstawił się swemu przygodnemu towarzyszowi jako obywatel brytyjski, z pochodzenia Polak.

- Dlaczego zapamiętałeś tych dwóch ludzi?. Czy w ich rozmowie było coś

szczególnego?

Szczęśny wzruszył ramionami. Chciał to wyjaśnić, wytłumaczyć jakoś, ale nie potrafił. W końcu rzekł:

- Nie. Nic specjalnego. Tylko że ja po prostu, chcę tego czy nie, zwracam uwagę na wszystko, co się dokoła mnie dzieje. Taki już jest nasz cholerski zawód. Powiem ci, Tadeusz, że gdyby nie ten milicyjny nawyk, nie wykrylibyśmy ani połowy spraw. Patrzyć, słuchać, pamiętać i wyciągać wnioski - cztery kanony służby. Kto tego nie potrafi, nigdy nie będzie dobrym oficerem śledczym.

- Z nami jest podobnie - odparł major. - Z tym że musimy być o wiele ostrożniejsi. I więcej pamiętać. No i co z tym Wiśniewskim?

- Dowiedziałem się, mniejsza z tym od kogo, że Wiśniewski, który wówczas w barze przedstawił się nazwiskiem: Włodzimierz Stakwit, znał Wilczaka.

- Jana Wilczaka? - ożywił się Polewski. - I dopiero teraz to mówisz?

Opowiadaj dokładnie.

Kiedy Szczęśny skończył, major popatrzył na niego i powiedział:

- Powinienem dać ci po łbie. Taką informację schować dla siebie!

- Nie dla siebie. Za parę dni powiedziałbym ci więcej. Wydaje mi się, że w równym stopniu jak Wiśniewski powinien nas zainteresować ten drugi człowiek. Kim jest? Dlaczego facet w jakiś sposób maczający palce w robocie szpiegowskiej udaje przed nim obcokrajowca? W jakim celu?

- Masz rację. Ale nie możemy liczyć tylko na telefon barmana. Podaj mi adres i personalia Wiśniewskiego. Weźmiemy go pod naszą obserwację. Być

może, spotyka on się z tym nieznanym człowiekiem. Zobaczymy, kim jest i co się za tym kryje.

*

Jednakże wcześniej niż wywiadowcy cośkolwiek ustalili, odezwał się barman z „Sandwicha”. Szczęsny właśnie mył zęby w łazience, kiedy zadzwonił telefon. Było kilka minut po północy. Ubrał się spiesznie, na dworze bielił się wczesny śnieg, więc narzucił futrzaną kurtkę i wyskoczył z domu. Barman obiecał, że nie wypuści gościa, zanim kapitan się nie zjawi, mogło mu się to jednak nie udać.

Oddał okrycie w szatni, przyczesał jasne, prawie białe włosy i wszedł na salę. Wolno, jakby od niechcienia, zbliżył się do lady, przysiadł na wolnym stolku.

- Co dla pana? - spytał barman, nie patrząc na niego.

- Mały budafok. I orzeszki.

- Służę panu.

Krótki, nieznaczny ruch głowy barmana w prawo, przelotne spojrzenie w tamtą stronę. I już stawał przed Szczęsnym kieliszek, wypełniony do połowy złocistym koniakiem. Obok, na talerzyku, orzeszki w soli.

Kapitan ujął w dłonie kieliszek i ogrzewał goj lekko, przesuwając wzrokiem po półkach, na których połyskiwały inne szlachetne trunki. Potem ja przeniósł spojrzenie na sąsiadów po lewej, następnie po prawej stronie.

Siedział tam młody mężczyzna o ciemnych włosach i twarzy przybladłej, jakby wymiętej czy zmęczonej. Oczy miał już zamglone, na ustach głupkowaty, pijacki uśmiech. Dostrzegł spojrzenie oficera, na chwilę zdziwił się, próbował

przypomnieć sobie, czy zna tę twarz, zmarszczył brwi. Nagle Szczęsny powziął postanowienie. Uśmiechnął się szeroko i skinął mu głową. Tamten odklonił się niepewnie. Kapitan nie ruszał się z miejsca. Wiedział, jak podpity człowiek zareaguje, zwykle tak bywało. Nie pomylił się.

- Przepraszam - powiedział tamten, przesuwając się o jeden stół bliżej. -

Ja pana skądś znam. Pan wybaczy, ale nie mogę sobie... może się napijemy?

- Panie Władziu, dwa koniaki! - zadysponował Szczęsny. Znowu uśmiechnął się do nieznanego. - Znamy się, oczywiście, tylko pan zapomniał.

Byliśmy przecież razem w delegacji.

- Aaa... W Szczecinie? We wrześniu?

- No, pewnie. Mieszkaliśmy w jednym hotelu.

- Jasne! Pamiętam. W „Arkonie”. Pan pracuje w tym... no, w tym przedsiębiorstwie budowlanym... kombinat, czy jakoś?

- KBP-Wschód. Inżynier Nowacki. Przypomniał pan sobie?

- Jasne! - powtórzył tamten. - A ja Czepiński. Też inżynier, tylko nie budowlany.

- Pamiętam, mówił pan, że elektronik.

- Nieee! - roześmiał się Czepiński. - Inżynier mechanik! Całe życie mechanik. Z elektroniką, panie...

- Jerzy.

- Panie Jurku... a ja Bronek. Z elektroniką, panie Jerzy, mają do czynienia moi... ci, no... koledzy. W Instytucie. A ja nie. Ja mechanik. Napijemy się?

- Jeszcze dwa koniaki, panie Władziu.

- Służę panom.

- Ja wszystko płacę, panie Jureczku.

- Nie ma mowy, panie Bronku. Za odnowienie naszej miłej znajomości! -

Szczęśny uniósł w górę kieliszek.

- Za... tego, za odnowienie. Ale ja płacę. Ja mam forszę, człowieku! Jola nie przyszła, sam siedzę w domu i myślę, co by tu... no i przyszedłem, a tu akurat trafia się znajomy. Świetna historia! No, nie?

- Rzeczywiście - przytaknął Szczęśny szczerze.

- Panie Władziu, dwa koniaki! - zawołał Czepiński. - Ja płacę. Co to jutro? Niedziela?

- Wtorek.

- Wtorek? To, psia krew, gorzej. Muszę rano: wstać.

- Na którą pan idzie do fabryki?

- Ja w żadnej fabryce nie pracuję - obraził się nagle tamten. - Ja jestem w Instytucie. Ty nie masz pojęcia, jaka u nas... - rozrzewnił się, pociągnął nosem. - Jak się masz, Jurek?

- Świetnie - odparł Szczęśny. - A ty?

- Pierwszorządnie. Chyba muszę już iść, bo jutro czwartek. Myślałem, że niedziela... Ile płacę?

- Zostaw, ja zapłacę - wtrącił kapitan i przestraszył się, że mu nie starczy pieniędzy. Bóg wie, ile facet wcześniej wypił.

- Odejdź, ja mam bardzo dużo forsy - mamrotał Czepiński, mocując się z portfelem, który utknął głęboko w kieszeni. - Ja płacę. Wszystko! - machnął ręką, strącił z lady kieliszek. - To też płacę. Mogę wszystko... Dają, to biorę. Głupi nie bierze, mądry bierze.

Rzucił pieniądze na ladę. Barman pod czujnym okiem Szczęsnego

odliczył należność i podał Czepińskiemu resztę, ale tamten pańskim gestem

odsunął w jego stronę zwitek banknotów.

- Odprowadzić cię? - spytał kapitan. Miałby już adres z głowy. - Wezmę taksówkę, chciałbym jakoś ci się zrewanżować za koniak.

- Weź taksówkę - zgodził się inżynier. - Budowlany jesteś, ale porządny chłop. Nogi mam jakieś takie miękkie - zdziwił się, opierając o ścianę.

W taksówce Czepiński natychmiast zasnął i trzeba nim było długo

potrzasać, zanim wystękał, gdzie mieszka. Kapitan zaopiekował się pijakiem jak

niańka, doprowadził aż pod drzwi mieszkania, sprawdził na liście lokatorów,

czy przypadkiem nie omyłka, a kiedy inżynier wtoczył się do swego lokalu,

oficer zanotował w pamięci nazwisko, adres i miejsce pracy człowieka, którego

poszukiwał od paru dni.

Wrócił do domu i natychmiast zadzwonił do Polewskiego. Major odezwał

się zaspanym głosem. Dochodziła trzecia nad ranem, ale Szczęsny nie zważał na

pory dnia czy nocy.

- Tadeusz? - spytał rażno. - Mam go.

- Kogo? - Polewski próbował rozbudzić się na dobre.

- Szukałem go. Pamiętasz?

- Tak, rozumiem. Dostałeś telefon.

- Moja hipoteza się potwierdza.

- Pierwsze słyszę, że miałeś jakąś hipotezę?

- Jutro rano posprawdzam jeszcze to i owo, a potem zjawię się u ciebie.

Myślę, że teraz sprawa ruszy naprzód. Dobranoc!

Rozdział 6

Pułkownik Czerniak zamknął teczkę, zanotował parę zdań i rzekł do

Polewskiego, który od kwadransa czekał cierpliwie, aż szef sobie o nim przypomni:

- W porządku. Poproś go teraz.

Major wyszedł z gabinetu, a po chwili wrócił wraz z młodym mężczyzną w luźnym, szarym swetrze i granatowych spodniach. Przybysz miał pociągłą twarz, oczy jasne, bystre, włosy wbrew modzie krótko ostrzyżone. Zatrzymał się kilka kroków od biurka i zaczął:

- Towarzyszu pułkowniku, porucznik... - ale Czerniak przerwał mu

ruchem ręki, przywitał i wskazał krzesło. Sekretarka wniosła trzy kawy, podała cukier.

- Więc tak - pułkownik podsunął tamtym papierosy, sam sięgnął po fajkę.

- Poprosiliśmy was tutaj, poruczniku Korczyk, trochę wbrew za sdom gry, ale pora jest późna, na dworze ohydna pogoda, sądzę więc, że wszystko w porządku

- i uśmiechnął się.

- Nie jestem obserwowany - odparł Witold Korczyk. - Wiedziałbym coś o tym.

- Nie zawsze się wie - zauważył Polewski. - Lepiej nie być za pewnym.

- Słusznie - zgodził się Czerniak. - A sprawa jest następująca.

Dowiedzieliśmy się, że z waszego Instytutu przeciekają pewne informacje do osób niepowołanych i tym kanałem idą dalej, to znaczy za granicę.

- Niewiele mi to mówi, proszę o konkrety. - Korczyk zmarszczył brwi,

twarz mu spochmurniała. - O jakie wydziały chodzi? Czego dotyczą informacje?

- Niestety, spraw tajnych. Ogólnie rzecz biorąc prac nad modernizacją systemu zamiennego w stacjach radioliniowych. To przecież wasza branża, tak?
- Owszem, ale sam kierunek prac niczego w istocie nie ujawnia. Nawet fachowiec niewiele z tego skorzysta, jeśli nie zdoła poznać pewnych szczegółów konstrukcyjnych i technologicznych.
- Właśnie w tym rzecz, że już przeciekły niektóre informacje szczegółowe
- podchwycił Czerniak. - Dlatego wezwałem was, abyśmy wspólnie zastanowili się, co w tym przypadku należy zrobić.

Korczyk zbierał myśli, wyraźnie poruszony. Milczał parę minut, a potem powiedział:

- Bez ustalenia charakteru i zakresu tych informacji do niczego nie dojdziemy. Poproszę, jeśli oczywiście można, o bliższe dane. Pozwolę sobie przy okazji przypomnieć, że jeszcze przed rozpoczęciem prac uzgodniliśmy kilka posunięć maskujących z myślą o głębszym zachowaniu tajemnicy w samym Instytucie i na jego stykach z zakładami kooperującymi.
- Pamiętajmy o tym, poruczniku Korczyk - podkreślił Polewski. - I tu tkwi klucz do dalszej gry. Musimy tak pokierować biegiem sprawy, aby odwrócić uwagę przeciwnika od tego, co rzeczywiście stanowi tajemnicę. A oto treść informacji, które już przeciekły - pułkownik zerknął na kartkę i zaczął czytać: - Wydział mechaniczny. Schemat bloków regulujących urządzenia zamiennego. Dalej opis obudowy, wsporników amortyzujących, złącz awaryjnych...
- Niemożliwe! - wykrzyknął Korczyk, wstając nagle z krzesła. - Tego nie oczekiwałem! - Chciał jeszcze coś dodać, lecz Czerniak przerwał mu ruchem dłoni.

- Nie skończyłem. Mam tu jeszcze dwie informacje. Wykres temperatur płyt żaroodpornych i charakterystykę obwodów drukowanych z podziałem na jakieś grupy. Czy to wam coś mówi? - zwrócił się do porucznika.

Korczyk zastanowił się przez moment, wpatrując się w podaną mu kartkę.

- To nie są ściśle dane - powiedział z namysłem. - Od razu widać sporo błędów. Przypuszczam, że sprawca ujawnienia tych informacji albo nie zna dokładnie przedmiotu badań, albo w pośpiechu coś poplątał. Uderza mnie jeszcze jeden szczegół: elementy rzeczywiście tajne zostały tu pomieszane z wiadomościami nie stanowiącymi w gruncie rzeczy żadnej rewelacji. Natomiast dane o blokach regulujących są całkowitą fikcją, którą puściłem w obieg zgodnie z naszymi ustaleniami.

- Czyli w tym punkcie ryba połknęła haczyk - zauważył pułkownik. - To dobrze, powiedziałbym nawet bardzo dobrze. Trzeba wykorzystać to ogniwo i nadal stwarzać pozory, że ten kierunek prac ma kluczowe znaczenie.

Oczywiście w porozumieniu z kierownictwem Instytutu, czym my się już zajmujemy. A teraz pytanie konkretne: kto to może być?

Inżynier westchnął ciężko. To, co usłyszał, mimo wszystko brzmiało zbyt niepokojąco. Do tej pory Instytut był absolutnie niedostępny dla obcych, nie przenikała stamtąd najmniejsza informacja - nic. A teraz okazuje się, że z kilku wydziałów...

- Nie wiem - odparł cicho. - Naprawdę nie wiem!

- Musicie tym się zająć - powiedział pułkownik. - Nikt z personelu nie orientuje się, jaka jest naprawdę wasza rola w Instytucie. Macie więc ułatwione zadanie, choć wiem, że jednocześnie jest ono bardzo trudne. Czy przyjęliście

ostatnio kogoś nowego?

- Nie. Chyba od roku nikogo. Etaty są zajęte. Wszystkie.

- Posłuchaj, Witek - Polewski uznał, że czas powiedzieć teraz więcej. -

Znasz takiego inżyniera, który się nazywa Bronisław Czepiński? Korczyk spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Bronka? Oczywiście, pracujemy często razem. Niby dobry kumpel, ale trochę niepoważny. Czemu pytasz?

- Koło niego kręcił się niedawno, a może jeszcze kręci, facet o nazwisku Wiśniewski. Jest on w jakiś sposób powiązany ze sprawą, którą prowadzę. Nie mam jeszcze żadnych bliższych informacji na ten temat. Tym niemniej skojarzyliśmy sobie z pułkownikiem dwie rzeczy: kontakt Czepińskiego z tamtym człowiekiem i przecieki, z Instytutu. Rozumiesz?

Korczyk nisko pochylił głowę.

- Tak - odparł. - I... być może... masz rację. Czepiński pracuje w wydziale mechanicznym, przy urządzeniu zamiennym. Ma zresztą możliwość poruszania się wszędzie, jest zastępcą kierownika wydziału. Wyjeżdżał do Zakładów Bytomskich. A wreszcie od pewnego czasu ma sporo pieniędzy. Przedtem miał długi. Popłacił wszystkie. Bawi się, kupuje... Ciężko mi o tym mówić, ale; niejedno wskazywałoby na niego. Oczywiście, to są tylko poszlaki.

- Od tygodnia Wiśniewski jest pod naszą obserwacją, ale jak dotąd nie kontaktował się z Czepińskim.

- Myślałem o tym, żeby podesłać kogoś z naszych do Instytutu, aby wam pomógł - rzekł Czerniak. - Mogłoby to jednak podpaść. Zwłaszcza jeżeli, jak mówicie, etaty są obsadzone i od roku nikogo nie przyjęliście. Jak sądzisz,

Korczyk, dasz sobie radę sam?

- Zrobię, co tylko będę mógł w tych warunkach.

- Lepiej, abyście go ustrzegli od najgorszego. - Pułkownik patrzył teraz surowym wzrokiem na siedzącego przed nim młodego człowieka. - Nawet jeżeli posiedzi, zrehabilituje się potem, o ile zachował jeszcze jakieś resztki sumienia.

A pamiętajcie, że nierzadko szpieg ginie z ręki swych „pracodawców”, bo czasami staje się dla nich z jakichś względów niewygodny. Mieliśmy niedawno taki przypadek.

- A może porozmawiać z Czepińskim otwarcie? Tutaj? - spróbował

Korczyk, patrząc to na pułkownika, to na Polewskiego.

- I co mu powiemy? Przecież nie mamy żadnych dowodów winy.

Spotkanie w barze z Wiśniewskim mogło być zwykłą, pijacką, przygodną znajomością. Gdybym miał już pewność, że Wiśniewski jest agentem obcego wywiadu, to co innego. Ale i tej pewności nie ma. Są tylko poszlaki.

- Dlatego, poruczniku, zwróciliśmy się do was o przejęcie tego zadania.

Nie wiem w tej chwili, co wam poradzić. Nie znam Czepińskiego. Co to za człowiek?

- Zdolny, dobry fachowiec. To na pewno. Nieco lekkomyślny. Typ emocjonalny. Nerwus jak my wszyscy. Lubiany przez kolegów, dobry kumpel.

- Kobieciarz?

- Robi wrażenie bardzo zakochanego w jednej dziewczynie. Nie znam jej, widziałem ich tylko razem na ulicy. Bardzo ładna. Wydaje mi się, że ona wyciąga z niego pieniądze, bo to się tak jakoś zbiegło: ta znajomość i długi.

- Bywają kobiety bardzo kosztowne. Zwłaszcza młode i ładne. Jak ona się

nazywa?

- Nie wiem. Spróbuję się dowiedzieć. Ma na imię Jola.

- Marian, myślisz o Danucie Kowalewskiej? - zwrócił się major do Czerniaka.

- Znajomej Wilczaka?

- Tak. Mamy jej zdjęcie?

- Nie. Adresu też nie. Poszukiwania przez milicję nie dały rezultatu.

- Racja. Powinniśmy się zająć Czepińskim, ale mam za mało ludzi.

Obstawiliśmy Zygmunta Zalewskiego, trzech pracowników tam się zmienia...

Tutaj Wiśniewski, dwóch ludzi. Na inżyniera już mi nie starczy. Musisz, Witek, pochodzić koło niego. Zobaczymy, może facet puści farbę. I dowiedz się czegoś o tej dziewczynie.

*

Coś się zaczęło psuć. Nie było telefonów od „nich”, Jola nie pokazywała się, pułkownik też przestał się odzywać. Czepiński był zaniepokojony. Co się mogło stać? - myślał, zły, że jednak nie wy dostał od Joli jej adresu. Po sylwestrowym szaleństwie odeszła na drugi dzień po południu, mówiąc, że prawdopodobnie wyjedzie na tydzień, dwa do rodziny. Czekał więc codziennie, że wróci. Dlaczego jednak „oni” milczą? Pewnie zorientowali się, że informacje były bezwartościowe. Albo zostali aresztowani...

Poderwał się z tapczana na dźwięk dzwonka. Pewnie Jola wróciła!

Uśmiechnięty podszedł do drzwi.

- Jesteś nare... - urwał. Na progu stał Witold Korczyk. - Ach, to ty - powiedział z rozczarowaniem.

- Z tego powitania wnoszę, że spodziewałeś się kogoś innego - roześmiał

się kolega. - Czy mogę wejść?

- Proszę, oczywiście. Myślałem, że to Jola. No, nic. Połóż kozuch na krześle, bo wieszak się urwał i nie zdążyłem przybić. Co chcesz, kawy czy coś mocniejszego?

- A co masz?

Czepiński otworzył barek i przyjrzał się jego zawartości. Nie było już tak bogato, jak w poprzednich miesiącach. Wyjął butelkę winiaku i kieliszki.

- Miałem dużo, ale został tylko winiak.

- Dobra, niech będzie. Wstąpiłem, bo nie gadaliśmy ze sobą od dawna, nawet nie złożyliśmy sobie życzeń noworocznych.

- Co ty mówisz? - zdziwił się Czepiński nieszczerze. - No, teraz wypijemy pod ten Nowy Rok.

- Jak przyjdzie twoja dziewczyna, to się ulotnię, nie bój się. A swoją drogą, mógłbyś mnie z nią zapoznać.

- Ona nie chce - rzekł inżynier z zażenowaniem. - To znaczy, nie chodzi o ciebie, ale nie chce w ogóle poznawać moich kolegów. Powiedziała mi kiedyś, że wstydzi się swego braku studiów, wykształcenia...

- To całkiem niemądre. Wybij jej to z głowy. Słuchaj, Bronek, przyszedłem do ciebie właściwie w innej sprawie.

- Jestem ci coś winien? - zaniepokoił się Czepiński.

- Nie, oddałeś przecież. Chcę z tobą pomówić o bardzo trudnej i przykrej sprawie, ale ważnej.

Korczyk dostrzegł, że jego kolega nagle przybladł i zacisnął wargi. Udał,

że tego nie widzi i ciągnął dalej:

- Sprawa przykra, bo dotycząca przestępstwa, a ważna, bo chodzi o nasz Instytut.

- Ktoś kradnie? - spytał Czepiński z ulgą w głosie.

- Można to i tak nazwać. Kradnie i sprzedaje za granicę. Nasze tajne... co ci jest?

- Mnie? Nic. A co ma mi być?

- Jesteś taki blady i spocony. Źle się czujesz?

- Pewnie początki grypy. Czekaaj, zrobię kawę.

Wyszedł do kuchni, aby się uspokoić. Wiedzą? - myślał, stawiając na gazie imbryk z wodą. - Czyżby pułkownik... Obiecał przecież, że nie powie. Co wiedzą? Ile?

Wrócił do pokoju z kawą, dolał Korczykowi winiaku. Usiadł w fotelu i powiedział obojętnym tonem:

- Nie wiem, o czym mówisz. Ktoś kradnie, ale co?

- Po prostu z Instytutu przedostały się za granicę tajne informacje o tym, co robimy.

Czepiński raptem zeszywniał. Spojrzał Korczykowi prosto w twarz i rzekł, cedząc słowa:

- A skąd ty o tym wiesz?

- Bo mnie pytano - odparł Witold bez wahania. Był przygotowany do tej rozmowy, obmyślił wszystkie możliwe jej warianty.

- Kto?

- Milicja czy bezpieczeństwa. Nie przedstawiali mi się. Wezwali, poinformowali

krótko, o co chodzi, i pytali, czy nie wiem, kto u nas może mieć za długi język.

Przez dłuższą chwilę obaj spoglądali na siebie nieprzyjaźnie. Wreszcie

pierwszy Korczyk przerwał milczenie:

- Słuchaj, Bronek. Lubiliśmy się kiedyś, zresztą ja ciebie i teraz lubię, chociaż mnie unikasz. Chciałbym... bardzo cię o to proszę, bądź ze mną szczery!

Jeżeli wiesz cokolwiek, powiedz. Zastanowimy się wspólnie, co dalej zrobić.

- Dlaczego miałbym o tym mówić właśnie z tobą?

- Bo jestem twoim przyjacielem.

- Co to ma do rzeczy, u diabła? Dlaczego przypuszczasz, że ja coś wiem na ten temat? Ja nie gadam, możesz być pewny. Ale nie rozumiem w dalszym ciągu, dlaczego właśnie ciebie milicja wezwała... Przepraszam cię, ale to mi wygląda podejrzanie.

Korczyk uśmiechnął się lekko.

- Gdybym ja był winien - rzekł - to albo bym tu u ciebie nie siedział, tylko zupełnie gdzie indziej, albo nie mówiłbym ci o tym wszystkim.

- No więc? Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, dlaczego właśnie do ciebie się zwrócili? Masz u nich jakieś specjalne względy? - mówiąc to Czapiński patrzył na niego niemal z obrazą, nadęty i zły.

- Zapominasz - odparł Witold spokojnie - że trochę dłużej pracuję i wykonywałem już niejedną pracę dla wojska. Dlatego zwrócili się do mnie.

- No, powiedzmy. - Ton, jakim Czapiński to wygłosił, był obraźliwy. - W każdym razie ja nic na ten temat powiedzieć nie mogę.

- I nie domyślasz się nawet?

- Nie domyślam się. Między nami mówiąc bardzo wątpię, żeby ktoś z

Instytutu był... no, szpiegiem. To po prostu śmieszne. Pamiętaj, że

współpracujemy z różnymi zakładami w całym kraju.

- Wobec tego czy możesz mi, tak zupełnie prywatnie i po przyjacielsku, odpowiedzieć jeszcze na jedno pytanie?

Czepiński wzruszył ramionami.

- Zależy, o co zapytasz.

- Skąd masz pieniądze?

Nastało znowu milczenie. Czepińskiemu drżały ręce, nie mógł podnieść do ust kieliszka i opuścił go raptownie na stół.

- Z kasy Instytutu, każdego pierwszego - odrzekł z ironicznym uśmiechem. - Nie wiedziałeś?

- Bronek, ostatni raz ci proponuję: bądź ze mną szczerzy!

- Czego ty ode mnie chcesz?

- Skąd masz pieniądze? Dobrze wiesz, że nie mam na myśli twojej pensji.

Wzięłeś prace zlecone? Dorabiasz? Człowieku, czy ty nie rozumiesz, że chcę cię ochronić przed... jeżeli jest to jeszcze możliwe - dokończył ciszej. - Bronek, zawsze jest jakieś wyjście! Zaufaj mi.

Czepiński przez chwilę pasował się ze sobą, zaciskając pięści. Raptem zerwał się z miejsca, chwycił Korczyka za ramiona i wychrypiał zduszonym szeptem:

- Ty... ty szpiclu! Ty mnie posądzasz?! Won z mego domu!

Popchnął go tak silnie, że tamten zatoczył się pod ścianę. Był bez broni, zostawił ją w domu. Znał wiele chwytów, nie chciał ich jednak użyć. Sprężył się w sobie, aby nie dać drugi raz się zaskoczyć, ale Czepiński wybiegł do

przedpokoju i szeroko otworzył drzwi na klatkę schodową. Porwał z krzesła kożuch i czapkę gościa, wyrzucił za próg.

- Won! - powtórzył, mierząc Korczyka nienawistnym spojrzeniem. -

Koniec znajomości!

- Dobrze - odparł Witold. - Kiedyś pożalujesz tej chwili.

- Wynoś się!

Zatrzasnął za nim drzwi, wrócił do pokoju. Trzęsącymi się rękami ujął butelkę z winiakiem, przechylił do ust. Pił do dna, nie odrywając flaszki. Potem rzucił się na tapczan.

*

- Źle to rozegrałem - powiedział Korczyk z rezygnacją. - Zupełnie źle.

Nie sądziłem jednak, że on się aż tak uniesie.

Czerniak zastanawiał się przez dłuższą chwilę, gryząc cybuch wystygłej fajki. Był niezadowolony z relacji porucznika, choć musiał przyznać, że zachowanie inżyniera było rzeczywiście zaskakujące.

- Trudno - rzekł wreszcie. - Porozmawiajmy sobie z panem Czepińskim inaczej. Ale to trzeba zrobić szybko, żeby nie pozacierał śladów. Niedobrze się stało, poruczniku! Bardzo nie-; dobrze.

Ujął słuchawkę, połączył się z Polewskim, wydał kilka dyspozycji, po czym zwrócił się znowu do Korczyka:

- Idźcie teraz do siebie. Przywiozą go najdalej za godzinę, jeżeli oczywiście jest w domu. Major z nim porozmawia.

- Czepiński był w domu, ale spał. Oszołomiony alkoholem, potrzebował paru minut, by zorientować się, że ktoś dzwoni do drzwi. Na wpół przytomny

zwłóknął się z pościeli, poczłapał do przedpokoju. Otworzył i popatrzył ze zdziwieniem na dwóch milicjantów w mundurach. - O co chodzi? - burknął, przecierając oczy.

- Inżynier Bronisław Czepiński? - spytał sierżant.

- Tak. Co się stało?

- Proszę się ubrać. Pan pojedzie z nami.

- Dokąd?

- Do komendy.

- Ale o co chodzi?

- Tam się pan dowie. Proszę się ubierać. Weszli do mieszkania, jeden udał się za nim do pokoju. Czepiński, nic nie rozumiejąc, nakładał spodnie, kiedy raptem przypomniała mu się rozmowa z Witoldem. Nasłał na mnie, sukinsyn! - pomyślał ze złością. - Nie daruję!

Zajechali przed budynek komendy. Czepiński wyszedł z wozu, a jeden z funkcjonariuszy ujął go lekko za łokieć, jakby w obawie, że doprowadzany mu ucieknie. Drugi zastukał do ciężkich żelaznych wrót. Kiedy uchyliło się okienko, po-: wiedział parę zdań ściszym głosem.

- Idziemy - rzekł sierżant do inżyniera.

- Przecież zamknięte - burknął niezyczliwie.. Było mu zimno, w głowie szumiało po winiaku, w dodatku zapomniał o jednej skarpetce i w prawą nogę szczypał go mróz.

Brama otworzyła się na tyle, że mogli wejść. Szli potem na drugie czy pierwsze piętro. Czepiński włóknął się po schodach z opuszczoną głową i stracił orientację. Było mu zresztą wszystko jedno, marzył tylko o powrocie do łóżka.

Weszli do jakiegoś pokoju. Stało w nim duże biurko, parę szaf i telewizor, a sądząc po dywanie, mógł to być gabinet któregoś z zastępców komendanta.

Siedziało w nim dwóch nie znanych Czepińskiemu mężczyzn w cywilnych ubraniach.

Na widok jednego z nich sierżant przybrał służbistą postawę i powiedział:

- Obywatelu pułkownika, przywieźliśmy podejrzanego.

- Kogo?! - wykrzyknął inżynier, zwracając się w jego stronę. - Ja jestem o coś podejrzanym?

- W porządku, sierżancie. Dziękuję - odparł podpułkownik Deresz z

Komendy Stołecznej, nie reagując na pytanie. Usiadł z boku w fotelu i przyglądał się bacznie Czepińskiemu, ale nie zabierał już głosu.

- Witam pana, inżynierze - powiedział drugi mężczyzna, bardzo wysoki,

szczupły, o ciemnych, rozwichrzonych włosach. - Przepraszam z góry za taki

sposób zaproszenia do rozmowy. Proszę, niech pan zajmie miejsce i nie ma do

nas żalu. Sprawa, o której chcemy z panem pomówić, jest bardzo pilna, dlatego

musieliśmy uciec się do pomocy służby mundurowej.

- Gdybym wiedział, że milicja ma do mnie jakąś pilną sprawę, sam bym

przyszedł - odrzekł Czepiński, sadowiąc się nie bez przyjemności w wygodnym

fotelu. - Oczywiście, w dzień.

- Jest dopiero sześć minut po godzinie dziewiętnastej - zauważył major

Polewski. - Jeszcze nie noc - uśmiechnął się. - Papierosa?

- Chętnie. Zapomniałem swoich, tak się pańscy milicjanci śpieszyli.

Słucham więc. Co się stało?

- Dowiedzieliśmy się, że od pewnego czasu z Instytutu, w którym pan

pracuje, przedostają się za granicę informacje. Dotyczą one między innymi R-1-AA5 i jeszcze paru innych, bardzo istotnych tematów.

- Wiem - rzekł Czepiński z nagłą wrogością w głosie. - Nie dalej jak kilka godzin temu mówił mi o tym jeden z moich kolegów z Instytutu. Jego przecież też wzywaliście na rozmowę.

Polewski nie zareplikował. Patrzył tylko na mówiącego z uwagą.

- Muszę w tym miejscu wyrazić swoje głębokie zdumienie - ciągnął dalej inżynier. - Najpierw daje mi się do poznania, i to jednoznacznie, z wymienieniem nazwiska, że ten kolega to człowiek bardzo podejrzany, że mam go unikać, a potem z kolei ja się dowiaduję, że do niego macie ogromne zaufanie. Przyznam się panu, że jest to dla mnie rzecz zupełnie niezrozumiała! Mówię oczywiście o Korczyku. Bo że to jest...

- Zaraz - przerwał Polewski z pewnym zdziwieniem - kto panu powiedział, że Witold Korczyk jest osobą podejrzaną?

Czepiński skrzywił się ironicznie.

- Jak to: kto? - mruknął. Rzucił przelotne spojrzenie na Deresza, ale ten zajęty był właśnie jakimiś papierami. Major podchwycił to spojrzenie, zdumiał się jeszcze bardziej i spytał: - Mówił panu o tym ten pułkownik? - Pokazał ręką, żeby nie było nieporozumień.

Deresz uniósł wzrok i brwi.

- Ja? - roześmiał się. - Nigdy dotąd nie miałem przyjemności z panem rozmawiać!

- Wcale nie mówiłem o panu. Mam na myśli tamtego pułkownika.

- Którego? - zapytali równocześnie obaj oficerowie.

Czepiński milczał przez chwilę. Osądził, że dla jakiegoś celu robią go w konia i postanowił stanowczo temu się sprzeciwić.

- Wypraszam sobie! - krzyknął gniewnie. - Idiotyczne kawały czy co?

Doskonale obaj wiecie, o kogo chodzi. Przecież to jest... - urwał. Nie I wiedział, czy ma prawo powiedzieć milicji o pracowniku z kontrwywiadu. Pomyślał jednak, że inaczej z tego nie wybrnie, i dokończył niepewnie: - No, ktoś z waszego... Do ciężkiej cholery, z kontrwywiadu! Ja mam wam to mówić? Chyba sami wiecie.

Polewski patrzył na niego, próbując szybko wyciągnąć wniosek z tego, co usłyszał. Deresz, zaskoczony, miętosił w palcach papierosa.

- Gdzie pan rozmawiał z tym pułkownikiem?! - zapytał w końcu major tak cicho, że ledwie, było go słychać.

- No przecież u mnie w domu! Niechże pan nie udaje. Zaraz, to... milicja, oczywiście, może o tym nie wiedzieć. Zapomniałem, przepraszam. Sądziłem jednak, że wezwaliście mnie w sprawie przecieków z Instytutu, wiedząc o moim kontakcie z pułkownikiem. Przecież to trwa od dłuższego czasu! Robiliście zasadzkę na klatce schodowej. Nic pan o tym nie wie? - zdziwił się szczerze, patrząc na Polewskiego.

- Proszę opowiedzieć wszystko od początku - j8 major odetchnął ciężko, przetarł czoło. - Od początku znajomości z tym... pułkownikiem. Jak on wygląda?

- Średniego wzrostu, barczysty, wiek około czterdziestu ośmiu, może pięćdziesięciu lat. Pali fajkę. Ciemne okulary. Ma... - zaciął się, nie chciał mówić tutaj o Joli.

- Co ma?

- Ciemne włosy. Trochę łysieje, od czoła.

- Pan nie to chciał powiedzieć - wtrącił Deresz. - Więc co ma ten pułkownik?

Czepiński milczał. Wzruszył ramionami.

- Znać go, to sami wiecie, co ma, a czego mu brakuje - rzucił niegrzecznie.

- W jaki sposób pan go poznał?

Trudno, inaczej z tego nie wyleżę - pomyślał Czepiński z rozpaczą i bąknął:

- Przez... tego, no... przez jego bratanicę. Major na moment przymknął oczy, a potem wstał i zaczął przechadzać się po gabinecie. Niemożliwe! - myślał gorączkowo. - On kłamie. To absolutnie wykluczone! Ale skąd zna tyle szczegółów? Ta bratanica. Fajka, wzrost, wiek. Tylko okulary się nie zgadzają.

Twarz... Musi powiedzieć więcej. Musi!

Odwrócił się gwałtownie, siadł przed Czepińskim i, starając się zachować spokój, mówił:

- Niech pan dokładnie opisz wygląd pułkownika. Jakie ma oczy? Nos? Usta? Nazwiska pan oczywiście nie zna?

- Panie - teraz inżynier poczuł niepokój - o co tu chodzi? Przecież... nie, nazwiska nie mówił... niechże pan sprawdzi tam, w kontrwywiadzie, oni na pewno będą wiedzieć! Oczy ma chyba niebieskie, nos taki trochę zakrzywiony, usta... czy ja wiem, normalne. Po co mam go opisywać, jeżeli on na pewno jest gdzieś tam, gdzie urzęduje kontrwywiad, nie mam pojęcia, gdzie to jest, ale pan

przecież może do nich zadzwonić, pan chyba wie?

- A ta bratanica? - wtrącił Deresz. - Jak się nazywa?

Czepiński zasępił się.

- To moja dziewczyna - burknął. - Nie chciałbym jej w to mieszać.

- Jak się nazywa? - głos pułkownika nabrał ostrzejszych tonów. Nie

rozumiał jeszcze sytuacji, widział jednak, że z Polewskim dzieje się coś niedobrego.

- Jola. To znaczy Jolanta Borowczak.

- Gdzie mieszka?

- Nie wiem.

- Bez żartów! To zbyt poważna sprawa.

- Słowo daję, że nie wiem.

- Nie wie pan, gdzie mieszka pańska dziewczyna?!

- Ona nie chciała mi podać adresu. Wiem, że gdzieś u krewnych. Może właśnie u swego stryja, tego pułkownika z kontrwywiadu. Prosiłem wiele razy, ale tłumaczyła mi, że krewni zobowiązali ją do tajemnicy. Ja zdaję sobie sprawę z tego, że to jakoś dziwnie brzmi. Jola przychodziła do mnie i... dałem słowo, że nie będę starał się dowiedzieć, gdzie mieszka. Może gdybym był osiemnastoletnim chłopakiem, to bym ją wyśledził, ale ja nie mam czasu ani ochoty na takie rzeczy. Wystarczyło mi, że przychodzi do mego mieszkania.

- Gdzie pracuje Jolanta Borowczak? Tego też pan nie wie?

- W dzielnicowej radzie narodowej. Zdaje się, że na Ochocie. Nie sprawdzałem.

- Nie telefonował pan do niej nigdy?

- Nie. Ona dzwoniła... czasami. Po co te pytania? Wolno mi wiedzieć o

mojej dziewczynie tyle, ile chcę. Co to obchodzi milicję?

- Jak wygląda pańska dziewczyna?

- Bardzo ładna - powiedział z pewną wyższością.

- No, ale jak? Brunetka, blondynka? Wysoka, niska?

- Średniego wzrostu. Blondynka, długie włosy.

- Dawno pan ją zna?

- Parę miesięcy.

- Gdzie się poznaliście?

- Nad morzem, podczas urlopu. Byłem na wczasach w Łebie.

- Mieszkała w jakimś domu wczasowym?

- Nie. Poznałem ją w kawiarni. Zwyczajnie, jak się podrywa ładną dziewczynę. Nie wie pan, jak to jest? - popatrzał drwiąco na Deresza.

- Wiem. Gdzie mieszkała w Łebie?

- Wynajęła pokój. Prywatnie.

- Niech pan teraz opowie dokładnie, jak doszło do znajomości z jej stryjem. Z tym pułkownikiem - odezwał się Polewski. - Przede wszystkim skąd pan wie, że on pracuje w kontrwywiadzie?

- A czy nie prościej byłoby poprosić go tutaj? - zauważył inżynier. -

Wtedy wszystko od razu się wyjaśni.

- Dobrze, poprosimy go. Ale najpierw proszę opowiedzieć.

Czepiński nie miał najmniejszej ochoty ujawniać przed milicją swoich grzechów. Wystarczyło, że obarczył nimi kogoś z kontrwywiadu. Dobrze pamiętał słowa pułkownika o konieczności dochowania tajemnicy, o tym, że

gdyby cokolwiek wyszło na jaw, wówczas nastąpiłoby oficjalne śledztwo. I więzienie.

- Nic panu nie powiem - odezwał się twardo. - Jestem... zostałem zobowiązany do zachowania tajemnicy. Niech pan się porozumie z kontrwywiadem. Jeżeli oni się zgodzą, wtedy ja wszystko wyjaśnię.

Nastało dłuższe milczenie. Inżynier spoglądał spode łba to na jednego, to na drugiego. Zaciął usta, splótł ręce na kolanach. Nie ma głupich - myślał. - Wypowiadałem się prywatnie i nie będę więcej ryzykował. Widać, że pułkownik nic nie wyklepał, bo oni by coś jednak wiedzieli. Zatrzymać mnie nie zatrzymają, bo nie mają żadnych podstaw. Więc siedź cicho, Bronisławie, ani pary z gęby.

- Ma pan rację - odezwał się Polewski. - Jasne, że najprościej będzie porozumieć się z kontrwywiadem. Ale cała nasza rozmowa potoczyła się w innym kierunku, niż to sobie założyliśmy. Pytałem pana na początku, czy nie wie pan nic na temat tych przecieków z Instytutu. Może pan kogoś posądza? Może pan coś zauważył? Proszę nam pomóc.

Czepiński, trochę zdziwiony nagłą zmianą tonu u majora, odpowiedział po chwili namysłu:

- Szczerze mówiąc, nikogo nie podejrzewam. Chociaż... - Postanowił zrewanżować się Witoldowi, i to zaraz.

- Co: chociaż?

- Nie, może ja się mylę. Nie chcę posądzić niewinnego człowieka.

- Zapewniam pana, że sprawdzimy wszystko dokładnie.

- No, więc - cedził słowa niechętnie, jakby pod przymusem - od pewnego

czasu zauważyłem pewną zmianę w zachowaniu inżyniera Witolda Korczyka, wspominałem już to nazwisko. Właśnie przed nim ostrzegł mnie pułkownik.

- Czego dotyczy ta zmiana?

- No, wie pan, to jest nie bardzo uchwytne, ale... Na przykład Korczyk zostaje teraz dłużej w pracy, jakby chciał być sam w laboratorium. Odbiera tajemnicze telefony... mówiono mi o tym - zastrzegł się spieszenie, chcąc uprzedzić ewentualny zarzut, że przecież nie pracują w jednym wydziale. -

Odsunął się ode mnie, jest szorstki, opryskliwy. Poza tym robi długi. Ode mnie pożyczył już kilka razy i dotąd nie oddał.

- Jaką sumę?

- No, parę tysięcy. Teraz już mu nie pożyczam. Zresztą może dlatego mnie unika, że nie ma z czego oddać. To ludzkie. Zastrzegam się jednak, że to wszystko może nie mieć nic wspólnego z przekazywaniem informacji za granicę. Nie złapałem go za rękę. Nie wiem.

- Wobec tego mam do pana osobistą prośbę. Niech pan będzie czujny w pracy, rozgląda się uważnie dokoła. Jeżeli zauważy pan coś podejrzanego, proszę się porozumieć z pułkownikiem. Tym z kontrwywiadu, z którym ma pan kontakt. Albo - Polewski spojrzał na Deresza, ten skinął głową - z tu obecnym podpułkownikiem Dereszem. Telefonicznie lub osobiście. A o naszej dzisiejszej rozmowie proszę, rzecz jasna, nikomu nie mówić. Teraz odeślemy pana do domu.

- Nie, dziękuję! - zaprotestował Czepiński. - Przejdę się pieszo.

- Odradzam. Zaziębi się pan, to styczeń, a pan jest niekompletnie ubrany.

Widząc wzrok majora na swojej nodze, inżynier poczerwieniał i już nie

protestował. Polewski przekazał go w ręce sierżanta, a kiedy Czepiński wyszedł z gabinetu, ujął słuchawkę telefonu, nakręcił numer.

- Czwarty mówi - rzekł ściszym głosem. - I Zero dwa i zero pięć, zgłoście się... Dobrze. Polecenie: objąć zasięgiem „Bociana”... Natychmiast...; Pilne... Jak oka w głowie. To wszystko.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Deresza, trochę rozweselony:

- Dałem mu kryptonim „Bocian”, bo mi go ja-: koś przypomina. Co o nim myślisz?

- Co to za pułkownik? - odpowiedział Deresz pytaniem.

Polewski ściągnął brwi. Milczał.

- Znasz go?

- Nie wiem - odparł ostrożnie. - Słuchaj, Andrzej, masz paru wolnych chłopaków?

- Znajdzie się. Co mieliby robić?

- Bar „Sandwich”. Czepiński chodził tam ze swoją dziewczyną. Widział ich barman, ma na imię Władysław. Poza tym wszystkie dzielnicowe rady narodowe, chociaż wątpię, żeby ona tam pracowała. No i oczywiście wszystkie Jolanty Borowczak, ile ich jest w Warszawie. Imię może być inne, dziewczyny używają czasem drugiego imienia.

- Załatwione. Masz to z głowy. Kapitan Szczęsny pracuje teraz dla was?

- Tak, przy tej sprawie. Zabójstwo Jana Wilczaka, to się w jakiś sposób łączy. Zresztą nie wiemy... Cholera!

- Zdenerwowałaś się - stwierdził Deresz. - Czy mogę wam jeszcze w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję. Żebym ja miał zdjęcie tej Joli!

- Znajdziemy dziewczynę. Nie takie się znajdowało.

Polewski wyszedł z komendy, odetchnął mroźnym powietrzem i postawił kołnierz płaszcza. Przez cały rok chodził bez nakrycia głowy, żona przepowiadała mu reumatyzm, zatoki i Bóg wie co jeszcze, na co odpowiadał ulegle, że kiedyś tam zacznie nosić czapkę, ale teraz jeszcze nie, bo go włosy grzeją.

Szedł, pogrążony w myślach, a nie były one wesołe. W połowie drogi do domu nagle zawrócił, wsiadł w autobus i po kwadransie dzwonił do drzwi Czerniaka.

- Marian, muszę zaraz z tobą pomówić! - powiedział bez wstępów, kiedy pułkownik mu otworzył.

- Stało się coś? - spytał Czerniak, wyjmując z ust fajkę. Był w pantoflach i starym, domowym swetrze. - Wejdz do mojego pokoju. Żona jest w kuchni z Jolą.

Polewski znieruchomiał, poczuł krótki, bolesny ucisk w skroniach.

- Z kim? - spytał nieswoim głosem.

- Z Jolą, naszą bratanicą. Mówiłem ci przecież o niej. Chciałem nawet wyswatać Szczęsnego... Co się z tobą dzieje?

- Muszę tam wejść - powiedział major na wpeł do siebie i skierował się w stronę kuchni, i w tej samej chwili jednak drzwi otworzyły się, i wybiegła stamtąd prześliczna, maleńka dziewczynka. Miała cztery, może pięć lat.

Roześmiana, zaróżowiona, skoczyła w stronę Czerniaka i zatrzymała się niepewne, widząc kogoś obcego.

- Przywitaj się, Jolu - rzekł pułkownik. - To jest mój kolega, Tadeusz.

Polewski miał tak niemądry wyraz twarzy, że Czerniak zapytał po raz

drugi:

- No, co ci jest? Źle się czujesz?

- Nie - odparł. - Pomyślałem tylko, że..! Ależ ze mnie krety!

Przykląkł obok dziecka i na sekundę przytulił, twarz do ciemnych,

krótkich kędziorków. Mała spoglądała na niego z powagą, widać było jednak, że

podoba jej się takie powitanie ze strony dorosłego człowieka.

- Mój cioteczny brat ożenił się bardzo późno - mówił Czerniak z

uśmiechem - dlatego Jola mogłaby być raczej moją wnuczką, a nie bratanicą.

Nabrałem was wtedy ze Szczęsnym... No, chodźmy do pokoju, miałeś mi

przecież coś powiedzieć. Jolu, biegnij do cioci. Powinnaś zjeść kolację i iść

spać.

Usiedli. Czerniak wyciągnął z biurka reszkę koniaku, nalał po kieliszku.

Potem spojrzał wyczekująco na swego gościa.

- Z czym przyszedłeś?

- Chciałbym cię przeprosić - odparł cicho Polewski.

- Mnie? Za co, u Boga Ojca?

- Że przez chwilę zwątpiłem w twoją uczciwość.

Pułkownik odstawił kieliszek, twarz mu stężała.

- Mów jaśniej! - zażądał. I major powiedział.

Rozdział 7

Kapitan Szczęsny spóźnił się. Zdyszany, mokry od śniegu, który padał już

dwa dni bez przerwy, wbiegł na piętro i, zrzucając w pośpiechu kurtkę, zapytał

sekretarki:

- Już zaczęli?

- Chyba nie, bo major Polewski dopiero co wszedł do gabinetu - odparła. -

Zdąży pan!

Szczęśny uchylił drzwi, zobaczył, że uczestnicy narady jeszcze stoją

pogadując o tym i owym, więc uspokojony wszedł normalnym już krokiem. W

chwilę potem pułkownik Czerniak powiedział:

- No, towarzysze, zaczynamy. - A kiedy usiedli, rozejrzał się po obecnych

i rzekł: - Zdaje się, że jesteśmy w komplecie. Poprosiłem was dzisiaj, bo

musimy przystąpić do zdecydowanych posunięć w sprawie o kryptonimie

„Cywil”. Proszę, towarzysz Polewski zrelacjonuje nam stan faktyczny.

- Zacznę od końca. Inżynier Bronisław Czepiński, na którym skupia się

wiele naszych podejrzeń, jest pod obserwacją od momentu wyjścia z Komendy

Stołecznej MO. Dokładnie było to trzy dni temu, w środę szesnastego stycznia o

godzinie dziewiętnastej czterdzieści. Jak dotąd, nic podejrzanego nie

zauważyliśmy. Żadnych odwiedzin. Po pracy wraca do domu. Koledzy ze

Służby Bezpieczeństwa nie znaleźli w Warszawie Jolanty Borowczak. W

każdym razie osoba o takim imieniu i nazwisku nie jest w stolicy zameldowana.

W żadnej z siedmiu dzielnicowych rad; narodowych nie pracowała i nie pracuje.

Barman z „Sandwicha” określił ją jako bardzo ładną dziewczynę, blondynkę o

długich włosach. To cały rysopis.

- Gów... to znaczy, guzik - wtrącił Szczęśny. - Przerobiłem barmana na

wszystkie boki. On rzeczywiście nic więcej nie wie.

- Myślę, że Szczęśny ma rację. Teraz Strągowo i nasz podopieczny

Zygmunt Zalewski. Mieszka tam, jak wiemy, w domu przy Szkolnej osiem.

Bardzo narwany facet. Myślę, że to on obsługiwał radiostację w grobowcu.

- Dowody? - mruknął Czerniak pytająco.

- Żadnych. Na razie tylko podejrzenia. Przypominam, że obca radiostacja przestała nadawać szyfrem po szwedzku zaraz po tym, jak Szczęsny wystraszył kogoś na cmentarzu.

Zebrani wybuchnęli śmiechem.

- Na ogół bywa odwrotnie - zauważył porucznik Klinga. - Zwłaszcza w nocy. Ja z kolei przypominam, że w grobowcu Zalewskich były aż nadto wyraźne ślady po radiostacji.

- Zenon Wiśniewski - ciągnął dalej major - vel Włodzimierz Stakwit, technik budowlany rodem ze Strągowa, obecnie mieszkaniec Warszawy, zatrudniony w... Szczęsny, gdzie on pracuje?

- W przedsiębiorstwie „Siła” na Woli.

- Więc zatrudniony w tej „Sile”, mieszka na Hożej, ma lat czterdzieści sześć, żonę Marię, bezdzietny. Dlaczego tak się nim zajmuję? Oczywiście, pytanie retoryczne. Wszyscy wiemy już, że Wiśniewski znał Jana Wilczaka, wiemy też, że w knajpie przedstawił się inżynierowi Czepińskiemu jako Stakwit. Z tego może dla nas nic nie wynikać, sądzę jednak, że facet stanowi ogniwo łączące tych dwóch ludzi. Wilczak to już przeszłość, niemniej przeszłość ta nas interesuje. Wiśniewski, jak już stwierdziliśmy, jeździł co pewien czas do Strągowa. I znowu: nie byłoby w tym nic dziwnego, ma tam dalszą rodzinę, ale - i to chcę podkreślić! - widziano go raz czy dwa razy wchodzącego do domu na Szkolnej osiem. Dzięki danym milicji zdołaliśmy

ustalić, że Wiśniewski wydaje dużo więcej niż zarabia. Oto osoby podejrzane:

po pierwsze - Bronisław Czepiński, po drugie - Zenon Wiśniewski, po trzecie -

Zygmunt Zalewski. Są oni ze sobą powiązani i nie waham się użyć tu

określenia: powiązani działalnością szpiegowską. Zacząłem swój spicz od

końca, chyba nie muszę jednak wracać do początku, bo ten wszyscy znamy.

- Co uważasz za początek? - spytał Czerniak.

- Wiadomość o pojawieniu się w Polsce pracownika obcego wywiadu,

który przysłany został nie tylko do normalnej roboty penetracyjnej, ale i do

werbowania do współpracy naszych inżynierów i techników. To był początek.

Sprawie nadaliśmy kryptonim „Cywil”. Tutaj nie mamy właściwie, jak

dotychczas, żadnych bliższych danych. Za drugi etap uważam zabójstwo

Wilczaka. Za trzeci - pracę obcej radiostacji, nadającej po szwedzku. No i

prawie jednocześnie - przecieki informacji z Instytutu. Świadomie pominąłem

śmierć inżyniera Skąpskiego, bo to zostało wyjaśnione i nie wiąże się z naszą

sprawą.

- Wydaje mi się - zaczął ostrożnie Deresz, na swoim terenie bywał

śmielszy - że najistotniejsze będzie dla nas obecnie wyjaśnienie kontaktów

Czepińskiego z Wiśniewskim. Tu może tkwić sedno sprawy.

- Nie wspomniałeś - zwrócił się Czerniak do majora - o bardzo ważnym,

moim zdaniem, szczególe. O osobie tego pseudopułkownika z kontrwywiadu i o

jego bratanicy, o których powiedział Czepiński.

Polewski skrzywił się, wzruszył ramionami.

- Nie wspomniałem, bo myślę, że nas nabrał. Nie wierzę w to. Jakiś

mityczny pułkownik, który przychodzi do niego do domu, ostrzega przed

porucznikiem Korczykiem, urzędują na schodach zasadzki na nie wiadomo kogo... Wybacz, ale to straszliwa lipa.

- Dobrze, ale w takim razie po co Czepiński go wymyślił? W jakim celu?

- Proste. Albo sam informował obcy wywiad o pracach Instytutu, albo wie, kto to robił. W pierwszym przypadku chce być kryty: „jestem związany tajemnicą, dałem słowo, nie mogę nic powiedzieć”. W drugim, ponieważ nie podał nam nazwiska tej osoby, można przypuszczać, że jest z nią powiązany współpracą. Może jeden z nich zdobywał informacje, drugi” nadawał czy przekazywał do „skrzynki”. A może Czepiński dostarczał dane ze swego odcinka pracy, a tamten ze swego. Źle się stało, że Witold wtedy poszedł do niego na rozmowę. Facet się zorientował i zdążył wymyślić bajeczkę.

Korczyk nisko opuścił głowę. Wiedział, że popsuł robotę, chociaż chciał jak najlepiej. Sądził, że w imię dawnej przyjaźni Bronisław będzie z nim szczery. Cóż, nie wyszło.

- Nie zgadzam się z tobą, Tadek - rzekł Deresz. - Byłem przy rozmowie z Czepińskim i jestem przekonany, że on nie kłamał. Odwrotnie: to jego okłamano. Ktoś przedstawił mu się jako pracownik kontrwywiadu. I daj Boże, aby nie wyciągnął z niego przy tej okazji zbyt wielu informacji!

- A „Cywil”? - odezwał się nagle kapitan Szczęsny.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem, a major zapytał:

- Kto? Ten rzekomy pułkownik?!

- Tak.

- Wiesz coś, czy strzelasz w ciemno?

- Nic nie wiem. Czuję to. Może się mylę... Może to mógłby być „Cywil”.

Pasuje mi.

- Zaraz - Czerniak był oszołomiony niezwykłą koncepcją - dlaczego

przyszło ci to do głowy? No, człowieku, na czymś przecież opierasz swoją teorię! Przede wszystkim: w jaki sposób trafił do Czepińskiego? Myślisz, że „Cywil” to Wiśniewski?

- Nie, skądże! - Szczęsny zerwał się z krzesła, oczy płonęły mu jak węgle.

Siadł na biurku i wodził wzrokiem po zebranych. - Popatrzcie, jak to się dziwnie składa! Najpierw Jan Wilczak poznaje jakąś śliczną dziewczynę, Danutę Kowalewską. Nie wiemy, kim ona jest i na czyje konto pracuje, wiemy jednak, że w rezultacie Wilczak podejmuje szpiegowską robotę. Teraz...

- Poczekaj - przerwał Polewski. - Nie mamy żadnych danych na to, że

Wilczak został agentem wywiadu „w rezultacie” znajomości z tą dziewczyną.

- Niech będzie, że nie w rezultacie. Tym niemniej ona kręci się koło

niego. Nie możemy znaleźć, przynajmniej do tej pory, żadnej Danuty

Kowalewskiej... Teraz dalej: Wilczak ginie. Za jakiś czas wyłazi nam nowy

układ: inżynier, który podobnie jak Wilczak pracuje w instytucji, produkującej

dla wojska - i znowu śliczna dziewczyna, tym razem Jolanta Borowczak, znowu

nie istniejąca, w każdym razie nie meldowana w Warszawie, fałszywe dane o

miejscu pracy. Czepiński mówi: „moja dziewczyna”. Ludzie kochani, a cóż to

za babka, która swemu chłopcu nie poda adresu i ukrywa miejsce pracy, której

on w żaden sposób nie może o niczym zawiadomić, nie może do niej

zadzwoić... Nie, bujda! Natrafiła na wyjątkowego frajera. No i nagle zjawia się

u Czepińskiego jej stryj. Pułkownik kontrwywiadu? Dajcie spokój, sam bym nie

wymyślił podobnie sprytnego zagrania... Czepiński musi, absolutnie musi mieć

sporo na sumieniu, jeżeli zdecydował się na takie rozwiązanie. Nie wiem, oczywiście, jak doszło do jego znajomości z tym „pułkownikiem”, sądzą jednak, że dziewczyna z sobie tylko wiadomych przyczyn napuściła na niego agenta.

Dałbym głowę, że Danuta Kowalewska i Jolanta Borowczak to ta sama kobieta.

Pomocnik szpiega. Współpraca z Wilczakiem przestała im odpowiadać i zdecydowali się go sprzątnąć. Potem rozejrzeli się za następnym. Ta sama metoda. Mówicie, że „Cywil” został przysłany do Polski właśnie w takich celach. Zgadza się. Nie wiem, czy są jakieś dane o nim: wiek, rysopis?

- Nie ma żadnych. Może to również być kobieta. W takim wypadku rzekomy pułkownik byłby jej pomocnikiem.

- Czepińskiego trzeba pilnować dzień i noc - rzekł Czerniak. - Żeby go nie sprzątnęli, jak tamtego. Tadek, pasuje ci ta wersja?

- Czy ja wiem... - major był niezdecydowany. - Nie przeczę, że mogłoby tak być. Trochę mnie Szczęsny przekonał. Powiedzmy, na pięćdziesiąt procent.

Nie mam jeszcze odpowiedzi z Łeby. Nasi szukają tam śladów tej Borowczak. Jeżeli rzeczywiście wynajęła prywatny pokój, powinny znaleźć się jakieś bliższe dane. Chyba że mieszkała nie meldowana. Marian, przypominam ci jednak, że Czepiński to łgarz. Nakłamał nam na przykład, że Witold pożyczył od niego pieniądze i nie oddaje, a tymczasem, jak się przekonaliśmy, to on sam przez jakiś czas nie mógł wybrnąć z długów.

- Potem nagle wszystko pospłacał, chociaż nie miał w Instytucie żadnych prac zleconych - dodał Korczyk. - Prawda, mógł je dostać gdzie indziej. Ale w takim razie czemu to ukrywał? Przecież nie ma u nas zakazu chałturzenia, byle własna robota była wykonana na czas.

- Ja bym go zamknął i przycisnął - mruknął Szczęsny. A dojrzwawszy wzrok Polewskiego, dorzucił pośpiesznie: - Wiem, wiem. Ale przynajmniej miałbyś gwarancję, że go nikt nie sprzątnie.

- I moglibyśmy się pożegnać z „Cywilem”, jeszcze zanim się przywitaliśmy. Nie, to nie jest wyjście. Musimy mieć całą siatkę. Sądzę, że tylko długa, dokładna obserwacja tych trzech panów naprowadzi nas na konkretny ślad. Pośpiech może wszystko zepsuć.

*

Pod koniec lutego raptownie ociepliło się. Nad ziemią wisiała gęsta mgła, na drogach zamiast śniegu było błoto i czerniały wielkie kałuże. Ludzie mówili, że w tym roku wiosna przyjdzie dwa razy - na początku marca, potem znów uderzy mróz i wiosna wróci dopiero w maju. Było tak dziesięć lat temu, a podobno co dziesięć lat pogoda się powtarza.

Kuba leżał na stercie desek koło parkanu i niecierpliwie spoglądał w stronę kuchennych drzwi, skąd dochodził smakowity zapach jedzenia. Czekał, że go zawołają, z doświadczenia wiedział, że nie ma po co wpychać swego wielkiego psiego łba w uchylone drzwi i tęsknym wzrokiem wpatrywać się w garnki na piecu. Za to można było oberwać pejcem, jego pan był porywczy.

Wreszcie usłyszał znajomy gwizd. Zsunął się z desek i długimi susami dopadł progu kuchni.

- Jedz! - powiedział pan, stawiając przed nim miskę z żarciem.

Kuba zaczął z zadowoleniem tarmosić mięsny ochłap, przytrzymując go łapą. Zygmunt Zalewski wpatrywał się przez jakiś czas w szarzejącą we mgle ulicę, pustą i cichą. Nagle pies uniósł pysk, sierść mu się zjeżyła na karku.

Zaczął warczeć, odsłaniając białe kły.

- Szukaj, Kuba! - szepnął Zalewski. Przywarł do drzwi i patrzył to na psa, to na ulicę, ale nie dojrzał na niej nikogo. Wierzył jednak bardziej w Kubę niż we własny wzrok.

Pies stał nieruchomo, powarkując gniewnie. Czarny, mokry nos węszył uparcie, widać coś się i Kubie w tej mgle nie podobało. Z ulicy nie do - i chodził hałas ani szmer, z daleka słychać było tylko turkot wozów chłopskich, jadących przez rynek Strągowa. W końcu pies opuścił głowę i zabrał się z powrotem do jedzenia. Zalewski pogłaskał go po gęstej, długiej sierści, wszedł do I kuchni i wyniósł stamtąd jeszcze mleko, które wlał do miski.

Wrócił potem do domu, poprawił ogień pod blachą. Zmył naczynia z obiadu, wypłukał do czysta I miskę Kubie i siadł w pobliżu pieca, grzejąc zziębnięte ręce. Miał reumatyzm, w takie wilgotne, I mgliste dni dłonie i stopy marzły mu, mimo iż w kuchni było ciepło.

Trochę drzemał, trochę słuchał muzyki z tranzystorowego radia. Tak doczekał nocy. Wtedy zaryglował drzwi kuchenne - tamtych nie otwierał I od dawna - założył drewniane okiennice i obszedł cały dom. Uspokojony, że nic się w nim nie zmieniło, przygotował jedzenie, postawił jeszcze na tacy butelkę, w której było trochę koniaku, może na dwa kieliszki. Spojrzał znowu na drzwi i okno, potem wszedł z tacą do pokoju, gdzie sypiał. Postawił ją na stole i odsunął szeroki tapczan, pod którym było ukryte wejście do „podziemnych salonów”, jak je czasem nazywał. Kilka schodków prowadziło do obszernego pomieszczenia, wyposażonego we wszystko, co człowiekowi może być potrzebne, aby egzystował, i to wcale nie najgorzej.

Pokój wysłany był dużym puszystym dywanem, na ścianach wisiały kilimy, zakrywające goły mur. O meblach dało się nawet powiedzieć „wykwintne”, w szafce bibliotecznej stało kilkadziesiąt książek, w rogu telewizor. Powietrze było tu dobre, dostarczały go i wymieniały przewody wentylacyjne, ukryte przemyślnie pod okapem dachu i na stryszku. Elektryczny piecyk sprawiał, że nie odczuwało się chłodu.

Zalewski wszedł z tacą i postawił ją w pobliżu tapczanu. Leżał na nim mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, o silnej, krępej budowie ciała.

Miał oczy niebieskie, nos lekko zakrzywiony, włosy ciemne, łysiejące od czoła.

- Przyniosłem kolację - rzekł Zygmunt.

- Widzę. Koniak się kończy?

- Tak. Kupię jutro.

- Nie trzeba. Na pewno jesteś obserwowany.

- No to co? Czy ja nie mogę mieć ochoty na koniak?

- A zresztą, dobrze. Kup. Byłeś na mieście?

- Rano. Mgła, mało ludzi. Spokój.

- Nic nie zauważyłeś?

- Nie.

Ciemnowłosy zjadł kolację, zapalił i podsunął Zygmuntowi papierosy, a potem rzekł:

- Słuchaj, myślę, że odczekaliśmy dostatecznie długo. Trzeba zabrać się do roboty. Radiostacja w porządku?

- Tak. Mógłbym nadawać choćby zaraz, gdybym miał co.

- Właśnie. Co dziś za dzień?

- Czwartek.

- Pojedziesz jutro do Warszawy. Pamiętasz hasło?

- „Mam dla pana pozdrowienia od Elżuni”. Odzew: „Czy urodziła bliźnięta?” Idiotyczne.

- Nie twoja rzecz. Im głupsze, tym mniej budzi podejrzeń. Nie zapomniałeś numeru telefonu?

- Trzydzieści pięć, dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia siedem.

- Umów się z nim w barze „Zodiak”. Duża sala, tłum ludzi, trzy wyjścia.

Dobre miejsce.

- Co mam powiedzieć?

- Że się muszę z nim widzieć. I to wszystko. Trzeba załatwić kilka spraw, których ty nie możesz. To byłoby ryzykowne.

- Ojej, przesada! - skrzywił się Zalewski. - Byli na cmentarzu dwa miesiące temu? Byli. I nic. Żyję, jak przedtem, nikt mnie o nic nie pytał. Co mogli znaleźć? Trochę łachów i śmieci, nic więcej. Pewnie pomyśleli, że jakiś łazęga zrobił tam sobie legowisko. Grobowiec jest otwarty, każdy może wleźć.

Nie przeceniajmy mądrości paru glin.

- Głupiś! - warknął starszy mężczyzna. Pamiętaj, że zawsze lepiej przecenić przeciwnika niż nie docenić.

- Więc co mam mu powiedzieć? Żeby tu przyjechał?

- Wykluczone! Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy „Treb” ma za sobą ogon. Rozumiesz?

- Czy za nim chodzą, rozumiem. A jeżeli tak? To i ja podpadnę!

- Dlatego pojedziesz do Warszawy nie jako Zygmunt Zalewski.

Powiedzmy... - zamyślił się - jako Roman Wrzosek. Mam taki dowód osobisty, zaraz ci go znajdę, a ty się zajmiesz własnym wyglądem. Musisz dopasować twarz do zdjęcia. Człowiek, którego przedstawia, jest do ciebie podobny, to wystarczy.

- Co to za facet?

- Żaden facet. Już nie istnieje. To zresztą tylko na wypadek, gdybyś zauważył, że coś wisi w powietrzu. Nie uciekaj przed milicją, zwłaszcza tą nie mundurową! Spokojnie odpowiadaj na pytania, bądź uprzejmy, nie denerwuj się. Tylko w ten sposób wygrasz sytuację. Jeżeli zaczniesz się szarpać, to już cię mają.

- Wiem. Już mnie pan dość długo uczył. Jeżeli „Treb” jest czysty, to co ma zrobić?

- Niech gdzieś urządzi spotkanie. Moje z nim. Niech się postara o samochód. Dobry, ale najzwyczajniejszy, najlepiej warszawę. Mógłby podjechać, nocą, gdzieś niedaleko stąd. Hasło: „Czy pan zgubił teczkę?”.

Odzew: „Czarną, bez uchwytu”. Powtórz!

Zalewski powtórzył kilka razy. Potem z zainteresowaniem przyjrzał się fotografii w dowodzie osobistym Romana Wrzoska.

- Muszę zgolić wąsy - rzekł z żalem. - Włosy mam dłuższe, ale zdjęcie mogło być sprzed roku czy dwóch. Skąd wziąć okulary? Powinny być nieoptyczne, ja mam dobry wzrok.

- Masz! - Ciemnowłosy podał mu kilka par. - Wszystkie są nieoptyczne.

Wypróbuj, które pasują, żeby ci się nie zsuwały z nosa. W tym pudełku znajdziesz wszystko, co jest potrzebne do zrobienia twarzy. Łącznie z

brodawkami i złotym zębem. Pojedziesz wczesnym rankiem. Jest mgła, to dobrze. Wyjdiesz włazem z ogrodu, przez parkan, łąkę i lasek. Przejdziesz do następnej stacji i tam wsiądziesz.

- Kubę trzeba zamknąć, bo za mną poleci.

- Zamkniesz go w domu. Dam mu jeść.

- A wie pan - rzekł Zygmunt z zaciekawieniem - wciąż się zastanawiam, skąd pan tak dobrze zna naszą okolicę! Był już pan tu kiedyś?

Starszy mężczyzna przez jakiś czas nie odpowiadał. Wreszcie wysączył resztkę koniaku z kieliszka i odparł:

- Twój stryj wbijał mi do głowy plan domu, miasta i okolic chyba przez kilka tygodni. Nauczyłem się go na pamięć. Idź teraz spać. Zbudzisz mnie o czwartej, jak będziesz gotów. Pokażesz mi się. Masz pieniądze?

- Ze sześćset zetał.

- Weź jeszcze tysiąc. Może ci być potrzebny. No, dobranoc.

*

Polewski rozłożył na biurku dokumenty, kiedy ktoś zapukał do drzwi i wszedł jeden z pracowników Służby Bezpieczeństwa, obserwujący Zenona Wiśniewskiego.

- No, co? - spytał major, odrywając wzrok od papierów.

- Jest w barze „Zodiak”. Rozmawia z nieznanym człowiekiem. Wymienili hasło: „Mam dla pana pozdrowienia od Elżuni” i „Czy urodziła bliźnięta?”

- Kto ich pilnuje?

- Zero sześć. Przed barem stoi nasz wóz, z kierowcą.

- Czekaście! Bar „Zodiak”? Tam jest obok XVII Komisariat Milicji -

Polewski nacisnął jeden z guzików radiostacji, rozbrzmiało czerwone światło. - Czwarty mówi. Dajcie mi zastępcę komendanta do spraw bezpieczeństwa w Śródmieściu... Dzień dobry, towarzyszu majorze... Poznajecie po głosie? To dobrze. Mam taką prośbę. W „Zodiaku” jest nasz podopieczny z nieznanym mężczyzną. Pracownik wskaże... Tak. Chodzi mi o to, aby pod jakimś pretekstem wylegitymować tego nieznanego... Nie, drugiego nie! Absolutnie nie. Tylko tego, którego moi pokażą... Oczywiście, nie w barze, ale dopiero jak się rozstaną z podopiecznym. I nie od razu, aby ten pierwszy nie zauważył... Tak. Tylko wylegitymować, niech to chwilę trwa, aby mój pracownik zdążył zrobić to, co trzeba... Naturalnie, muszą być milicjanci mundurowi, bo inaczej się nie rozpoznają z naszymi... Dajcie mi znać, w jakim stopniu będzie patrol, bo może się zdarzyć, że akurat nawinie się załoga innego radiowozu... Tak, czekam. - Major spojrział na zegarek, ściągnął brwi. Bał się, że Wiśniewski opuści bar. - Słucham? Starszy sierżant i plutonowy... Jedź tam! - zwrócił się do wywiadowcy, który znikł z pokoju jak wymieciony. - Nie, to nie do was, majorze. Dziękuję za pomoc.

W kwadrans później Wiśniewski i „Roman Wrzosek” wyszli z baru „Zodiak”, pożegnali się i rozeszli, każdy w inną stronę. „Wrzosek” postąpił kilka minut przed rotundą PKO, jakby namyślał się, dokąd pójść, w rzeczywistości zaś nieznacznie obserwował teren. Okrążył rotundę, zszedł schodami do podziemnego przejścia i wynurzył się po drugiej stronie, przy placu Defilad. Zmierzał w kierunku Dworca Śródmieście, nagle jednak przypomniało mu się, że miał kupić koniak. W Warszawie było to o wiele mniej ryzykowne niż w Strągowie. Zawrócił, zrobił dwa kroki na jezdni i cofnął się, aby dojść do

skrzyżowania. W tym momencie wyrósł przed nim plutonowy MO.

- Dzień dobry - przyłożył dwa palce do daszka - pan nie wie, że tutaj nie ma przejściami

- Przepraszam - odparł Zygmunt Zalewski z tak wielką - pokorą, na jaką tylko było go stać. - I Ale przecież cofnąłem się.

- Proszę pana, wystarczy jeden nieostrożny krok i już może być za późno na wszelkie cofanie się. Czy pan nie widzi, jaki tutaj wielki ruch? Dlaczego pan ryzykuje życiem?

- Moje własne, to mogę - rzekł Zalewski, poirytowany.

- O, nie! - zareplikował podoficer. - Pan ryzykuje również życie innych przechodniów. Czy pan nie zdaje sobie sprawy, że kiedy stawia pan krok na jezdni, tym samym zmusza pan kierowców do gwałtownego hamowania? A gwałtowne hamowanie to ryzyko poślizgu i uderzenia w przechodniów, którzy zatrzymali się na brzegu chodnika. Mógł pan spowodować katastrofę! Starszy sierżant, który od paru chwil w pewnym oddaleniu słuchał ich rozmowy, teraz podszedł bliżej. Wyraz twarzy miał zdecydowany.

- Pan pozwoli dowód osobisty - zażądał.

- Proszę bardzo - Zalewski podał dowód, przeklinając w duchu nieszczęsne dwa kroki po jezdni.

- Jak pan się nazywa?

- Tam jest przecież napisane. - Starął się mówić uprzejmie.

- Ale ja pana pytam!

- Wrzosek Roman.

- Kiedy urodzony?

- Czternastego lipca czterdziestego roku, w Przemyślu.

- Proszę - podoficer oddał mu dowód. - Pan zapłaci mandat, pięćdziesiąt złotych. Gdzie pan mieszka?

- W Skarżysku.

- Gdyby pan był miejscowy, zapłaciłby pan setkę. Na prowincji mniejszy ruch, to pan nie przyzwyczajony. Proszę! - podał mandat, zabierając w zamian banknot.

- I niech pan drugi raz nie ryzykuje! - ostrzegł plutonowy. - Do widzenia.

- Do widzenia - mruknął Zalewski, odchodząc do skrzyżowania. Był rad, że na tym się skończyło. Ale cholerskie gliny w tej Warszawie! - myślał. - Dwa kroki i już mandat. Szlag by ich trafił.

- No, a gdyby nie wlaź na jezdnię? - spytał komendant komisariatu. - Co byście wtedy zrobili?

- Coś by się wymyśliło - odparł starszy sierżant. - Ale on się sam podłożył.

Po godzinie wywiadowca „zero sześć” położył przed majorem Polewskim odbitki zdjęć Zygmunta Zalewskiego vel Romana Wrzoska. Major długo porównywał je z innymi, które mieli w kartotece, ale żadne mu nie pasowało. W końcu wybrał osiem najbardziej podobnych twarzy, dołączył krótki list i przesłał do Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO.

Opinię otrzymał szybko. Oficer z wydziału dokumentacji dokonał fotografii porównawczej. Przy pomocy specjalnej aparatury stwierdził, iż pod zmarszczkami, szminką, fałdami na skórze i innymi rekwizytami podobizna Romana Wrzoska przedstawia bez wątpienia twarz Zygmunta Zalewskiego.

Dokonano również pomiarów czaszki - na tyle, na ile umożliwiały to fotografie, robione przecież z ukrycia - a także porównano kształt uszu, dłoni i zarysu całej sylwetki.

Polewski przebiegł oczami pismo i zaklął. Pracownicy, którym przypadło w udziale obserwowanie Zalewskiego w Strągowie, dali się zwieść przebraniu.

Albo, co gorsze, stracili go z oczu.

- Patrz! - podsunął opinię Szczęsnemu, który, siedział u niego w gabinecie. - Wyjechał ze Strągowa, a ja nie otrzymałem takiego meldunku.

Psiakrew, ładnie pilnują!

- Świetnie! - przyznał Szczęsny, choć co innego miał na myśli. - Oto potwierdzenie, iż obaj należą do jednej siatki.

- Jakiej siatki? - Major ochłonął i zastanowił się. - Ach, no tak.

Rzeczywiście, to niejedno wyjaśnia. Słuchaj, chciałbym, żebyś tam pojechał.

- Do Strągowa?

- Tak. Znasz komendanta, twoja wizyta nie wzbudzi żadnych podejrzeń.

Zresztą, wymyślisz jakiś pretekst.

- Dla kogo? Kazika jestem pewny.

- Dla reszty. Nie rozumiesz? Ja wiem, że to są funkcjonariusze MO, ale zbyt częste wizyty kogoś z Warszawy mogą wywołać niepotrzebne komentarze.

Takie rzeczy się roznoszą. Dam ci hasło do moich pracowników. Pogadasz, powiesz, że podopieczny ulotnił im się na cały dzień. A może i na dłużej.

Poczekaj... - połączył się z kimś radiostacją, rozmawiał chwilę. - W porządku.

Zalewski przed paru minutami wsiadł do pociągu, jedzie do Strągowa. Ma za sobą nasz „ogon”, ale tylko do stacji docelowej. Musimy być ostrożni, żeby go

nie spłoszyć.

- Daj mi hasło i wóz. Będę przed nim. Do Strągowa wloką się tylko osobowe, przegonię pociąg.

- Jak rozwalisz służbowy wóz, będziesz płacił za naprawę.

- Jak ja rozwalę, to już nie będzie co naprawiać, ze mną łącznie. Nie bój się, przytargam ci to pudło z powrotem. Daj tylko zdjęcie „Romana Wrzoska”.

*

Pociąg spóźnił się o czterdzieści minut. Zalewski wysiadł zmarznięty, trochę głodny i bardzo śpiący. Znowu nad miastem wisiała ciężka, gęsta mgła.

Człapał po zabłoconej jezdni, kiedy wymacały go świetliste ręce reflektorów jakiegoś samochodu, a po chwili wóz gwałtownie zahamował tuż przy nim.

Pamiętając warszawski mandat, odskoczył na chodnik. Znowu gliny? - pomyślał ze złością. - Tu, w tej dziurze?

Kierowca wychylił się w jego stronę, uśmiechnięty przyjaźnie. Miał szczupłą, śniadą twarz i jasne, niemal białe włosy.

- Przepraszam pana - rzekł - jak dojadę do rynku?

- Prosto, potem pierwszą w lewo i zobaczy pan rynek.

- Taka mgła, że nic nie widać. Prosto i w lewo?

- Tak.

- Dziękuję. Do widzenia! Wóz ruszył ostrożnie. Zalewski przyjrzał się tabliczce rejestracyjnej. Z Koszalina? - zdziwił się. Pewnie do fabryki - pomyślał, człapiąc dalej, ale już po chodniku. Czerwone światelka znikły we mgle, roztopił się w niej szum samochodu.

On - rzekł do siebie kapitan Szczęsny, skręcając w rynek. - Dobrze, że

zmieniłem numer rejestracyjny, bo przyglądał się tabliczce, jak odjeżdżałem.

Zalewski wrócił do domu tym samym podziemnym przejściem, którym rano przedostał się na łąkę. Załomotał we właz. Kuba odpowiedział wściekłym warczeniem, zaraz jednak warkot zmienił się w radosny pisk. Niepotrzebne było nawet umowne hasło, człowiek o zakrzywionym nosie wiedział już, że to swój.

Zygmunt przebrał się, zmył z twarzy szminkę i zasiadł do kolacji.

Dopiero potem powiedział o spotkaniu z „Trebem”. W relacji z Warszawy pominął sprawę mandatu, gdyż nie miała ona żadnego znaczenia, tego był pewien. O samochodzie z Koszalina zapomniał.

*

Na Jolanę Czepiński natknął się w drzwiach kawiarni „Amatorska”.

Wychodziła z pośpiechem i w pierwszej chwili spojrzała na niego jak na kogoś obcego.

- Jola! - wykrzyknął z radością. Chwycił ją za rękę, wciągnął z powrotem do lokalu. - Dziewczyno, co się z tobą działo? Szukałem cię po całym mieście.

Jak mogłaś... - zawiesił głos, gdyż w twarzy jej dostrzegł dziwny, odpychający wyraz. Oswobodziła dłonie i odparła obojętnie:

- Nie mogłam. Byłam chora, potem wyjeżdżałam. Zresztą u mnie sporo się zmieniło.

- Co się zmieniło?

- Nie możemy więcej się spotykać.

- Dlaczego? Co się stało?

- Zostaw mnie. Nie mogę ci powiedzieć.

- Ciągle tylko „nie możesz”! O co chodzi? Zrobiłem ci jakąś przykrość?

Zachowałem się nie tak, jak trzeba? No, powiedz!

Potrząsnęła przecząco głową. Dojrzał, że zmizerniała, pod oczami miała głębokie cienie. Wzruszyło go to, poczuł się w jakimś stopniu za nią odpowiedzialny.

- Dziecino, co ty przede mną ukrywasz? - spytał serdecznie, znowu ujął jej rękę i przytrzymał. - Czy to... - rozejrzał się, zniżył głos do szeptu - czy to chodzi o twego stryja? On cii zabronił?

- Nie.

- No, więc? Musisz powiedzieć, inaczej cię nie puszcę. Albo chodź, pójdziemy do mnie. Tak dawno przecież nie byłaś.

- Odsuń się. Zostaw mnie, słyszysz?

Upór dziewczyny rozdrażnił go, tym bardziej chciał ją znowu mieć u siebie, w domu. Przyciągnął ją bliżej i mówił, dotykając ustami jej ucha:

- Kochanie, jeżeli sobie wyobrażasz, że pozwolę ci teraz odejść, to się bardzo mylisz. Nie po to cię znalazłem, żebyś mi znowu gdzieś zaginęła...

Joleńko, najmilsza, nie obchodzą mnie żadne zmiany u ciebie, żadne wyjazdy.

Nie chciałaś podać mi swego adresu, ale teraz pójdę za tobą krok w krok, dowiem się, gdzie mieszkasz... a jak się wyprowadzisz, to też cię znajdę. Musisz być; ze mną!

Słuchała z opuszczoną głową i przymkniętymi oczami. Dokoła nich

przesuwali się ludzie, w kawiarni był tłok, ale on nie widział nikogo. Nagle

Jolanta wyrwała się z jego ramion, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała z gniewem:

- Słuchaj, ty... odczep się ode mnie, bo będzie źle! A jeżeli ośmielisz się

mnie śledzić, to znajdzie się taki, co ci łeb rozwali. Rozumiesz, kretynie głupi? -

Bluznęła najgorszymi wyrazami, oczy jej się zwężyły, drobne palce zacisnęły w pięści.

Patrzył jak zahipnotyzowany. Dziewczyna zmieniła się w ułamku sekundy, takiej jej nigdy jeszcze nie widział.

- Jolu, uspokój się! - zawołał i obejrzał się w strachu, że ktoś posłyszał epitety, którymi go obrzuciła. - Przestań!

Dodała jeszcze parę najplugawszych słów, skoczyła do drzwi. Jacyś dwaj mężczyźni roześmieli się.

- Ma dziewczynka słownik, no, no! - zadrwił jeden.

- Leć pan, bo ucieknie! - dodał drugi. - Całkiem fajna ciziuchna, po łacinie gada.

Nie odezwał się. Stał przez chwilę, ogłupiały i wytrącony z równowagi.

Podniecenie minęło, pozostała jakaś gorycz, wstyd... za nią czy za siebie?

Wcisnął czapkę na czoło i wyszedł. Na chodniku rozejrzał się, ale nie dostrzegł już dziewczęcej sylwetki w jasnym futerku i kolorowej czapeczce.

*

Zdjęcia były dobre, wyraźne. Wywiadowca, obserwujący Czepińskiego, przez moment się wahał: czy pójść za dziewczyną, o której nic jeszcze nie wiedział, czy też za swym „podopiecznym”. Wybrał rozsądnie to pierwsze, gdyż poinstruowano go zawczasu o możliwości spotkania inżyniera z określonego wyglądu kobietą. Szedł więc za Jolą krok w krok, tak, jak chciał to zrobić Czepiński; miał nad nim tę przewagę, że dziewczyna go nie знаła.

Doszli do placu Trzech Krzyży. Na postoju taksówek Jolanta stanęła na

końcu długiej kolejki. Wywiadowca umieścił się w stosownej odległości i, niewidoczny, wykonał kilkanaście zdjęć. Pomyślał później, że chciałby częściej mieć do czynienia z tak ładną dziewczyną, choćby to było tylko fotografowanie. Skontaktowawszy się z ukrytego radiotelefonu ze swoją centralą, przywołał kolegę i samochód, przekazał mu Jolantę, sam zaś wrócił do bazy i zdał sprawę z tego, co zrobił. Polewski wysłał natychmiast innego pracownika do obserwacji Czepińskiego, po czym z pewną niecierpliwością czekał na wykonanie odbitek.

- Zobacz - powiedział do Szczęsnego, podając mu zdjęcia.

Kapitan przyglądał się z uwagą. Zastanowiła go uroda dziewczyny, długie jasne włosy.

- Czepiński mówił do niej „Jolu” - dodał wywiadowca - ale rozmowy nie słyszałem. Nie chciałem podchodzić za blisko.

- Jolanta Borowczak? - Szczęsnemu rozbłysły oczy. Czyżby wreszcie trafili na właściwy ślad... - Tadeusz, sam pójde za nią! Przekaż twojemu pracownikowi, że go zamienię. Zresztą możemy pracować razem, zanim nie zdobędę dokładnych informacji o tej babce.

Polewski uśmiechnął się lekko.

- Widzę, że cię wzięło. Ale masz rację, to ważny ślad.

Jolanta wysiadła z autobusu, przeszła przez jezdnię i skręciła w osiedle.

Wynajmowała pokój w jednym z czteropiętrowych domów. Płaciła dużo, ale tu czuła się bezpieczna. Osiedle było nowe, ciągle się rozbudowywało, przybywali lokatorzy i mało kto jeszcze się znał. W zamęcie coraz to oddawanych do użytku bloków, w tym charakterystycznym chaosie przeprowadzek, wozów

meblowych, stukotu młotków, można było zaszyć się niczym borsuk w norze.

W wielu domach nie było jeszcze list lokatorów, nie nawiązały się sąsiedzkie przyjaźnie i nie zrodziły spory.

Szła małą, wąską uliczką, kiedy zauważyła, że jest obserwowana.

Właściwie wyczuła instynktownie, że ciągnie za sobą „ogon”. Przeszła paroletnią szkołę, uczono ją, jak dostrzegać niebezpieczeństwo, jak mieć cztery pary oczu, z każdej strony, i, jak nie patrząc, widzieć. Tu, na tej prawie pustej, cichej uliczce było to niezbyt trudne.

Nie przyśpieszając kroku, swobodnie i spokojnie, przeszła przez osiedle do postoju taksówek.

Wybrała trzecią z rzędu, zadowolona, że może wybierać; na tym postoju zazwyczaj stała tylko jedna. Wsiadając, zauważyła, że mężczyzna, który - czuła to - szedł za nią, wskoczył do pierwszej ze stojących taksówek. Widocznie obrał taktykę wyprzedzania, może zorientował się, że go dostrzegła.

- Dokąd? - spytał kierowca, przyglądając się w lusterku ślicznej pasażerce.

- Domy „Centrum” przy Marszałkowskiej proszę.

W „Sawie” lub „Juniorze” postanowiła się zgubić. Taksówka, jadąca przed nią, zatrzymała się na światłach. Wówczas Jolanta poprosiła swego kierowcę, aby zjechał w lewo. Zdziwił się, może czegoś się domyślił, bo uśmiechnął się porozumiewawczo i spełnił polecenie. Na Puławskiej nie było już szarej warszawy, wyprzedzały ich teraz jakieś inne, nie zagrażające niczym samochody. Odetchnęła z ulgą.

- Proszę pana, zmieniłam zamiar - powiedziała do kierowcy. - Proszę z

powrotem na osiedle.

Bawiło go to, przynajmniej jazda nie była nudna. Zawrócił. Jolanta nie wiedziała, że w wyprzedzającej ich przedtem taksówce siedział wywiadowca, podczas gdy kapitan Szczęsny w małej jasnej syrence krążył po osiedlu - i czekał.

Rozdział 8

Noc była bardzo ciemna. Wiatr ugiął gałęzie bezlistnych jeszcze drzew, miało się na deszcz. Pola i łąka pod lasem leżały ciche, ledwie widoczne. Tę cichość i mrok rozjaśniły nagle reflektory samochodu, który - jakby badając drogę - powoli posuwał się w stronę lasu. Kierowca musiał być jednak tutejszy, bo nie zawahał się na skrzyżowaniu polnej drogi z szosą. Wreszcie wóz znalazł się na skraju sosnowego lasu i zahamował. Zgasły reflektory, ucichł silnik motoru.

- Za dziesięć minut powinien przyjść - powiedział kierowca, patrząc na fosforyzujące wskazówki zegarka.

Siedząca obok kobieta w jasnym futerku wzdrygnęła się i szczerzej otuliła szyję szalikiem.

- Zenek, po coś mnie tutaj przywiózł? - spytała z pretensją. - Nie lubię takiej scenerii.

- Jakiej?

- No, jazda po nocy, jakiś las. Dobrze jeszcze, że nie cmentarz. Spać mi się chce.

- Mam kawę w termosie. Chcesz?

- Nie.(Albo daj.

- Kapryśna jesteś - zauważył, podając jej termos. - Powiem ci, Jolka, że gdyby tak o mnie chodziło, to ja bym się z tobą zbytnio nie patyczkował. Nie tak, jak ten twój inżynierek!

Skrzywiła się, odsunęła. W gruncie rzeczy nie lubiła go nigdy. Zwłaszcza po tej historii z Wilczakiem. Zresztą Wilczaka też nie darzyła sympatią i niełatwo było jej odgrywać rolę zakochanej.

- Ordynarny jesteś.

- A ciebie co ugryzło? - zdziwił się szczerze. - Nie podskakuj, Jolka:

Ładna jesteś, ale nie podskakuj.

Wysiadł z wozu, obszedł go dokoła, z przyzwyczajenia kopnął opony i sprawdził stan benzyny. Znów spojrzął na zegarek.

- Powinien już być - mruknął, wypatrując światła latarki.

- Pytałam się, po coś mnie tu przywiózł!

- Szef kazał. Nie wiem, po co. Może chce nas wszystkich mieć w kupie, żeby coś obgadać.

- On tu mieszka? W lesie?

- Mieszka gdzie mieszka, nie twoja sprawa.

- Stryjek mój przecież - roześmiała się, w głosie jej usłyszał jakąś dziwną wrogość czy złość. Zdziwił się i zastanowił. Usiadł obok niej, szarpnął za ramię, aż poczuła ból.

- Cicho, dziwko! - syknął. - Nie podobasz mi się dzisiaj.

- Bo mam już dość was wszystkich! Wszy-; stkich! A ciebie najbardziej.

- Guzik mnie to obchodzi. Ale pracujemy ra zem, pamiętaj. Bierzesz forszę za swoją robotę. Słuchaj - przyjrzał jej się podejrzliwie - czyś ty się

przypadkiem nie zakochała w tym inżynierku?

- Zgłupiałeś? - krzyknęła.

- Tęskno ci za nim? - roześmiał się. - Mogę go zastąpić. Jeszcze

zdążymy... Idzie. Wynocha z wozu! - wypchnął ją z siedzenia, dał sygnał

reflektorami, na wszelki wypadek pistolet trzymał odbezpieczony.

Przed samochodem pojawił się mężczyzna w ciepłej kurtce i czapce,

naciśniętej na czoło. Jego prawa ręka również obejmowała kolbę pistoletu.

Rozpoznał stojących, pozdrowił ich z daleka uśmiechem, ale ręki nie wyjmował

jeszcze z kieszeni, bojąc się zasadzki.

- Czy pan zgubił teczkę? - spytał kierowcy.

- Czarną, bez uchwytu. Jesteśmy, szefie! - zameldował Zenon

Wiśniewski. - Wszystko w porządku.

- Podjedź kawałek tą drogą i skręć potem w lewo, głębiej w las - rozkazał,

sadowiąc się na tylnym siedzeniu. - Jak się masz, Jolu?

- Dziękuję, dobrze - odparła ulegle.

Bała się go zawsze, choć w przeciwieństwie do tamtych był dla niej

uprzedzająco grzeczny, niemal ojcowski. Czowała przez skórę, że pod tą

zyczliwością i nienagannymi manierami kryje się zupełnie inny człowiek. Tego

innego jednak nie znała.

Zatrzymali się na maleńkiej polance, parę kilometrów od leśnego duktu.

Wysiedli z wozu, aby rozprostować nogi, szef usiadł na pniu ściętej sosny,

zapalili.

- Więc tak - rozpoczął z namysłem. - Odczekaliśmy na tyle długo, że

można już przystąpić do następnej roboty. Centrala nas ponagla, potrzebne są

informacje. Przerzucimy się teraz na Wrocław. Znam trochę tamten teren. Są tam duże fabryki i placówki naukowe. Miasto rozległe, można pracować. „Treb” - zwrócił się do Wiśniewskiego - ty pozostaniesz oczywiście w Warszawie. Będziesz nam tutaj potrzebny. Jola wyjedzie do Wrocławia. Dam ci kontakt na naszego człowieka. Znajdzie ci mieszkanie i pracę. Nie bój się, bardzo lekką i przyjemną! Musisz jednak gdzieś pracować, poza właściwą robotą. Tak jest bezpieczniej. No i jak najszybciej zaczniesz obstawiać, tym razem technika. Pracuje w Zakładzie Doświadczalnym Techniki Jądrowej. Mam o nim dostateczne informacje. Człowiek miękki, wpływowy, lubi pieniądze. I kobiety. Ja się tam zjawię w odpowiednim czasie.

Jolanta milczała. Twarz jej ściągnięta była wyrazem niezwykłej u niej powagi i rozgoryczenia. Nerwowo mięła w palcach brzeg szalika, nie wiedząc, jakimi, słowami wyrazić to, o czym myślała od dawna. Wreszcie zebrała całą odwagę, podniosła oczy i rzekła cicho:

- Szefie, ja... Ja już więcej nie mogę. Proszę mnie zwolnić od roboty.

- Ty masz źle w głowie?! - wybuchnął Wiśniewski, ale szef wstrzymał go ruchem ręki.

- Jak mam to rozumieć, Jolu? - spytał bez gniewu. Patrzył na nią jakoś serdecznie, więc ośmielona mówiła dalej:

- Ją... jestem wam bardzo wdzięczna, bo zarobiłam dużo i... mogłam żyć bez pracy, mogłam się ubierać i w ogóle... ale pan mi kiedyś powiedział, że Czepiński to już będzie ostatni. Że: potem to będę mogła żyć... normalnie, jak inne kobiety... wyjść za męża, mieć swój dom. Przecież ja od sześciu lat żyję pod strachem, że mnie złapią, że się wyda... Ani jednej nocy bez tego strachu, ani

jednego dnia! Robiłam, ile mogłam, ale już więcej nie chcę. Nie mogę!

Patrzała na niego błagalnie, złożonywszy ręce jak do modlitwy. W oczach miała łzy.

- Jolu, doskonale cię rozumiem - odparł spokojnie. - Lepiej niż ci się zdaje. Ale to jest sprawa bardzo ważna. Sprawa wielkiej wagi. Więc przemyśl to dokładnie jeszcze raz i potem mi powiesz.

- Szefie, nie potrzebuję! Ja przemyślałam to przez wiele tygodni. Moja decyzja... moja prośba - poprawiła się - nie jest wynikiem nastroju czy przelotnego kaprysu. Przemyślałam bardzo dokładnie, dlatego mówię to teraz.

- Jesteś więc absolutnie pewna, że nie chcesz z nami dłużej pracować? - spytał raz jeszcze, patrząc na nią z uwagą.

- Jestem pewna. Powiem zresztą... nie chciałam wcześniej, ale teraz powiem... na osiedlu, gdzie mieszkam, miałam za sobą „ogon”.

Obaj drgnęli i spojrzeli na nią ostro.

- Kto to był?

- Nie wiem. Jakiś mężczyzna. - Opowiedziała, co było.

Szef milczał przez parę minut, twarz jego miała wyraz nieodgadniony.

Wiśniewski spoglądał to na niego, to na nią, był rozdrażniony, niespokojny.

- Diabli nadali! - warknął ze złością.

- Dobrze, Jolu - zdecydował szef, podnosząc się z pnia.

- Pan się zgadza? - spytała radośnie, nie wierząc własnym uszom. Tak się bała, że będzie krzyczał, groził, że nie pozwoli odejść.

- Zgadzam się, oczywiście, chociaż będzie nam ciebie brakowało. Ale cóż wart pracownik, który nie lubi swej roboty? - uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

Gdyby go znała lepiej, nie zmyliłby jej ten uśmiech, pod którym krył się gniew, niemal wściekłość. Ale ten człowiek umiał maskować swoje uczucia.

- To mogę odejść? - zrobiła ruch, jakby chciała iść w głąb lasu. Ujął ją lekko za ramię, skierował do samochodu.

- Cóż znowu! Nie będziesz sama pieszo wracać po tych leśnych wertepach. Odwieziemy cię. Poczekaj w wozie. Rozumiesz chyba, że od tej chwili nie możesz uczestniczyć w rozmowach, skoro nie jesteś już naszym pracownikiem. Zaraz wrócimy - to mówiąc, skinął na Wiśniewskiego i oddalili się kilkanaście kroków.

Siedziała, oszołomiona tak szybkim zwycięstwem, jeszcze nieufna, ale już rozradowana. Pomyślała, że - źle widać osądzała tego człowieka, bo przecież jest jej naprawdę życzliwy. Ostatecznie pracowała dla niego długo. Sześć lat wieczne obawy, szarpiącej nerwy - chyba wystarczy. Znajdzie jakąś pracę, zaszyje się w innym mieście. Zacznie nowe życie.

Nie zauważyła, kiedy podeszli do samochodu.

- Jedziemy - powiedział szef. - Podrzucisz mnie do szosy, potem możecie wracać do Warszawy.

Siadł obok niej na tylnym siedzeniu, objął ją ramieniem.

- No? - spytał. - Nie rozmyślałaś się?

- Nie! - potrząsnęła głową. - Naprawdę nie. Ale, szefie, proszę się absolutnie nie obawiać, że ja kiedykolwiek... no, wie pan, o naszej robocie... może pan polegać na mojej dyskrecji. Potrafię milczeć.

- Z pewnością - odparł, wyjmując prawą rękę z kieszeni.

Nagle poczuła ostre ukłucie w nogę, tuż nad kolaniem. Futerko miała

rozpięte. Krzyknęła, przez sekundę zdążyła jeszcze pomyśleć, że ugryzła ją osa czy inny owad, choć o tej porze roku było to mało prawdopodobne. Potem straciła przytomność, zsunęła się z siedzenia na podłogę.

- Szybciej! - rozkazał szef. - Omijaj szosę.

Jechali leśnym duktem, wóz dygotał i podskakiwał na wybojach, chwilami grzązał w mokrej ziemi. Szerokim łukiem ominęli miasto i zatrzymali się kilkadziesiąt metrów od skraju cmentarza. Wiśniewski zgasił motor i światła, wyskoczył z wozu.

- Szmataę do ust - mówił szef, krępując dziewczynie ręce i nogi. Zrobił jeszcze jeden zastrzyk. Zenon wprawnym ruchem założył knebel. Razem dźwignęli ciało nieprzytomnej dziewczyny, ponieśli ostrożnie w stronę cmentarza.

- Po co szef ją zasznuował? - zdziwił się „Treb”. - Przecież i tak nie wyjdzie. Dwa zastrzyki!

- Na wszelki wypadek.

- Było dać od razu fenol i po krzyku.

- Zapamiętaj sobie, że ja nigdy nie zabijam. Mokra robota to dziesięć razy wyższy wyrok.

- A Wilczak?

- Nie było wyjścia. Chciał donieść. Zresztą Wilczak to twoja robota.

- A moja! - roześmiał się chrypliwie. - Co mi tam. Jolkę też bym załatwił.

Jeszcze przed tym bym się zabawił.

- Cicho! Już parkan.

Z pewnym trudem przerzucili ciało przez sztachety, potem sami przeszli

na teren cmentarza. Kiedy dotarli do grobowca Zalewskich, szef wyjął z kieszeni klucze. Umieścili dziewczynę na betonowej podłodze w głębi grobowca. Wiśniewski rzucił jej na głowę zbutwiałe szmaty. Potem szef zamknął drzwi dwoma kluczami i rzekł cicho:

- Dobry ślusarz męczyłby się z godzinę, zanim by otworzył. Ona i tak się nie obudzi. A jeżeli nawet, to nie rozwiąże sznurów. Idziemy.

Wrócili do samochodu. Ciemnowłosy zabrał z siedzenia torebkę dziewczyny i rzekł:

- Nie możesz z tym wracać ani wyrzucić po drodze. Wezmę ze sobą, zniszczę w domu.

- To kłopot - zauważył Wiśniewski. - A radziłem, żeby Jolkę załatwić w lesie, wrzucić do jakiego dołu i sprawa załatwiona. Po co było ją taskać i pakować do grobowca?

- Bo tam jej nie znajdą, rozumiesz? A w lesie zawsze ktoś się może włóczyć, choćby służba leśna. Zacznie się dochodzenie, przyjadą gliny, będą szukać, wypytywać. Nie, stanowczo lepiej było zamknąć ją tutaj. Zastanów się, kto będzie otwierał rodzinny grób Zalewskich? Pozostał tylko Zygmunt, a on jest nasz.

- No, a ta siostra? W Krakowie czy gdzieś tam?

Szef machnął ręką niecierpliwie.

- Nie była w Strągowie od dwudziestu lat. Jak umrze, mogą ją tu pochować. Wtedy niech sobie znajdą trupa Joli. W grobowcu jest wilgoć, po pół roku nikt nie rozpozna twarzy. W tej sytuacji muszę obmyśleć nowy wariant roboty. Trzeba znaleźć inną dziewczynę, a to niełatwe.

- Jolka była wygodna. Nie miała krewnych, pies z kulawą nogą o nią się nie upomni.

- Tak. Ale nie mogłem ryzykować. Trudno. Szkoda, bo nadawała się.

Rozejrzyj się w Warszawie, może kogo znajdziesz.

- Poszukam, szefie.

- W razie czego daj znać.

- Kartką do Zygmunta?

- Najlepiej widokówką: „Pozdrowienia od Elżuni, u nas wszystko w porządku, całuję - Henryk”. Wtedy Zygmunt pojedzie do Warszawy i spotka się z tobą. Do widzenia.

Samochód ruszył z wolna w stronę drogi. Szef śledził przez jakiś czas oddalające się czerwone światelko, potem odszedł. Na cmentarzu zapanowała cisza. Wiatr ustał, była godzina druga nad ranem.

Minął kwadrans, potem drugi. Od sztachet, okalających cmentarz, spomiędzy gęstych krzewów bzu i tarniny, dobiegł jakiś szelest. Lekko, niby cień, podniósł się z ziemi - człowiek? duch? - wyprostował, przez dłuższą chwilę rozglądał dokoła i nasłuchiwał. Uspokojony ciszą, przyłożył dłonie do ust. Zahukał puchacz - raz,; drugi. Gdzieś z drugiego końca cmentarza odpowiedziało kwilenie nocnego ptaka. Wtedy cień oderwał się od krzewów i począł iść w tym kierunku.

W połowie drogi dwa cienie spotkały się, przylgnęły do ziemi.

- Widziałeś? - spytał pierwszy tak cicho, że: musiał usta przyłożyć do ucha towarzysza.

- Słyszałem samochód. Potem jakiś ruch przy grobowcu, ale nie wiem

którym. Dźwięczał metal, tak jakby klucze. Nie mogłem podejść bliżej. A ty?

- Dwóch wysiadło z wozu. Coś nieśli, długi pakunek czy worek.

Przerzucili przez parkan, potem sami przeleźli.

- Pewnie schowali w grobowcu.

- Co robimy?

- Musimy się przekonać, co tam jest. Może umieścili radiostację.

- Poczekaj - sprzeciwił się pierwszy. - Zapytamy bazę. Lepiej samemu nie decydować.

Obserwuj teren, ja się porozumiem.

Uruchomił radiotelefon, dał sygnał. Jego towarzysz rozglądał się czujnie i nadstawiał uszu, gotów każdej sekundy przypaść do ziemi.

- Ja „Czajka”, ja „Czajka”, wzywam bazę - powiedział pierwszy.

Zaszemrało w słuchawkach, czyjś głos odpowiedział:

- Tu baza, słucham cię, „Czajka”.

- Zmiany na stanowiskach. Czekam na dyspozycje. Pilne!

- Poczekaj, „Czajka”.

Widać tamten poszedł z kimś się naradzić. Po paru minutach w słuchawce odezwał się inny głos, bardziej zdecydowany:

- „Czajka”, tu baza, jak mnie słyszysz?

- Słyszę cię dobrze, czekam na dyspozycje.

- Jesteście sami?

- Teraz tak.

- Co ci potrzebne?

- Pomoc. Nie jestem ślusarzem - powiedział i uśmiechnął się, sam do

siebie. - Pilne!

- Rozumiem, „Czajka”. Oczekuj nas. Wyłączam się.

Schował radiotelefon. Znowu odezwał się nocny ptak i drugi z obserwatorów pojawił się obok kolegi.

- I co?

- Zaraz będą. Przesuniemy się, ty idź w kierunku głównej bramy, a ja bocznej. Nie wiadomo, skąd przyjdą.

Później do dwóch cieni dołączyły inne. Kierownik grupy pracowników kontrwywiadu, która od pewnego czasu przebywała w Strągowie, usłyszawszy, w czym rzecz, zdecydował:

- Musimy otworzyć grobowiec Zalewskich, bo pewnie tam to „coś” schowali.

- Ten grobowiec jest zawsze otwarty - zauważył któryś z wywiadowców.

- Zobaczymy. Ale grobowiec był zamknięty na klucz. Tym bardziej zainteresowani, postanowili go otworzyć, używając precyzyjnych narzędzi.

Pozwalały na pracę w ciszy i bez pozostawienia śladów. Jednakże okazało się to trudniejsze, niż przewidywali. Dwaj specjaliści od takiej roboty próbowali w różny sposób dobrać się do opornego zamka, ale bez rezultatu.

Nagle, kiedy tak biedzili się nad otworem, do uszu ich dobiegł jakiś dźwięk, wydobywający się z wnętrza grobowca. Znieruchomieli.

- Poruczniku, tam ktoś jest! - powiedział jeden z wywiadowców.

Kierownik grupy nachylił się, przyłożył uch do zimnej, betonowej ściany.

Jęk powtórzył się teraz już wyraźniej.

- Nieboszczyk protestuje - szepnął sierżant Molski, znany kpiarz, który

niejednemu z kolegów wypłatał figla.

- Zamknij się! - warknął plutonowy Dąbek, szcękając zębami. Nie wierzył w duchy, ale wszystko to razem było niesamowite. - Czyś ty przypadkiem nie wsadził tam kota?

Porucznik spojrzał groźnie na sierżanta, ten wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Witek, tnij palnikiem! - rozkazał dowódca grupy. - Jeżeli w grobowcu zamknięto człowieka, musimy go wyciągnąć, obojętnie kim jest.

Zaszczał niebieski płomień i wgryzał się coraz głębiej w metalowe drzwi, okrążając zamek. Po kilku minutach zostały one otwarte. Porucznik oświetlił reflektorem wnętrze grobowca. Dostrzegli zarys leżącej postaci, na wpół zakrytej szmatami. Molski podszedł, odrzucił je i wzdrygnął się. Skrępowana silnie sznurem leżała dziewczyna. Twarz jej była nabrzmiąta, niemal fioletowa, oczy wychodziły z orbit. Dusila się, charcząc i jęcząc. Szybkim ruchem wyciągnął knebel z opuchniętych ust, podłożył ręce pod bezwładne ciało i ostrożnie wyniósł z grobowca. Pochylili się nad nią, rozcięli sznur, więzy opadły.

Oficer przykląkł, namacał puls. Serce biło słabo, nierówno, chwilami ustawało, jakby już nie miało sił, a potem znowu podejmowało swą pracę. Zrozumiał, że tylko natychmiastowa pomoc lekarza może uratować dziewczynę.

- Do wozu! - rzucił. - I do szpitala. Wy dwaj zostańcie, drzwi trzeba przymknąć, żeby choć z daleka wyglądały jak przedtem. Molski, zbadaj jeszcze grobowiec, może tam coś zostało. Torebka? - zastanowił się. - Przeszukaj dokładnie.

Ponieśli nieprzytomną dziewczynę do samochodu, ułożyli na siedzeniu.

Porucznik podtrzymywał głowę ze zwisającymi długimi jasnymi włosami.

Pojechali w stronę powiatowego szpitala.

- Bydlaki - powiedział Dąbek, patrząc na siną twarz dziewczyny. -

Załatwili ją. Cholera, żebyśmy wcześniej dojrzał, co oni niosą!

- I co, palcem byś otworzył grobowiec?

- Palnikiem, jak teraz - odparł za Dąbka porucznik. - Trzeba było nas wezwać od razu.

- Chciałem odczekać, czy nie wróca. Mogliśmy ich spłoszyć. Zresztą to wyglądało na jakieś pudło w worku.

Oficer nie odpowiedział. W gruncie rzeczy Dąbek miał rację i trudno było mieć do niego pretensję.

Lekarz dyżurny był już uprzedzony, a choć nie orientował się, w czym rzecz, przygotował salę operacyjną i separatkę, ściągnął też z domu chirurga.

Jednakże wszystkie próby uratowani dziewczyny okazały się nieskuteczne. Po godzinie chirurg odstąpił od ciała i wzruszył ramionami.

- Koniec? - spytał porucznik, asystujący przy zabiegach.

- Koniec. Musiała dostać przed tym bardzo silny środek nasenny. Samym kneblem, tak założonym, jak pan określił, nie udusiłaby się. Tutaj mamy zrobić sekcję czy chcecie przewieźć ciało do Warszawy?

- Wolałbym w Warszawie. Pan rozumie, doktorze, nie chcę pana urazić, ale...

- Rozumiem, niech pan się nie przejmuje - przerwał lekarz. - Mamy dość swojej roboty. Tylko samochód do przewiezienia musi pan gdzieś

skombinować, bo z tym byłby kłopot. Nasz w remoncie.

- Dobrze, załatwię. Gdzie umieścicie zwłoki?

- Oczywiście w kostnicy.

- Będzie tam ktoś z moich. Taki jest... no, tak trzeba.

- W porządku, uprzedzę dyrektora szpitala.

- Postaram się, aby wóz przyjechał jak najszybciej.

- Wie pan, nam to nie sprawia różnicy, w kostnicy miejsca dość. Akurat nie mieliśmy od tygodnia żadnego zejścia.

- Zejścia... z czego?

- No, śmierci, zgonu czy jak tam pan chce.

Chirurg był niewyspany i zły. Chciał uratować tę śliczną dziewczynę, obojętnie kim była - ofiarą czy przestępcą. Zrobił wszystko, co potrafił, a miał za sobą wiele lat pracy i niemało doświadczenia. Cóż, tym razem nie udało się.

*

Wczesnym rankiem pułkownik Czerniak odebrał telefon ze Strągowa.

Kierownik grupy operacyjnej poinformował go, że dziewczyna, znaleziona w grobowcu Zalewskich, zmarła. Według wszelkiego prawdopodobieństwa była to Jolanta Borowczak względnie Danuta Kowalewska, co zresztą mogło na jedno wychodzić.

- Nic przy niej nie znaleziono? - spytał Szczęsny. - Żadnych dokumentów?

- Nic. Ale przypuszczam, że jest to ta sama dziewczyna, którą dwa dni temu obserwowałeś na osiedlu. Dlatego chciałbym, żebyś był w Zakładzie Medycyny Sądowej, jak nasi przywiozą ciało...

- Mamy przecież jej zdjęcia - przerwał Polewski.

-... i jak ściągniemy tam Czepińskiego - dokończył szef. - Ty również,

Tadeusz. Ciebie on już zna. A Szczęsny będzie w charakterze, powiedzmy, asystenta lekarza. Porozum się z doktorem Sternem, on już wie, że ma od nas robotę. Jeśli jest to ta sama kobieta, to chciałbym wiedzieć, w jaki sposób wymknęła się spod naszej obserwacji?

- To moja wina - przyznał Szczęsny. - Na osiedlu weszła do sklepu spożywczego. Zaparkowałem wóz w pobliżu i poszedłem za nią. Bałem się, że wyjdzie innymi drzwiami, to duży sklep. Kupowała coś, stanąłem w kolejce trzy osoby za nią. Przed sklepem znów ją miałem na oku, ale wtedy...

- Co wtedy? - zniecierpliwił się Czerniak. - Czemu nie kończysz zdania?

- No, akurat nawinęła się lotna i... tego, no, I wrzepili mi mandat za nieprawidłowe parkowanie. Zanim pokazałem legitymację, babka wsiąkła. I Chyba mieszka w którymś z wieżowców. Znajdziemy ją, nie takie... to znaczy, jeżeli żyje - I dodał. - Bo jeżeli to ta sama, co w grobowcu...1

- To już ją mamy, tylko o parę godzin za późno - uzupełnił major. -

Cholera, dlaczego nie znają cię koledzy z ruchu drogowego?

- Znają, ale to byli jacyś młodzi, prosto ze szkoły w Iwicznej.

- Czekaaj, a czy to na pewno była milicja?

- Na pewno.

- Mundurowa?

- Mundurowa! Z „lizakiem” i motocyklem! - zirytował się kapitan. -

Zresztą sprawdzę. Pamiętam dokładnie godzinę.

Czerniak spojrział na zegarek, a potem na telefony.

- Powinni już być w Warszawie - mruknął. - Jedźcie obaj na Oczki. Jeżeli to ona, dajcie mi zaraz znać, a ja zorganizuję sprowadzenie inżyniera. Aha, co z Wiśniewskim?

- Wyjechał służbowo do Kutna. Sprawdziłem delegację.

- Sam?

- Nie, pojechali we trzech z pracownikami „Siły”. Samochodem. W tej sytuacji nie mogliśmy posłać za nimi naszego wozu, podpadłby. Uprzedziłem jednak kolegów w Kutnie.

- Na długo wyjechał?

- Delegację mają na cztery dni. Jeden to technik budowlany, tak jak Wiśniewski, drugi to kierowca. Mamy swojego człowieka w „Sile”. Pojechali po nowe wzory okuć okiennych, zamki do drzwi i inne takie duperele.

- Ładne mi duperele - westchnął Czerniak. - U mnie w domu okucia się rozłazały, wszystko pordzewiało, szmelc. Administracja mówi, że nie mają nowych. No, dobra. Tadek, zadzwoń do Kutna, spytaj, czy przyjechali. Stamtąd do Strągowa niedaleko.

- Pułkownik myśli, że to Wiśniewski załatwił dziewczynę? - zdziwił się Szczęsny. - Nie mam żadnych danych, że tych dwoje się znało.

- Ja też nie mam, ale lepiej sprawdzić. Jeżeli ona pracowała dla obcego wywiadu, mogli ją z jakichś przyczyn zlikwidować. Niewygodny świadek, odmowa dalszej współpracy czy coś takiego.

Polewski połączył się z komendą kutnowską, rozmawiał chwilę. Owszem, delegaci przedsiębiorstwa „Siła” przyjechali poprzedniego dnia przed południem i zatrzymali się w hotelu „Polonia”. Dwaj technicy przez cały dzień

załatwiali sprawę okuc, kierowca zajmował się trochę samochodem, a trochę miejscowymi dziewczynkami. Kolację jedli we trójkę w barze trzeciej kategorii, po czym udali się na spoczynek.

- Czy obserwowano hotel przez całą noc? - spytał major.

Jego rozmówca zawahał się, nie był tego pewny. Poszeptał z kimś, czekał parę minut, a później odparł, że nie. Dziś jednak wszyscy trzej zgodnie wyszli na śniadanie, więc...

- Sprawdźcie, poruczniku, czy w nocy któryś z nich wychodził. Portier powinien wiedzieć. Dowiedźcie się też, czy ktokolwiek brał w nocy samochód, jeżeli da się to sprawdzić. Bardzo źle, że nie daliście człowieka do obserwacji hotelu. Oni śpią wszyscy w jednym pokoju?

- Nie. Kierowca z technikiem Nowakiem razem, a ten Wiśniewski ma pojedynkę. Właściwie to jest pokój dwuosobowy, ale drugie łóżko było wolne. Sprawdzę i przekażę wam informację.

*

- Ona - powiedział kapitan Szczęsny. Patrzył na białą, bez kropli krwi twarz dziewczyny, teraz już spokojną i obojętną.

- Jesteś pewien?

- Tak. Zresztą porównaj ze zdjęciem.

- Zgadza się. Zawiadomię Mariana.

Czekali w hallu prosektorium. Szczęsny palił jednego papierosa za drugim, nie znosił wizyt w tym budynku. Był ubrany w kitel lekarski, trochę przybrudzony, na oczach miał przyciemnione okulary, a na swych jasnych włosach siwą perukę. Major siedział w drugim końcu hallu, zajęty jakimiś

notatkami.

Doktor Stern uchylił drzwi swego gabinetu i patrzył na Szczęsnego

dłuższą chwilę, zanim zorientował się w przebraniu.

- No, to chodźcie ze mną... kolego - mruknął, trochę rozbawiony. - Zaraz tu będą.

W parę minut później do prosektorium wszedł Polewski, a za nim

ociągając się i przystając co chwila, popychany przez jednego z oficerów -

Czepiński. Szczęsny stał przy zwłokach, nie spuszczał wzroku z twarzy

inżyniera. Stern, odwrócony od nich, grzebał hałaśliwie w szafce z narzędziami.

Cała ta scena nie interesowała go, przygotowywał się do sekcji.

Czepiński rozejrzał się po sali, dostrzegł długi, nieruchomy przedmiot,

nakryty białym płótnem i zbladł.

- Nie! Ja się nie zgadzam. Nikogo nie będę oglądał! - powiedział

stanowczym tonem. - Nie ma takiego prawa, żeby mnie zmusić.

Odwrócił się tyłem i zrobił krok w stronę drzwi. Major zastąpił mu drogę.

- Niechże pan będzie mężczyzną - rzekł spokojnie. - Oczywiście, że nie

możemy pana zmusić. Ale jeżeli pan odmówi rozpoznania zwłok, może to nam

ogromnie skomplikować sprawę.

- Nic mnie nie obchodzą wasze komplikacje! - wybuchnął Czepiński. - Ja

chcę stąd wyjść!

Wówczas Szczęsny nagłym ruchem odsłonił twarz zmarłej i powiedział

cicho:

- A podobno pan tak kochał tę dziewczynę... Inżynier znieruchomiał.

- Jaką dziewczynę? - spytał, jeszcze nie patrząc na ciało, widać było

jednak, że te słowa zaskoczyły go. Być może spodziewał się, że chodzi o zupełnie inne zwłoki.

- Przecież to jest Jola - dodał Polewski.

- Nieprawda!

- To niech pan spojrzy i upewni się. I nas. Powoli, na drżących nogach, podszedł do stołu sekcyjnego. Długo nie odrywał oczu od martwej twarzy.

Wreszcie wargi zaczęły mu drżeć i po policzkach spłynęły łzy. Otarł je ukradkiem. Major podsunął mu papierosa, zapalił. Doktor Stern chrząknął niecierpliwie, ale nie odezwał się.

- Poznał pan?

- Tak. To Jola. - Mówił szeptem. - Jak to się stało?

- Jolanta Borowczak?

- Tak.

- Ta, o której mówił pan wtedy, w komendzie: moja dziewczyna?

- Tak. Co jej się stało? Miała wypadek?

- Chodźmy - rzekł Polewski. - Doktorzy się niecierpliwą. Trzeba przeprowadzić sekcję zwłok.

- Jej zwłok?! - krzyknął przerażony.

- Przecież nie moich - burknął Stern, zakładając gumowy fartuch.

Czepiński patrzył na niego w osłupieniu. Nagle porwały go torsje, ledwie zdążyli wyprowadzić go do ubikacji. Lekarz wyjął z szafki butelkę jarzębiaku, nalał ze ćwierć szklanki i rzekł:

- Dajcie temu chłopakowi, niech wypije, jak się wyrzyga. Za duży wstrząs, może się rozchorować. Kapitanie, zostaje pan przy sekcji?

- Muszę - westchnął Szczęsny, zdzierając perukę. Chciał być obecny przy przesłuchaniu Czepińskiego, wiedział jednak, że nie wolno mu dekonspirować się. Pozostawała, oczywiście technika: tajne lustro, mikrofon i te wszystkie rzeczy, dziwnie jednak nie lubił z nich korzystać. Uznawał rozmowę twarzą w twarz, nie zaś przyglądanie się śledztwu z drugiego pokoju.

Przesłuchanie prowadzili Czerniak i Polewski. Inżynier był tak wstrząśnięty tym, co zobaczył, że z początku nie tyle nie chciał, ile nie był w stanie mówić. Pozwolono mu więc spokojnie wypalić papierosa i wypić filiżankę kawy.

- Widzę, że pan już przyszedł do siebie - powiedział pó pewnym czasie pułkownik. - Proszę więc opowiedzieć nam, jak doszło do znajomości z Jolantą Borowczak, jeżeli tak naprawdę nazywa się kobieta, której zwłoki rozpoznał pan w prosektorium.

- Szkoda, że nie powiedział pan całej prawdy podczas naszej poprzedniej rozmowy - dodał major. - Być może ta dziewczyna uniknęłaby wówczas śmierci.

Czepiński podniósł na niego zaczerwienione oczy i poruszył ustami, ale nic nie powiedział. Pułkownik uruchomił magnetofon, protokolant, siedzący przy bocznym stoliku, położył ręce ni maszynie do pisania.

- No więc? Słuchamy.

- To... jak wtedy - zająknął się, znów sięgnął po papierosa. Mówił cicho, twarz mu drgała nerwowo. - Gdybym wtedy przypuszczał, że...; na pewno bym... ale ja... - Odchrząknął, widać było, że stara się opanować.

Nagle Czerniak zrozumiał, że siedzący przed nim człowiek ogarnięty jest

śmiertelnym strachem. I że nie tyle chodzi mu o zmarłą przyjaciółkę, ile o własną skórę.

- Czego pan się boi? - spytał. - A raczej kogo?

- Ich. Ich wszystkich, którzy... którym...

- Tutaj nic panu nie grozi. Zapewniam pana, że my nie dusimy przeciwników ani nie zamykamy w grobowcu.

- Gdzie? - Inżynier popatrzył na niego ze zdumieniem. - W jakim grobowcu?

- Proszę nie stawiać pytań, tylko mówić. Wszystko o swojej znajomości z tą kobietą. Kiedy pan ją poznał, gdzie, przez kogo i tak dalej. Od samego początku.

Czepiński rozpoczął długą opowieść o Jolancie Borowczak, o szpiegowskich informacjach, przekazywanych przez niego tajemniczym agentom, o pieniądzach, które za to przyjmował, wreszcie o rzekomym czy faktycznym stryju Jolanty, z pewnością zaś fałszywym pułkowniku kontrwywiadu, z którym wspólnie fabrykowali wiadomości dla „tamtych”. Nie ukrywał już niczego. Był tak wystraszony, że skwapliwie podawał coraz to nowe szczegóły, dorzucał drobne nawet fakty, tkwiące gdzieś na dnie pamięci. Opisał wygląd Włodzimierza Stakwita, dodał, że człowiek ten już nie żyje. Czerniak i major spojrzeli na siebie przelotnie, ale nie wyprowadzili go z błędu.

Wreszcie Czepiński umilkł. Westchnął ciężko, wysączył resztkę kawy i rzekł, jakby z ulgą:

- To już chyba wszystko.

- Gdzie pan był w ciągu dwóch ostatnich dni? - spytał Polewski. - Proszę

podać cały rozkład wczorajszego dnia, noc i dzień poprzedni.

- Wczoraj poszedłem wcześniej do Instytutu, bo miałem sporo roboty...

- Wcześniej, to znaczy o której?

- Byłem tam kwadrans po siódmej. Siedziałem w pracy do późnego

wieczora, czyli do... zaraz, wychodziłem razem z docentem Kwasińskim gdzieś

około wpół do dziewiątej. Wstąpiliśmy jeszcze coś zjeść do „Kawalerskiej”. W

domu byłem chyba o jedenastej. Poprzedniego dnia podobnie, z tym że rano

przyszedłem na ósmą.

- A w nocy był pan w domu od jedenastej wieczór do dziś rana?

- No, tak. Spałem przecież.

- Czy ktoś do pana telefonował w nocy? Albo przychodził?

Czepiński zastanawiał się przez chwilę.

- Dzwonił właśnie docent Kwasiński. Była prawie północ.

- Po co? Przecież byliście przez cały wieczór razem.

- Pomyliłem teczki i z knajpy wziąłem jego, a on moją. Więc zadzwonił,

jak przyszedł do domu i zorientował się, że ma cudzą teczkę. Chciał nawet

przyjść, bo się bał, że ja na drugi dzień zapomnę odnieść.

- Co było w teczce docenta?

- Nic takiego.

- Proszę wymienić, co było.

Czepiński spojrział na majora i poczerwieniał.

- Przecież pan i tak sprawdzi. Docent Leon Kwasiński mieszka na

Ochocie, telefon: dwadzieścia trzy - dwadzieścia cztery - szesnaście.

Powtarzam, że w teczce nie było żadnych ważnych dokumentów. Może mi pan wierzyć.

- Nie mam podstaw - odparł Polewski i wyszedł z pokoju.

Połączył się telefonicznie z Instytutem, poprosił do aparatu docenta

Kwasińskiego i przeprowadził z nim krótką rozmowę. W rezultacie

zaniepokojony docent po dwudziestu minutach zjawił się w komendzie. Major przyjął go w pustej poczekalni, przedstawił się i spytał bez żadnych wstępów:

- Proszę pana, co znajdowało się w teczce, którą nieopatrznie zamienił pan w restauracji „Kawalerska”, kiedy razem z inżynierem Czepińskim zjedliście tam kolację?

Kwasiński patrzył na niego tak zdumiony, że Polewski powtórzył pytanie.

Wreszcie docent ocknął się, mruknął do siebie coś w rodzaju: „A to, cholera, takie, no kto by pomyślał” i odparł, już z sensem:

- W teczce miałem sprawozdanie z posiedzenia rady zakładowej, której jestem członkiem.

- Czy w sprawozdaniu były poruszane sprawy produkcji?

- Nie, tym się nie zajmujemy w radzie. Tam było o sprawach socjalno-bytowych. Poza tym miałem w teczce komplet cyrkli, różne przybory do kreślenia, pisania. Dwie książki, fachowe. Cóż jeszcze? Drugie śniadanie, którego nie zdążyłem zjeść - uśmiechnął się. - To wszystko. Nic ważnego.

- Dziękuję panu. O której telefonował pan wtedy w nocy do inżyniera?

- Zaraz po przyjściu do domu. Położyłem teczkę na stół, właściwie rzuciłem i musiała się otworzyć, bo wysypały się z niej na podłogę dwie paczki herbaty. Wtedy zorientowałem się, że to nie moja teczka, bo ja herbaty nie

miałem. A nasze teczki, Bronka i moja, wyglądają tak samo, tylko moja jest trochę bardziej zniszczona. Więc telefonowałem kwadrans przed północą.

- Co tam było w środku oprócz herbaty?

- No, wie pan - docent zmieszał się, skrzywił niechętnie. - Nie przeglądałem. Zobaczyłem, że nie moja, więc... pan rozumie.

- Tak. Jeszcze raz bardzo dziękuję i przepraszam, że pan się fatygował, ale nie chciałem mówić o tym przez telefon. Sprowadzę pana na dół, bo nie wystawiliśmy przepustki.

- A właściwie co się stało? - spytał docent, kiedy schodzili z drugiego piętra. - Ktoś ukradł teczkę Czepińskiemu?

- Nie, wszystko w porządku. Do widzenia. Major wrócił do gabinetu Czerniaka, podsunął mu karteczkę. Ten skinął głową, schował kartkę do szuflady biurka. Inżynier siedział przygarbiony, nieszczęśliwy, widać dalszy ciąg rozmowy nie był przyjemny.

- Cóż, musimy pana zatrzymać - rzekł pułkownik oschle. - Zdaje pan sobie chyba sprawę, ile szkody pan narobił naszej gospodarce, nie mówiąc już o innych kwestiach. Zresztą w tej chwili nie wiem, czy nie powinien pan się cieszyć, że będąc w areszcie uniknie pan losu Jolanty Borowczak.

Rozdział 9

W dwa dni później Czerniaka obudził telefon. Kierownik grupy wywiadowczej w Strągowie po dał informację, która zelektryzowała pułkownika i odebrała chęć snu. Teraz on z kolei wyciągnął z łóżka najpierw Polewskiego, potem Szczęsnego i wezwał ich do siebie.

Zanim przyjechali, zdążył zaparzyć kawę. Przyzwyczajona do takich

sytuacji jego żona podreptała do kuchni i zaczęła przygotowywać kanapki.

Trochę wzruszony, pocałował ją przelotnie w siwiejące włosy i mruknął parę przyjaznych słów. Była zawsze jego najlepszym „towarzyszem broni”, jak ją czasem nazywał. Poznali się wiele lat temu, w partyzantce. Ślub dał im wówczas dowódca oddziału, a ucztę weselną, złożoną z gorących ziemniaków z kapustą i ajerkoniaku na bimbrze, przerwał atak zmotoryzowanej żandarmerii hitlerowskiej.

Szczęśny mieszkał bliżej, on też zjawił się pierwszy, major zaraz po nim.

Rozumieli, że nadeszła jakaś ważna wiadomość. Pułkownik jednak najpierw postawił przed nimi filiżanki z kawą, potem dopiero rzekł:

- Był telefon ze Strągowa. Towarzysze zauważyli, że w willi Zalewskich ukrywa się jakiś mężczyzna.

- Jak wygląda? - spytał Polewski.

- Dość wysoki, dobrze zbudowany. Obserwowali go w nocy, z bardzo daleka, przez noktowizor. Miał czarny albo granatowy płaszcz i czapkę.

- Nie był to Zygmunt Zalewski?

- Twierdzą, że z całą pewnością ktoś inny. Ale pies go zna.

- Jaki pies?

- Nazywa się Kuba. No, pies Zygmunta. Więc Kuba, który na noc spuszcany jest z łańcucha i biega po ogrodzie, nie szczekał. Wprost przeciwnie, łąsił się do tego faceta. A Kuba na ogół rzuca się na obcych. Czyli że to jest ktoś, kogo pies dobrze zna. W dzień tego człowieka nasi pracownicy nigdy nie zauważyli, stąd wniosek, że ukrywa się w willi. To może być niezwykle ważna informacja.

- Tak. To może być to ostatnie i najważniejsze ogniwo, którego szukamy.

Trzeba tam jechać - zdecydował Polewski i spojrzał na Szczęsnego. - Jedziesz ze mną?

- Jasne - odparł krótko kapitan.

- Zaraz, zaraz! - zaproponował Czerniak. - Dwóch to za mało.

- Przecież tam są nasi.

- Trzech. Przepraszam, czterech z porucznikiem. Ale kto nam zaręczy, że w willi nie ukrywa się kilku osobników? Chyba że weźmiecie jeszcze ludzi od Bardeckiego. No, to zjedzcie kanapki i w drogę. Broń macie?

- Mamy - odparli jednocześnie.

- Samochód czeka na dole, zawiadomiłem szefa transportu.

- Pewnie był wściekły, że go budzisz - za śmiał się Polewski. - On tego strasznie nie lubi.

- Nic mnie to nie obchodzi, jeszcze się może wyspać do rana.

- Czeka, Marian! Czy nie dobrze byłoby połączyć się teraz z Kutnem?

Nie dali mi jeszcze odpowiedzi w sprawie Wiśniewskiego, a może złapalibyśmy sprawę za dwa końce, co? Jak myślisz.

- Dobra, dzwoń do nich. Ale kto tam teraz będzie, najwyżej oficer dyżurny, a ten ci przecież nie odpowie.

- Zobaczymy.

Wbrew mniemaniom pułkownika oficer dyżurny udzielił dość wyczerpującej odpowiedzi. Wywiadowcy stwierdzili, że owej nocy Zenon Wiśniewski rzeczywiście opuścił hotel na kilka godzin. Zabrał służbowy samochód i wyjechał z Kutna. Wrócił gdzieś koło piątej rano. Na oponach wozu

znajdowały się mikroślady w postaci igieł sosnowych, mchu i zeschniętych liści.

Ślady te sfotografowano i zabezpieczono. Na podłodze samochodu był też niewielki kawałek grubego sznurka.

- Opony! - krzyknął Szczęsny, stojąc obok majora. Niecierpliwił się. -

Spytaj, czy sfotografowali same opony. Wzór na protektorze, rozstaw kół i tak dalej.

Polewski powtórzył pytanie, chwilę słuchał, potem rzekł z zadowoleniem:

- To dobrze. Zdjęcia będą nam potrzebne... Na dzisiaj? Bardzo ważne...

Powiedzcie porucznikowi, żeby czekał w komendzie na mój telefon. Cześć.

Odłożył słuchawkę, popatrzał na Szczęsnego.

- Wiem, co masz na myśli. Porównanie śladów opon tego samochodu ze śladami w pobliżu cmentarza w Strągowie.

- Tak, oczywiście! Przecież dziewczynę przywieziono samochodem. To może być ten sam wóz.

- Czy Czepiński w swoich zeznaniach nie powiedział nic o Wiśniewskim?

- spytał kapitan.

- Nie. Wstrzymaliśmy się jeszcze z pokazaniem mu zdjęcia. Niech myśli, że Włodzimierz Stakwit nie żyje.

- Ciekawe, czy któryś z tej szajki stwierdził już, że ciała Joli nie ma w grobowcu.

- Wątpię. Przez jakiś czas żaden z tamtych nie będzie się pokazywał na cmentarzu, na to są za ostrożni.

*

Zenon Wiśniewski po powrocie z Kutna do Warszawy zdał kierownikowi

przedsiębiorstwa „Siła” wyczerpującą relację z działalności służbowej, napisał sprawozdanie” pokręcił się trochę po biurze i wyszedł. Na Czepińskim wprawdzie postawili już krzyżyk, bo zbyt wiele kosztowały ich jego informacje, trzeba było jednak uzupełnić ostatnią wiadomość, na tyle ważną, że szef zdecydował się na jeszcze jeden telefon. Obowiązek ten, jak zwykle, przypadł Wiśniewskiemu.

Pojechał na Targową, obejrzał sobie kilka budek telefonicznych, potem zdecydował się na jedną, stojącą na małej, bocznej uliczce. Połączył się z Instytutem, podał wewnętrzny. Odezwał się głos kobiecy.

- Poproszę z inżynierem Czepińskim - powiedział.
- Nie ma.
- Kiedy będzie?
- A kto mówi?
- Docent Szczerbakowski z Polmexu. Mam pilną sprawę.
- Pan Czepiński jest chory.
- O! - udał zmartwionego. - Co mu jest!
- Nie wiem. Może pan się porozumie z kierownikiem?
- Dziękuję, zobaczę jeszcze. Do widzenia, na razie.

Odłożył słuchawkę, zamyślił się. Chory? Chyba nie w szpitalu. Wobec tego pewnie leży w domu. Wyjrzał z budki, popatrzał. Na ulicy nie było nikogo. Zamknął drzwi i połączył się z mieszkaniem inżyniera.

- Słucham? - Głos był tym razem męski, jednakże mało przypominał głos Czepińskiego. Zenon zawahał się.
- Czy zastałem inżyniera? - spytał, przyciskając słuchawkę mocniej do

ucha.

- A kto mówi?

- Szczerbakowski z Polmexu. Podobno inżynier chory?

- Tak, ale nic groźnego. Wyszedł do lekarza. Czy pan jeszcze zadzwoni?

- No, chyba tak - odparł niepewnie. Coś mu się tu nie podobało.

- Może pan od razu wpadnie, Bronek się ucieszy. Wie pan, jest bardzo teraz przygnębiony. Odwiedziny dobrze mu zrobią.

- Pan jest jego kolegą?

- Nie, kuzynem. Przyjechałem wczoraj z Krakowa. Zna pan adres?

- Tak.

- To czekamy na pana. Bronek niedługo będzie.

- Doskonale, przyjadę. Do zobaczenia!

Rzucił słuchawkę i wyskoczył z budki. Wpadka - myślał, jadąc

autobusem do śródmieścia. - Zakitowali go i wsadzili łapsa. Pewno nagrał rozmowę, sukinsyn! Długo poczekaś na mój przyjazd!

W domu rozważył wszystko dokładnie i doszedł do wniosku, że

Czepiński nie jest groźny. No bo co on wie? - myślał, krzątając się po kuchni w poszukiwaniu patelni. O Włodzimierzu Stakwicie - że nie żyje. O pułkowniku z kontrwywiadu - nic. Długo będą takiego szukać. O Jolce mógł to i owo wywęszyć, ale Jolki już nie ma, koniec, szlus. Miałem nosa, że dziewczyna od pewnego czasu zaczęła się łamać. A szef nie wierzył. Dopiero jak sam... Jeżeli gliny dotrą do jej sublokatorskiego pokoju, nic nie znajdą. Chyba że...

Stanął na środku kuchni jak wryty z patelnią w rękę. Czy dziewczyna

mogła zostawić jakiś list, donos na wypadek, gdyby nie wróciła? Cholera, z

babami wszystko możliwe.

- Trzeba tam pójść - mruknął, chociaż wiedział, że to zbyt ryzykowne.

Wystąpił wprawdzie dwukrotnie wobec gospodarzy lokalu jako „bliski znajomy” Jolanty, wątpił jednak, aby podczas jej nieobecności pozwolono mu na swobodne poruszanie się w pokoju. Prawdopodobnie wcale by go nie wpuszczono.

A jeżeli Czepiński naprawdę chory i ma u siebie jakiegoś tam krewnego?

Jak to sprawdzić? Może zadzwonić jeszcze raz?

Usmażył jajecznicę na kiełbasie, wypił butelkę jasnego. Położył się na tapczanie i rozmyślał. W końcu co ryzykuje drugim telefonem? Szef powiedział, że uzupełnienie informacji jest konieczne. Zresztą centrala się dopominała. A polecenia centrali - rzecz święta, bo centrala płaci.

Wyszedł wreszcie z domu, pojechał tym razem na Wolę, znów długo przyglądał się automatom, zanim wybrał. Nakręcił numer, czekał chwilę. Ten sam głos.

- Czy jest już inżynier Czepiński? - spytał niecierpliwie, tak, jak powinien pytać autentyczny docent z Polmexu.

- Jeszcze nie wrócił, ale telefonował, że zaraz będzie. Prosił, aby pan przyszedł, chociaż, prawdę mówiąc, nie przypomina sobie pańskiego nazwiska - w głosie tamtego brzmiał jakby śmiech.

- To możliwe, bo spotkaliśmy się tylko raz, na zjeździe we Wrocławiu.

- Więc czekamy na pana. Zaparzyłem już kawę.

- Do zobaczenia.

Cholera, łaps czy nie łaps? - zastanawiał się. Gdyby to był łaps, nie

powiedziałyby, że Czepiński nie pamięta nazwiska: Szczerbakowski. Przeciwnie, w imieniu inżyniera wyraziłby radość z zapowiedzianego spotkania, a wtedy ja bym był pewien, że to zasadzka... Może naprawdę istnieje jakiś docent Szczerbakowski? Szlag by to trafił! Co robić?

Wszedł do Domu Towarowego przy Młynarskiej, pokręcił się obok stoiska z krawatami, nawet wybrał ładny, popielaty, ale w ostatniej chwili zostawił go na ladzie i odszedł. Myśl o poleceniu centrali nie dawała mu spokoju. Prawdę mówiąc, bał się tych ludzi jak ognia.

Pojechać do niego nie mogę - rozważał. - Może mnie poznać. Chyba żebym się ucharakteryzował. Dzwonić bez przerwy nie ma sensu. Poślę mu kartkę i wyznaczę spotkanie w kawiarni. Oczywiście jako docent Szczerbakowski, ale facet może nie przyjść, co wtedy?

Postanowił jednak zatelefonować po raz trzeci. To było najbezpieczniejsze. Docenci nie muszą chodzić w sprawach służbowych do czyjegoś prywatnego mieszkania.

Zirytowany, zamknął się w tej samej budce, nakręcił numer.

Mimochodem spojrzął na zegarek. Od tamtej rozmowy upłynęło pół godziny.

Jeżeli Czepiński rzeczywiście jest u lekarza, powinien już wrócić.

I nagle usłyszał jego głos:

- Słucham, Czepiński.

- Zdrowia życzymy, panie inżynierze - po wiedział tym samym trochę

kpiącym tonem, którym wielokrotnie przyjmował od niego informacji lub dawał polecenia. - Czy jest pan na tyle silny, że możemy się porozumieć w wiadomej sprawie?

- O co chodzi? - Inżynier był jakby przygaszony, pewnie rzeczywiście chory. - Ja dopiero co wróciłem do domu i powinienem zaraz się położyć.
- Czy ten pański kuzyn z Krakowa jeszcze tam jest?
- Tak. Dlatego... nie mogę przez telefon, pan rozumie.
- Proszę go wysłać gdziekolwiek, na godzinę. Do apteki po lekarstwo czy coś w tym rodzaju.
- To nie takie proste.
- Takie trudności pana nie usprawiedliwiają. Potrzebna jest nam jeszcze jedna rozmowa. Czy jest pan przygotowany?
- Nie wiem do czego. Nie znam zagadnienia.
- Ta sama sprawa, o której mówiliśmy ostatnim razem. Pamięta pan?
- Ach, tak. Przypominam sobie. Ale chyba wszystko już powiedziałem.
- Nie.

- Więc dobrze. Niech pan chwilę poczeka. Wiśniewski usłyszał cichy stuk odkładanej na bok słuchawki i rozmowę. Widocznie inżynier wysła z domu tego kuzyna. Po chwili dobiegło go dalekie trzaśnięcie drzwi, zaraz potem Czepiński znów się odezwał:

- Już jestem sam. Proszę, niech pan pyta...

Zenon, zerkając na małą kartkę papieru, na której miał zanotowane pytania, przyciskał ramieniem słuchawkę i umownymi skrótami zapisywał to, co usłyszał. Rozmowa trwała prawie dziesięć minut, na szczęście nikt nie czekał na chodniku, nie stukał niecierpliwie w oszklone drzwi kabiny. Na przeciwległym rogu zatrzymała się taksówka, kierowca szukał reszty dla dwóch pasażerów.

Jeżeli zdążę, wrócę nią do domu - pomyślał Wiśniewski, kończąc

notowanie odpowiedzi. Do budki podbiegł w tym momencie jakiś młody człowiek. Widząc, że zajęta, kręcił się niecierpliwie w pobliżu. Z baru wyszło chwiejnym krokiem kilku pijaków, kłócąc się zajadle. Trzeba kończyć - zdecydował Zenon. Właściwie dowiedział się już wszystkiego.

- No, to do widzenia panu - rzekł. - Dziękuję za informacje.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

W głosie inżyniera był jakiś nowy, obcy akcent, jakby ironii czy złośliwego zadowolenia. Wiśniewski poczuł niepokój. Obejrzał się w prawo, w lewo. Młody człowiek patrzył na niego z wyraźną dezaprobatą. Odsunął rękaw kurtki i wymownym gestem pokazał zegarek. Taksówkarz chował do kieszeni portfel, pasażerowie zatrzymali się przed barem, pewnie chcieli wejść do środka. Pijacy kłócili się jeszcze i szarpali za ramiona.

Jestem przewrażliwiony - pomyślał. Powiesił słuchawkę, nastawił kołnierz płaszcza i wyszedł z budki.

- Nareszcie! - burknął młody mężczyzna. - Godzinami pan dzwoni. Ze swego mieszkania tal się telefonuje, nie z budki.

Nie wchodził jednak do kabiny, jakby na coś czekał. I znowu Wiśniewski rozejrzał się niespokojnie. Pasażerowie taksówki stali przed barem, pijacy sprzeczali się w dalszym ciągu, dostrzegł jednak, że któryś z nich rzucił na niego ukradkowe spojrzenie. Nie był to wzrok człowieka pijanego.

Wpadłem - zrozumiał. - Zaraz mnie dostaną.

Jeden... dwóch... pięciu i taksówkarz. Za barem drugi samochód. Siedmiu.

Kątem oka dojrzał wąskie, ciasne przejście pomiędzy ścianą baru a sąsiednim budynkiem mieszkalnym. Znał to miejsce, wąziutki chodnik mógł go

wyprowadzić na następną ulicę albo do którejś bramy. Stał nieruchomo, obliczając szanse. Od przejścia dzieliło go jakieś dwanaście kroków. Biegiem, dużymi susami - może osiem. Rozumiał już, że go obserwowali, że rozmowa z inżynierem była na podsłuchu. Jeżeli teraz nie ucieknie...

Nagle pomyślał: A jeżeli ta dziwka żyje? Jeżeli jakimś cudem znaleźli ją w grobowcu i wyśpiewała wszystko, co wie?! Spocił się ze strachu i z emocji. Tam. W to wąskie przejście. To jedyna szansa!

Błyskawicznym skokiem rzucił się naprzód, pięścią wyrznął z całej siły kogoś, kto usiłował go zatrzymać, komuś innemu podstawił nogę, kopnął jeszcze jakieś ciało, zagradzające mu upragnione przejście. Przelotnie zdziwił się, że nie strzelają i pożałował, że swój pistolet zostawił w domu. Wpadł pomiędzy dwie zimne, szare ściany, przesunął się w parę sekund pomiędzy nimi. Już był po drugiej stronie.

A wtedy czyjeś żelazne ręce chwyciły go jak kleszcze, wykręciły mu ramiona do tyłu i zatrzymały. Dwie pary innych rąk unieruchomiły go. Tuż przed sobą zobaczył śniadą, wąską twarz i rozgorzałe, czarne oczy. Człowiek ten miał jasne, prawie białe włosy.

- Uważa pan nas za idiotów, panie Wiśniewski? - spytał bardzo spokojnie.

Zenon czuł jednak, że pod tym spokojem w jasnowłosym aż kipi.

Dwaj ludzie spiesznie założyli mu kajdanki i tym samym wąskim przejściem, które wydawało mu się zbawcze, wyprowadzili go do samochodu.

Pijacy, taksówkarze, pasażerowie i młody chłopak, czekający rzekomo na telefon, przyglądali mu się teraz chłodnym wzrokiem.

- Dobrze zrobione! - rzucił w ich kierunku człowiek o czarnych oczach. -

Możecie zwiijać interes.

- Wracamy do bazy, towarzyszu kapitanie - odparł jeden z nich.

Ale głupio wpadłem! - myślał Wiśniewski, wciśnięty pomiędzy

milicjantów po cywilnemu. Powinienem był się domyśleć, że ta cała parada to gliny.

*

Zygmunt Zalewski wyszedł przed dom i gwizdnął na psa. Z mroku nocy

wypadł zziajany Kuba, skoczył do niego, liznął po twarzy i odbiegł z powrotem.

- Kuba! Do nogi!... Kuba! Chodź tutaj. Ale pies nie wracał.

- Coś tam ma. Pewnie mysz albo jakieś ścierwo - mruknął stojący obok

Zygmunta szef. Przeciągnął się, popatrzał po ciemnym niebie, wzdrygnął od

chłodu. - Zimno. Zostaw psa, mam z tobą do pomówienia.

Wrócili do mieszkania. Zalewski szczelnie zasunął firanki, zamknął

drewniane okiennice, po tern dopiero zapalił światło. Usiedli przy stole w

kuchni, szef grzał ręce przy ogniu. Ostatnio nie czuł się dobrze, lata dawały

jednak znać o sobie. Myślał coraz częściej o powrocie do własnego domu. Ale

ten dom był daleko, bardzo daleko.

- „Treb” powinien był się odezwać już wczoraj - rzekł z nutą niepokoju w głosie.

- Mhm - przytwierdził Zygmunt, dokładając do ognia parę szczap.

Płomień przygasł na chwilę, a potem buchnął ze zdwojoną siłą.

- Nie włączyłeś się przypadkiem koło cmentarza?

- Co pan! - wzruszył ramionami. - Czy ja dziecko... Ale o co właściwie chodzi? Przecież grobowiec otwarty i pusty.

Szef popatrzał na niego spod oka. Nie wierzył mu. Nie wierzył nikomu z zasady, tym bardziej temu chłopakowi, którego przecież w gruncie rzeczy znał od niedawna.

- Daj herbaty! - zażądał.

Pił wrzątek, rozmyślając nad tym, co powinien zrobić. Dwukrotnie uruchomił radiostację w pobliskim lesie, wychodząc z domu w środku nocy, w deszcz, tak było bezpieczniej. Trzeci raz obawiał się, nie był jednak pewien kryjówki. Wprawdzie nic dotąd nie wskazywało na to, że ci z kontrwywiadu wpadli na jego ślad, ale...

Nic? A ludzie, którzy podobno obserwowali Jolantę? Zresztą to mogło być jej przywidzenie, mogła też tak powiedzieć, by ją łatwiej zwolnił. Nie przewidziała skutków. Szkoda dziewczyny, była dobrą agentką-naganiaczem.

Centrala w sposób bardzo stanowczy domagała się uzupełnienia wiadomości, których dostarczył Czepiński. Zapowiedziała też, że niedługo przyśle mu kogoś do pomocy. Nie był z tego rad, wołał sam dobierać sobie pracowników. Poprosił więc, aby jeszcze się wstrzymali. Liczono się z nim i wiedział, że pójda mu na rękę. Tym niemniej należało szybko zakończyć zbieranie informacji od Czepińskiego i przenieść się do Wrocławia. Zalewski musi pozostać w Strągowie. „Treb” w Warszawie. Ta willa to dobra meta. A „Treb” umie pracować.

- Powinien się odezwać! - powtórzył niecierpliwie.

- Kuba?

- Głupiś. Co mnie pies obchodzi.

- „Treb”?

- No pewnie. Słuchaj, jeżeli do jutra wieczór nie będzie żadnej

wiadomości, pojedziesz do Warszawy.

- Znów jako Roman Wrzosek?

- Bo co? - popatrzał na niego uważnie. - Pokazywałeś komuś ten dowód?

- Nikomu.

- Słuchaj, ty... Jeżeli coś ukrywasz, źle będzie z tobą! Lepiej powiedz od razu.

- Nic nie ukrywam, co pan! Komu miałem pokazywać?

- Nie zaczepiała cię milicja? Może drogowa?

- A skądże! Umiem chodzić po ulicy. Milczeli chwilę. Szef nie spuszczał wzroku z siedzącego przed nim chłopaka, ale ten nie odwracał oczu. W takich sprawach był oblatany, nieraz miał do czynienia z milicją i nauczył się patrzeć im prosto w twarz. Wiedział, że robi to lepsze wrażenie.

Cwaniaczek! - pomyślał szef i odezwał się łagodniej:

- Dobra, przecież ci wierzę. Mimo to pojedziesz z innym dowodem.

Kuba zaszczeakał przed domem i skomlił cicho, prosząc, aby go wpuścili.

Zygmunt uchylił drzwi, pies wśliznął się niepewnie, ze skruszoną miną. Dostał dwa razy pasem, co przyjął ze zrozumieniem, potem jednak dopominał się o jedzenie.

- Bezczelny kundel! - rzekł szef. - Powinieneś go tak zlać, żeby na drugi raz nie odważył się przyjść nie wołany.

Zygmunt roześmiał się tylko. Lubił psa, a pies jego. Może to było jedyne uczucie, które potrafił w sobie wykrzesać ten chłopak, od dawna zdany sam na siebie, opuszczony przez bliskich, a przez innych poprowadzony fałszywą

drogą.

*

- Nie rozumiem, dlaczego nie zdecydowałeś się na przeszukanie willi - rzekł Czerniak. - Mogliśmy mieć wszystkich. Skąd wiesz, że Wiśniewski nie zdążył ich zawiadomić o wpadce Czepińskiego?

- Willa jest w tej chwili pod tak gęstą siecią obserwacyjną, że nikt stamtąd nie wyjdzie bez naszej wiedzy - odparł major. - Jak zresztą widzisz, dostaliśmy Wiśniewskiego i sądzę, że to i owo nam powie o tajemniczym osobniku.

- Wątpię. Chyba że będzie chciał ratować własną skórę.

- To właśnie miałem na myśli.

- Założyłeś taśmę na magnetofon?

- Tak. Cała rozmowa z Czepińskim, prowadzona z budki telefonicznej. A swoją drogą dobrze, że zdążyliśmy przywieźć inżyniera do mieszkania!

- Ważniejsze, że zgodził się i potrafił odpowiednio rozmawiać. O to bałem się najbardziej. Mógł przecież w tej rozmowie przemycić jakieś ostrzeżenie, którego byśmy nie zrozumieli.

- Czepiński jest tak załamany i przestraszony tym, co zrobił, że na pewno by tamtego nie ostrzegł. A willi nie przeszukałem, bo... tak, słucham? - podniósł słuchawkę telefonu. - Dobrze, poczekajcie chwilę. Przywieźli Wiśniewskiego - zwrócił się do Czerniaka. - Zaczynamy?

- Tak.

*

- Proszę, niech pan siada - powiedział pułkownik, przyglądając się uważnie wprowadzonemu. - Jak pan się nazywa?

- Wiśniewski Zenon - odparł technik budowlany. Spokojnie zajął miejsce na wskazanym krześle, położył ręce na kolanach i pytająco spojrzął na Czerniaka.

- Proszę podać swoje personalia. Datę i miejsce urodzenia, imiona rodziców, zawód, obywatelstwo, adres...

Cicho stuknęła maszyna do pisania. Major stał pod oknem, obserwował wyraz twarzy Wiśniewskiego i zastanawiał się, jaką taktykę przybrał ten człowiek, złapany na gorącym uczynku.

- Czy używał pan również innych nazwisk?

- Nie - odparł Wiśniewski bez wahania.

- Czy znane jest panu nazwisko: Włodzimierz Stakwit?

- Owszem. To mój krewny. Mieszka w Anglii. Niedawno był w Polsce.

- Widział się pan z nim?

- Tak, chyba ze dwa razy. Przywiózł mi kilka upominków.

- Aha. No, dobrze. A zna pan inżyniera Bronisława Czepińskiego?

- Czepińskiego? Nie przypominam sobie tego nazwiska. Być może kiedyś go poznałem. Jestem technikiem, jeżdżę do różnych fabryk i mogłem w którejś z nich zetknąć się kiedyś z takim człowiekiem.

- Przypomina pan sobie może jakąś rozmowę z inżynierem Czepińskim?

Treść tej rozmowy?

- Nie. W ogóle nie pamiętam żadnego Czepińskiego. Proszę wymienić zakład, w którym on pracuje, to mi ułatwi.

- Instytut M-2.

- W takim razie na pewno go nie znam. Moje przedsiębiorstwo nie

współpracuje z tym Instytutem.

- Od jak dawna utrzymuje pan znajomość z Jolantą Borowczak?

Wiśniewski drgnął, zacisnął dłonie na kolanach. Odchrząknął i

odpowiedział już opanowanym głosem:

- Nie znam żadnej kobiety o tym nazwisku.

- Az Zygmuntem Zalewskim? Przesłuchiwany przybladł. Znowu zadrżały mu ręce, uspokoił je z widocznym wysiłkiem.

Teraz zrozumiał, że wiemy o wiele więcej niż sądził - pomyślał Polewski.

- Ciekawe, jak z tego wybrnie.

- Również nie znam. Mam w pracy kolegę Zalewskiego, ale on ma na imię Marcin.

Czerniak odsunął na bok notatki, oparł się o poręcz krzesła i zmienił ton.

- Panie Wiśniewski, okłamuje nas pan w każdym zdaniu. Myślę, że już dosyć tej zabawy. Nie zatrzymaliśmy pana za to, że uciekał pan z budki telefonicznej. Cięży na panu kilka najpoważniejszych zarzutów: szpiegostwo i dwa zabójstwa. I tylko szczere przyznanie się do winy może w pewnym stopniu wpłynąć na zmniejszenie kary. My doskonale wiemy, że utrzymywał pan kontakt z Bronisławem Czepińskim, Zygmuntem Zalewskim i Jolantą Borowczak. A także z agentem obcego wywiadu, dla którego pan pracował. Śledziliśmy pańskie kroki od dłuższego czasu. Dla przykładu powiem, że z Zalewskim spotkał się pan w barze „Zodiak”, wymieniliście hasła: „Mam dla pana pozdrowienia od Elżuni” i „Czy urodziła bliźnięta”. Zygmunt Zalewski występował wówczas jako Roman Wrzosek, ucharakteryzowany według zdjęcia w sfałszowanym dowodzie osobistym. Czepińskiego też pan dobrze znał. Wiem

też, że w nocy, kiedy przebywał pan z kolegami na delegacji w Kutnie, wyszedł pan po kryjomu z hotelu, wsiadł w służbowy samochód i wyjechał na kilka godzin. Czy mamy panu przypomnieć, gdzie pan był? Co prawda cmentarz w Strągowie to nie jest atrakcyjne miejsce na nocne spacery, ale pan miał określony cel.

- Jolantę Borowczak znaleźliśmy w grobowcu na tyle wcześnie, że zdołaliśmy ją uratować. Powiedziała nam wszystko - wtrącił major.

Cios był celny i Wiśniewski go nie wytrzymał. Poczzerwieniały, zerwał się z krzesła, ale osadzono go z powrotem.

- To szmata! - krzyknął. - Mówiłem, żaby zakopać w le... - urwał, zagryzł wargi ze złości.

- Dobrze, panie Wiśniewski - odezwał się po chwili Czerniak. - Przekonał się pan, że wiemy dużo. Wystarczająco dużo, aby stanął pan przed sądem pod zarzutem zabójstwa Jolanty Borowczak i szpiegostwa. Dodajmy do tego sprawę Jana Wilczaka, a przyzna pan, że jak na jednego oskarżonego, to aż za wiele. Dlatego raz jeszcze przypominam, że jeśli powie pan teraz całą prawdę...

- Powiem! - przerwał Wiśniewski. -, Ja tej dziewczyny nie zabiłem. To on dał jej dwa zastrzyki, założył knebel i kazał mi ją wpakować do grobowca, a potem sam zamknął na klucz.

- On, to znaczy kto?

Rozdział 10

Zygmunt Zalewski zamknął furtkę, przekręcił klucz i schował go do kieszeni. Przeliczył w myśli pieniądze i porównał z tym, co miał kupić. Powinno wystarczyć. Nacisnął czapkę, postawił kołnierz palta, bo zimny wiatr

przejmował go dreszczem. Pomyślał z niechęcią, że jeżeli „Treb” nie wróci do wieczora, wówczas przyjdzie mu znowu targać się do Warszawy, szukać go i wysłuchiwać złośliwych słów, których tamten nigdy mu nie szczędził.

Gdzie ten sukinsyn się zadekował? Pewnie go przyskrzynili. Ale na czym? - irytował się w drodze do sklepu. Nogi same poniosły go do baru.

Wychylił duszkiem szklankę wódki, potem drugą. Wiedział, że szef będzie zły, ale jakoś przestało go to obchodzić. Przegryzł kawałkiem śledzia i ogórkiem.

Zażądał trzeciej szklanki. Barman ściągnął niechętnie brwi.

- Dosyć będzie, „Fartowny” - mruknął. - Potem mam przez ciebie kłopoty z milicją. Że rozpijam ludzi. Idź do domu czy gdzie tam miałeś iść.

- Daj wódkę!

- Powiedziałem.: dosyć. Płać i zmywaj się.

- Płacę za trzy. Dawaj wódkę.

Barman odliczył należność za dwie szklanki, resztę odsunął

zdecydowanie. Kątem oka dostrzegł, że w drzwiach baru pojawił się mundurowy milicjant i obserwował w milczeniu tę scenę.

- Idź, bo sobie biedy napytasz! - I dodał szeptem: - Nie widzisz, ofiaro, że glina patrzy?

Zygmunt oprzytomniał, odwrócił się i napotkał uważne spojrzenie

funkcjonariusza. Zaklął półgłosem, wsunął pieniądze w kieszeń. Podeszedł do drzwi. Milicjant odsunął się, robiąc mu przejście. Zalewski chciał coś

powiedzieć, ale wzrok jego zatrzymał się przez chwilę na białej, gumowej pałce.

Przełknął ślinę i opuścił głowę. Już dwa razy miał z tą pałką do czynienia, kiedy po pijaku awanturował się w barze.

Cicho wysunął się na ulicę, przeżuwał złość. Wstąpił do sklepu, kupił, co dostał, i obładowany paczkami wracał do willi. Przed furtką gwizdnął na psa.

Odpowiedziała mu cisza. Znowu gdzieś lata - pomyślał z gniewem.

Wszedł do kuchni, rozłożył paczki na stole. Nic mu się nie chciało, myśl o nocnym wyjeździe uwierała jak ciasne buty. Postanowił przejść się z Kubą na spacer i wrócić tak, aby spóźnić się na ostatni pociąg. Oberwie, ale nie pojedzie.

A rano może „Treb” wróci.

Postanowienie wprawiło go w dobry humor. Ukrajał sobie kawałek kielbasy, drugi schował do kieszeni, dla psa. Z ustami pełnymi mięsa wyszedł do ogrodu. Rozejrzał się, położył koło krzaków. Zagwizdał raz, drugi, trzeci...

Kuby nie było. Wtedy poczuł nagle dziwny ucisk w piersiach i niczym nie uzasadniony niepokój. Próbował siebie uspokoić. Mało to razy pies przepadał na długie godziny, gonił za suką albo zającem w polu?

Doszedł do płotu na końcu ogrodu, patrzył na łąkę i daleki las. Znowu gwizdał i nawoływał. Potem spojrzenie jego padło na kępę drzew tuż za sztachetami. Coś tam leżało, na wpół zakryte gałęzią. Jeszcze nie wierzył, jeszcze nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Szarpnął spróchniałą deskę, wyrwał, poszerzył otwór. Z trudem przecisnął się na drugą stronę. Ciągnąc za sobą nogi, jakby je miał przetrącone, zbliżył się do tego czegoś.

To był Kuba. Leżał na boku, łeb miał pokryty szerniałą krwią, łapy skurczone jakby w ostatnim, śmiertelnym bólu. Na wpół przymknięte ślepia spoglądały nieruchomo.

Zygmunt ukląkł obok psa, uniósł skrwawiony łeb. Ostrożnymi ruchami wymacał mały, okrągły otwór w czaszce i drugi podobny z przeciwnej strony.

Delikatnie położył łeb Kuby z powrotem na trawę. Twarz miał białą jak kreda, oczy szeroko rozwarte.

- Kuba! - szepnął. Położył rękę na gęstej sierści, spod której szedł już chłód śmierci. Wzdrygnął się. - Kuba!

Kłęczał tak dłuższy czas, znieruchomiały z żalu. Z wolna wstawał w nim gniew, który z każdą chwilą przeradzał się w nienawiść. Podniósł się wreszcie, zawrócił ku domowi. Kiedy wszedł do kuchni, obok paczek stał szef, przeglądając ich zawartość.

- Szykuj się do wyjazdu - mruknął. Zygmunt zamknął drzwi i oparł się o nie. Coś było w jego zachowaniu, co zwróciło baczną uwagę szefa. Odłożył bułkę, spojrzał na niego, zmarszczył brwi.

- Kto zastrzelił Kubę? - spytał Zalewski cicho.

Szef nie od razu odpowiedział.. Ważył coś w myślach, wziął do ręki nóż kuchenny i bawił się nim, jakby od niechcenia.

- Ja - odparł. - Rzucił się na mnie, do gardła. Musiałem to zrobić.

- Ty! - Po raz pierwszy Zygmunt odezwał się tak poufale.

- Zrozum, rzucił mi się do gardła. Byłby mnie zagryzł.

- Coś mu zrobił, że się rzucił?

- Nic. Dostał pejczem, bo wylał mleko z miski. Nawet nie mocno.

- Uderzyłeś mego psa! Tylko ja miałem prawo go uderzyć. Mówiłem ci kiedyś.

- Rozpaskudziłeś psa, dawno zwracałem ci na to uwagę. A teraz dosyć o tym. - Podniósł głos, oczy zabłyśły mu niebezpiecznie. - Powiedziałem, szykuj się do wyjazdu. „Treb” nie wrócił, musisz tam jechać. Kupię ci innego psa.

Dziesięć psów, jeżeli będzie trzeba.

- Zabiłeś Kubę! - Zygmunt nie ruszał się od drzwi, wargi mu dygotały, ręce zacisnął na futrynie. - Ty łajdaku! - Posypały się coraz ostrzejsze obelgi, nie panował już nad sobą.

- Milcz! - krzyknął szef. - Uspokój się w tej chwili, słyszysz? Ostrzegam cię, milcz! Nie zadzieraj ze mną, to się źle skończy.

Cofnął się parę kroków do pokoju, w stronę ukrytego wejścia do podziemia. Właz był otwarty. Miał przy sobie tylko kuchenny nóż, ale tam na dole leżał pistolet.

Zygmunt rzucił się i zasłonił wejście. Szef błyskawicznym ruchem skierował w jego stronę nóż.

- Odsuń się! - krzyknął. - Odsuń się, słyszysz?

- Nigdzie nie pójdziesz - odparł Zalewski, chwytając go za ramiona. -

Kubę mi zabiłeś, ty morderco! Odpowiesz za to!

Jęknął z bólu, bo nóż ugodził go w rękę. Rozwścieczony, nieprzytomny z żalu i gniewu, wyszarpnął ostrze, odrzucił na bok i wczepił się z całej siły w tamtego, usiłując przewrócić go na ziemię, ale szef miał długoletnią zaprawę w judo, znał wiele chwytów. Chociaż o wiele starszy, zdążył uwolnić się i skoczyć w dół.

Zanim jednak zdołał dopaść broni, otrzymał straszliwy cios w głowę ciężkim, drewnianym stołkiem kuchennym. Stęknął głucho, osunął się na podłogę. Z rozwalonej czaszki popłynęła krew.

Chłopak zszedł na dół. Patrzył bez słowa na człowieka, który z każdą sekundą tracił życie. Patrzył na niego i nie potrafił zdobyć się na współczucie.

Nagle tamten poruszył ustami, a potem odezwał się słabym głosem:

- Ty... nie wiesz, kogo... nie chciałem ci...

- O co chodzi? - mruknął.

- Mogłem... cię zabić nożem. Jestem... ty jesteś moim... nazywam się

Leopold Zalewski... - nie dokończył. Wyprężył się w ostatnim skurczu, głowa opadła mu na bok. Nie żył.

- Mój stryj? - powiedział Zygmunt z ogromnym zdziwieniem.

*

Trzy samochody pełne ludzi zatrzymały się niedaleko willi i zaczęły ją okrążać. Było już ciemno, słaby blask rzadko rozstawionych latarni ledwie pozwalał dostrzec to, co działo się na Szkolnej osiem.

Z jednego wozu wysiadł major Polewski. Natychmiast podszedł do niego

Szczęśny, który od godziny obserwował ulicę i willę.

- Zaszło coś? - spytał major szeptem.

- Teraz nie, ale gdzieś tak koło siódmej wieczorem kapral Izdebski słyszał strzał. Słumiony, w mieszkaniu. Potem ktoś stamtąd wyszedł i wyniósł zabitego psa. Tego Kubę. Przerzucił przez parkan na łąkę, zakrył gałęzią. Wkrótce po tym wydarzeniu, którego nie umiem sobie wytłumaczyć, bo przecież pies pilnował im domu, był potrzebny... więc w pół godziny potem wrócił z miasteczka Zalewski.

- Gdzie był?

- W barze i w sklepie. W barze wypił dwie szklanki wódki. Chciał więcej, ale barman mu nie sprzedał. Obserwował to mundurowy od Kazka Bardeckiego.

Zygmunt wszedł do domu i już tam został. Teraz jest... - urwał, bo w tej chwili

przesunął się do nich kapral Izdebski. - Coś nowego?

- Tak. Przed chwilą Zalewski pokazał się w ogrodzie, Miał łopatę.

- Widocznie chce zagrzebać psa. Ale czemu go zabili?

- Może był chory. Nie zajmujmy się psem, ludzie nas obchodzą.

Major przywołał do siebie funkcjonariuszy i cichym głosem dawał im polecenia. Kapitan Szczęsny przyglądał się temu chwilę, myślał jednak o psie.

Wiedział już, że Zalewski był do niego bardzo przywiązany, czemu więc pozwolił go zabić, zamiast leczyć? Jeszcze wczoraj Kuba był zdrowy, biegał po ogrodzie. Jeszcze dziś rano. Może się czymś struł. A Zygmunt nie chciał sam go zabić, umyślnie więc opuścił dom, aby wrócić już po wszystkim. Tak, to możliwe.

- Wchodzimy! - {Dowiedział Polewski. - Chodź ze mną. I wy, kapralu.

Reszta na strzał albo gwizd.

Izdebski pomarudził trochę przy furtce, zgrzytnął zamek, żelazne drzwi uchyliły się. Szli ostrożnie wąską, błotnistą ścieżką pod krzakami bzu, mokre gałęzie chlastały ich po twarzach.

- Jest! - szepnął kapral. - Tam. Kopie dół. Polewski wyjął z kieszeni płaszcz a latarkę, ale Szczęsny powstrzymał go szybkim ruchem.

- Nie - sprzeciwił się. - Po prostu podejźmy do niego bez światła. Trochę tu widać.

Major wzruszył ramionami, ale opuścił rękę. Zbliżyli się jeszcze parę kroków. Teraz dostrzegli wyraźnie postać człowieka, który pochylony, miarowymi ruchami wbijał w rozmiękłą ziemię ostrze łopaty i odrzucał na bok ciężkie, zmieszane z trawą grudy. Z boku czerniały zwłoki psa.

Polewski odbezpieczył pistolet. Ten dźwięk nagle - obudził czujność kopiącego człowieka. Drgnął, odwrócił się błyskawicznie, unosząc w górę łopatę. Zanim jednak zdążyli zareagować, ręka opadła mu, a twarz przybrała wyraz zdumienia. Szczęsny zrozumiał, że Zalewski spodziewał się kogoś innego. I że na tego kogoś zamierzył się łopatą w braku innej broni. Pokłócili się? - pomyślał.

- Służba Bezpieczeństwa! Proszę odrzucić łopatę i podnieść ręce do góry - powiedział major.

Zygmunt posłusznie uniósł ręce. Kaprał sprawnymi ruchami obmacał go od góry do dołu, spojrział na Polewskiego i potrząsnął przecząco głową.

- Zygmunt Zalewski? - spytał major, choć znał tę twarz z licznych zdjęć.

- Tak - mruknął chłopak.

- Może pan opuścić ręce. Pójdziemy do mieszkania.

- Dlaczego zabił pan psa? - Szczęsny zwrócił na niego czarne, wąskie oczy.

Zalewski nie odpowiedział. Opuścił głowę i stał nieruchomo, ze zwieszonymi rękami.

- Kto go zabił? Pies był chory?

Znów żadnej odpowiedzi. Kapitan przykucnął obok martwego Kuby i w świetle latarki obejrzał głowę. Była przestrelona.

- Nie rusz! - warknął chłopak.

- Idziemy - Polewski trącił go lekko w ramię. - Porozmawiamy w domu.

Weszli do kuchni, stamtąd do pokoju. Major przywołał dwóch milicjantów, którzy pilnowali Zalewskiego. Chłopak zresztą nie zdradzał chęci

ucieczki. Siadł w pokoju na krześle, zwiesił głowę i milczał. Nie reagował na żadne pytania, więc obaj oficerowie pozostawili go w spokoju, zajmując się mieszkaniem. Kilku pracowników obstawiało willę, inni czuwali dokoła ogrodu. Drugi człowiek, który od pewnego czasu przebywał w willi, musiał więc być gdzieś tutaj.

Kiedy odsunęli tapczan i właz, spojrzeli na siebie.

- Cholera! - zaklął Szczęsny. Skoczył, w dół, Polewski zsunął się za nim.

Na podłodze, w całkowicie urządzonej i umeblowanym pokoju, pośrodku grubego dywanu leżał trup mężczyzny z głową zalaną krwią. Był to człowiek około pięćdziesiątki, miał ciemne włosy, nos lekko zakrzywiony i otwarte, niebieskie oczy.

- „Cywil” - powiedział Szczęsny. - Tak go opisał inżynier.

- W każdym razie to chyba ten rzekomy pułkownik z kontrwywiadu.

- Kto go zlikwidował? Zygmunt?

- A któż by inny? Zresztą to się wyjaśni. Popatrz, radiostacja. Zdaje się, że znajdziemy tu wiele ciekawego materiału. - Major rozglądał się po pokoju, starając się niczego nie dotknąć, zanim fotograf i technicy nie wykonają swojej roboty. - Wracamy na górę. Wezwę ekipę śledczą.

Zalewski spojrzał na nich, kiedy wrócili do kuchni. Twarz miał zaciętą, oczy jak z kamienia.

- Kim jest ten człowiek, tam, na dole? Ten zabity? - Spytał kapitan, nie spodziewając się zresztą odpowiedzi.

Ale Zygmunt odparł spokojnym głosem:

- Mój stryj. Leopold Zalewski. - I dodał obojętnie: - Ja go zabiłem.

- Dlaczego?

- Za Kubę! - krzyknął. Potem znów opuścił głowę i już się nie odzywał.

Wśród wielu szpiegowskich dokumentów, fałszywych papierów i dowodów, znaleźli paszport obywatela Stanów Zjednoczonych AP, Leopolda Willmana, współwłaściciela i przedstawiciela firmy: „Louis Grant and Willman”. W paszporcie znajdowała się polska wiza oraz adnotacje celne i graniczne, stwierdzające, że Mr. Leopold Willman przybył do Polski w celach handlowych. Zdjęcie w paszporcie przedstawiało mężczyznę, którego zwłoki znaleźli w willi.